

„ORZEŁ BIAŁY“

(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

October 1966

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM

SYRENA

Nr 27/1174

PAŹDZIERNIK

1966

WSPÓŁCZESNYM



NA ŚMIERĆ DOWÓDCY ARMII KRAJOWEJ

FP 2156

GRYF - SPK

ZAWIADAMIA, ŻE W MIESIĄCU PAŹDZIERNIKU
UKAZĄ SIĘ NA RYNKU:

Kazimierz Sosnkowski

MATERIAŁY HISTORYCZNE

720 stron druku w oprawie płóciennej

Cena: £ 3.3.0; \$ 9.00; F 45.00

J. A. Narbut-Łuczyński

U KRESU WĘDRÓWKI

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście

Cena: £ 2.12.6; \$ 7.00; F 38.00

Do nabycia:

w KSIĘGARNI S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7

oraz we wszystkich księgarniach polskich

W NUMERZE :

	Str.
<i>Paweł Hęciak</i> : Ostatnia droga generała Bora	1
<i>K. Iranek-Osmecki</i> : Karta służby Polsce gen. Bora-Komorowskiego	4
<i>Adam Ciołkosz</i> : Angielska choroba	6
<i>Jan Adamski</i> : O zobowiązaniach produkcyjnych, czynach społecznych i innych sposobach wyzysku mas pracujących	9
<i>Mina Tomkiewicz</i> : Rzut oka na Dublin	11
<i>Jantar</i> : Argentyna na rozdrożu	13
<i>Teodozya Lisiewicz</i> : Okno	15
<i>Wojciech Stefański</i> : Dozgonna przyjaźń	18
<i>Hilda Jankowska</i> : Ten trzeci Poniatoński	20
<i>Jan Walewski</i> : Jak to u Obrochtów bywoło	20
<i>Dr. Michał</i> : Gawęda lekarska, Problemy zachowania	23
Przed dziesięciu laty...	24
<i>Jan Tokarski</i> : Sprawa Świętego Świerada	26
<i>Zbigniew Grabowski</i> : Suez, „październik“, Budapeszt	20
<i>Jan Ostrowski</i> : Polski ruch naukowy na obczyźnie	33
<i>Mieczysław Paszkiewicz</i> : Humor Staropolski (część III)	36
<i>Aleksander Bregman</i> : W cieniu berlińskiego muru	41
<i>W. Lewandowski</i> : Rozmaitości naukowe	43
<i>Zdzisław Stahl</i> : Przegląd polityki międzynarodowej	44
Z życia Polaków w Świecie	46
<i>Alina Cybulska</i> : Żrebęca „Mini-Moda“	48

JUBILEUSZ 20-LECIA

CENTRALI WYSYŁKOWO - BANKOWEJ
HASKOBA LIMITED

Z OKAZJI 20-lecia istnienia naszej firmy ogłaszamy bezpłatną loterię dla wszystkich KLIENTÓW zarejestrowanych w kartotece HASKOBY od 1 marca 1966 do 31 listopada 1966

N A G R O D Y :

I Samochód FORD ANGLIA de Luxe
(Grzejnik i pełne wyposażenie)

II Obraz z CASSEL ART GALLERY
(Do wyboru: Kossak, Niemcezye lub Kłóś)

III Weekend w PARYŻU
(firma ANGLOPOL TRAVEL Ltd.)

LOSOWANIE 15 GRUDNIA 1966

Bliższe szczegóły w oddzielnych ogłoszeniach



Centrala wysyłkowa i dom bankowy
HASKOBA Ltd.

81, Cromwell Road, London, S.W. 7.

TELEGRAMY: HASKOBA, LONDON — Tel. FRE 7888

Odszedł z grona żąjących generał Tadeusz Bór-Komorowski. Postać jego należy dziś do historii. Jego nazwisko wpisali Polacy, na długą listę tych, co się Polsce dobrze przysłużyli. Był wielkim synem Ojczyzny, znoszącym tragizm swoich obowiązków z pogodą i spokojem, nie żądając niczego wzamian za ich wypełnienie. Jego zgon, to jakby przypomnienie, jakby ponowne otwarcie księgi dziejów pod nazwą „Powstanie Warszawskie“ i jakby końcowy na jej kartach zapis.

Poświęcamy jego pamięci artykuł pióra płka Iranka-Osmeckiego, jednego z najbliższych współpracowników śp. Generala, relacjonując także przebieg uroczystości pogrzebowych.

Październik 1966 to miesiąc młodych stosunkowo rocznic. Jesienią 1956 wydarzyły się wypadki, które w dużej mierze ukształtowały oblicze współczesnego nam świata. Czasy niedawne, lecz już jakby z innej epoki; dla młodzieży w Polsce czasy naprawdę historyczne. Pisze o nich Zbigniew Grabowski w artykule „Suez, Październik, Budapeszt“.

Po dwóch kolejnych numerach obejmujących po dwa miesiące każdy, wracamy znowu do numerów miesięcznych. Udało się nam pokonać trudności techniczne i od numeru bieżącego „Orzeł Biały“ ukazywać się będzie na pierwszym każdego miesiąca, co, jak mamy nadzieję, odpowiada dezyderatom Czytelników, często wyrażanym. W numerze bieżącym nie zdołaliśmy zmieścić części przygotowanego materiału. M.in. musieliśmy odłożyć ogłoszenie artykułu o Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich, która obchodzi rocznicę swej sławy zdobytej w walkach na Pustyni Libijskiej. Musieliśmy także odłożyć dłuższe studium o szeregu bardzo wartościowych książek, które ukazały się na uchodźstwie w bieżącym roku.

Numer grudniowy będzie także rocznicowym. Tym razem chodzi o 25-lecie istnienia „Orla Białego“. Prosimy wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób byli związani z „Orłem Białym“ o nadysłanie nam swych uwag, wspomnień i sugestii w sprawie tematyki, jaką nasz rocznicowy numer powinien uwzględnić.

Potrzebujemy pomocy w formie werbowania nowych Czytelników. Rzadko stosujemy apele o pomoc, tym razem wszakże jest ona bardzo potrzebna z uwagi na pogarszającą się sytuację gospodarczą Anglii. Wiemy, że z apelem takim zwrócił się nasz wydawca, Federacja Światowa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, do swych członków organizacyjnych. Przyłączamy się do tego apelu, skierowując go do tych wszystkich, którzy nie będą związani z SPK, zaliczając się do sympatyków „Orla Białego“ w jego dzisiejszej postaci.

Dla wyjaśnienia, w związku z różnymi pogłoskami, pragnę dodać, że nie nastąpiły żadne zmiany redakcyjne w naszym piśmie i że w dalszym ciągu odpowiadam za jego treść i układ, jako redaktor naczelny.

PAWEŁ ZAREMBA



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 27/1174

PAŹDZIERNIK 1966

Rok XXVI

OSTATNIA DROGA GENERAŁA

„To nie był pogrzeb, to była manifestacja“ — tym stwierdzeniem (a wypowiedział je jeden z najczcigodniejszych naszych generałów) najlepiej i najtrafniej scharakteryzowane zostały uroczystości pogrzebowe. Była to bowiem istotnie wielka manifestacja, którą uczczono osobę Dowódcy Armii Krajowej, gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Jakże powszechny był żal, nie tylko w sercach Jego byłych żołnierzy, którzy na dzień pogrzebu zlecieli się z całej Anglii, by oddać ostatni hołd swemu Dowódcy, otoczonemu już za życia legendą i powszechnym szacunkiem. a na szacunek ten złożyły się nie tylko jego cnoty żołnierskie i obywatelskie, ale i cnoty ludzkie — a przede wszystkim nadzwyczajna skromność, mimo iż piastował tyle najwyższych godności. Była to chyba jego największa cnota, która otwierała doń serca wszystkich.

O osobie gen. Bora pisać jeszcze będziemy niejednokrotnie bo z Jego nazwiskiem łączą się na zawsze bohaterkie karty naszych dziejów. I dlatego niech wystarczy przytoczenie cytatu z listu, jaki gen. M. Kukiel przesłał na ręce żony Zmarłego, pani Irenie Komorowskiej: „...Tracę w nim bardzo mi Drogiego Przyjaciela, rycerza bez zmayı i trwogi, z duszą Kościuszki, z wiarą Traugutta“.

Dnia 1 września trumna ze zwłokami śp. gen. Bora wystawiona została na widok publiczny w kościele św. Andrzeja Boboli. Trumna okryta została flagą biało-czerwoną. Na trumnie złożono olbrzymią wiązankę kwiatów, jakie drogą lotniczą przesłane zostały przez Akowców z Kraju. Na wstęgach biało-czerwonych, dołączonych do wiązanki, znajdował się napis: „Swojemu Komendantowi Głównemu Żołnierze Armii Krajowej z Kraju. — Niech się Polska przyśni Tobie“.

Na trumnie złożona była także wiązanka kwiatów od najbliższej rodziny. Na froncie trumny ustawiono oryginalnie wykonaną kotwicę akowską. Cała przestrzeń dokoła trumny zasypana została wieńcami a m.in. wieńcem od gen. Andersa, czołowych organizacji kombatanckich i społecznych, Zjednoczenia Polskiego, Koła AK i wielu przyjaciół Zmarłego.

Przy trumnie pełnili na zmianę straż honorową Akowcy z opaskami biało-czerwonymi na ramieniu. Dowódca wartty honorowej mjr. M. Lorenc złożył meldunek gen. T. Pełczyńskiemu, b. szefowi sztabu AK w Kraju: „Panie Generale! Melduję, że u trumny Dowódcy Armii Krajowej gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego zaciągnięta została warta honorowa“.

Przez dwie godziny płynęły do kościoła tłumy wiernych, by oddać hołd Zmarłemu. O godz. 19-tej, po krótkiej modlitwie odprawionej przez ks. prał. K. Sołowiewa, warta została ściągnięta.

Następnego dnia już na godzinę przed rozpoczęciem żałobnej Mszy św. zaczęły napływać do kościoła ogromne tłumy, tak że na kilkanaście minut przed godz. 11-tą trzeba było zamknąć wejście, gdyż kościół nie mógł pomieścić więcej osób. W pierwszych rzędach po lewej stronie nawy zajęła miejsca rodzina Zmarłego, następnie członkowie Rady Naczelnej, Zarządu Głównego i Zarządu Okręgu W. Brytania Koła AK oraz Akowcy — wszyscy z opaskami na ramieniu. Po prawej stronie zajęli miejsca przedstawiciele władz politycznych, organizacji społecznych, generalicja oraz zagraniczni gości, wśród których obecni byli m.in. attaché wojskowy Francji i Stanów Zjednoczonych, przedstawiciel brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych. W pierwszym rzędzie zasiadli gen. Anders, amb. E. Raczyński, pre-

zes dr T. Bielecki i prezes A. Ciołkosz. Byli także liczni przedstawiciele władz Skarbu Narodowego, którego Zmarły był od lat niezwykle ofiarnym działaczem.

O godz. 11-tej weszli do kościoła harcerze i harcerki, którzy ustawili się w środkowej nawie, tworząc wielki szpaler, środkiem którego przeszli przedstawiciele duchowieństwa a m.in. ks. biskup Casey — osobisty przedstawiciel ks. kard. Heenana — arcybiskupa Westminsteru, ks. inf. W. Staniszewski, ks. inf. B. Michalski. Kilkadziesiąt pocztów sztandarowych ustawiło się wzdłuż ścian głównych obu naw.

Mszę św. odprawił o. sup. T. Sporny — były żołnierz Armii Krajowej a egzekwie żałobną ks. inf. W. Staniszewski. W momencie, gdy żołnierze AK wzięli trumnę na swe barki by wynieść ją przed kościół, chór mieszany pod batutą Nawrota, odśpiewał: „Hymn Polski Podziemnej“. Była to chwila, która wstrząsnęła wszystkimi. Na wielu twarzach, zwłaszcza Akowców, ukazały się łzy...

W drodze na cmentarz trumna została dodatkowo przykryta banderą kontrtorpedowca „Błyskawica“, którą nałożyli oficerowie Marynarki Wojennej.

★

Na cmentarzu Gunnesbury w drodze do grobu poprzedził trumnę wielki pochód utworzony z pocztów wojskowych — głównie pułków ułanów (8-my, 9-ty i 12-ty), pułku piechoty „Dzieci Warszawy“, 3 DSK i 5 KDP, sztandar lotników haftowany w czasie okupacji w Wilnie, organizacji kombatanckich i hufców harcerskich. Na odrębnych poduszkach dwaj Akowcy nieśli odznaczenia wojskowe i cywilne Zmarłego, inni — młodzież harcerska; dwie urny z ziemią ze Starówki i z Kraju.

Trumnę nieśli do grobu znowu Akowcy — tym razem z Manchester, którzy przyjechali na pogrzeb specjalnym autobusem w liczbie ponad 40 osób. Gen. Bór bowiem był częstym gościem w Manchester i tamtejsza grupa Akowców żywiła dla Zmarłego szczególny szacunek. Toteż im właśnie przypadł zaszczyt odprowadzenia Dowódcy Armii Krajowej na miejsce wiecznego spoczynku.

Wokół grobu zebrało się ponad 3.000 osób.

Po egzekwiach przemówił pierwszy o. Sporny, który zakończył swe przemówienie słowami:

„Wokół tej trumny skupia się dziś dużo serc, dużo myśli, dużo wspomnień i dużo wielkich spraw. Wszystkie polećmy Bogu!“

Następnie przemówił gen. Anders:

„Zebrałiśmy się tak licznie w wielkim smutku nad trumną śp. Generała Dywizji Tadeusza Komorowskiego.

Znaliśmy Go w Polsce jako wybitnego oficera z wojny polsko-bolszewickiej. Zajmował różne stanowiska i pomimo młodego wieku wielokrotnie dowodził pułkami kawalerii aż do ostatecznego zwycięstwa nad Związkiem Sowieckim. O Jego działalności w czasie pokoju najwięcej może powiedzieć Jego ukochany 9 pułk Ułanów, oraz oficerowie i podchorążowie Centrum Wyszolenia Kawalerii, którego był Komendantem. Wszędzie i na każdym stanowisku budził miłość i szacunek podwładnych i kolegów i jako żołnierz i jako człowiek o charakterze nieposzlakowanym.

Po napaści Niemców i bolszewików na Polskę w 1939, walczył nad Wisłą, a następnie w podziemiu. Znal Go wszyscy Polacy w Kraju i na obczyźnie, znały Go kraje cywilizowane świata jako dowódcę bohaterkiej Armii Krajowej. Znały Go Polskie Siły Zbrojne jako swego Wodza Naczelnego.

Wierny syn Polski Walczącej nie ustąpił w wysiłku i na obczyźnie reprezentował Zjednoczenie Narodowe jako wieloletni członek Rady Trzech, pracował jako kierownik i niestrudzony działacz Skarbu Narodowego, jako prezes Koła Generałów i Pułkowników i wielu innych niepodległościowych organizacji. Był członkiem honorowym SPK.

Generał Bór-Komorowski dobrze zasłużył się Ojczyźnie. Aż Bóg litościwy uzalił się nad Jego trudem, nad Jego ciężkim życiem i zmęczonym sercem i nagle — bez cierpień — powołał Go do Siebie. I to jest jedyna pociecha, jaką niesiemy Tobie, droga pani Ireneo, ukochana żono i wierna towarzyszo Tadeusza.

Ty, Adasiu, zostałeś obecnie głową rodziny. Pamiętaj zawsze z największą dumą, że jesteś synem Twego sławnego Ojca.

My, którzyśmy pozostali, z wielkim trudem będziemy musieli podzielić między siebie liczne prace Generała Bora-Komorowskiego. Wierzę, że spod tronu Stwórcy błogosławił nam w pracy i walce, jaką prowadzimy z wiarą i nadzieją o wolność i niepodległość Polski“.

Jako ostatni przemówił gen. T. Pełczyński:

„Składamy do grobu żołnierza Polski Podziemnej, dowódcę Armii Krajowej, człowieka, który do końca życia wiernie służył sprawie wolności naszej Ojczyzny.

Składamy go do ziemi obcej.

Czterech było w kraju komendantów głównych podziemnej organizacji wojskowej. Gen. Stefan Rowecki został stracony przez Niemców. Nie wiemy, gdzie leżą jego prochy. Nie wiemy również, gdzie leżą prochy ostatniego do-

wódcy Armii Krajowej, gen. Leopolda Okulickiego, który zginął w więzieniu sowieckim. Gen. Michał Tokarzewski i gen. Tadeusz Bór-Komorowski zmarli na ziemi obcej. — Takie są losy dowódców Armii Krajowej.

Gdy w połowie 1943 roku gen. Bór stanął na czele Armii Krajowej, w Polsce wzrastał się terror okupanta. Miliony obywateli Rzeczypospolitej ginęły w akcjach wysiedleńczych, w egzekucjach, w obozach, w krematoriach. Ginęli mężczyźni, kobiety, dzieci. Mimo terroru niosącego zagładę, w społeczeństwie rośnie opór.

Armia Krajowa jest wielką organizacją. Liczy ponad 350 tysięcy żołnierzy, mężczyzn i kobiet. Z jej pracą i z jej walką związane było całe społeczeństwo. Była ona bowiem wyrazem woli i nieugiętej postawy całego narodu. Ten związek z narodem czuje dowódca Armii Krajowej, gen. Bór. Czuje go zwłaszcza wtedy, gdy przychodzą momenty najtrudniejszych decyzji. Bo oto — zanim została rozbita potęga niemiecka, nad Polską zawisła groźba wrogiej przemo- cny sowieckiej.

W roku 1944 Armia Krajowa toczyła walkę na Wołyniu, walkę o Wilno, o Lwów, walki na Lubelszczyźnie i na Podlasiu, na ziemi Radomskiej, Kieleckiej, Krakowskiej i najeźszą, najtragiczniejszą z tych walk — Powstanie Warszawskie.

Gen. Bór dowodził Armią Krajową i kierował walką całego kraju. Toteż imię jego stało się symbolem Polski niezłomnie walczącej o wolność. Stało się tym symbolem nie tylko dla żołnierzy Armii Krajowej, nie tylko dla całego narodu, ale dla całego świata. W miarę upływu czasu, w perspektywie dziejowej postać gen. Bora w blasku jego cnót żołnierza, obywatela i człowieka będzie nabierać wielkości.

Śmierć gen. Bora okrywa żałobą jego żołnierzy rozsianych po całym świecie. Okrywa żałobą żołnierzy Armii Krajowej w Polsce, którzy mimo cierpień i prześladowań, mimo więzień i zsyłek, nie utracili siły ducha i pozostali wierni hasłom wolności i demokracji, wierni Polsce Niepodległej. Na trumnę swego dowódcy żołnierze Armii Krajowej przysłali z Polski kwiaty i ziemię polską. Tę ziemię zsypię za chwilę na trumnę Generała. Zsypię też garść ziemi i popiołu ze Starego Miasta, z bohaterkiej Starówki, gdzie gen. Bór w ogniu walki miał kwaterę przez dwadzieścia dni w czasie Powstania Warszawskiego.

Żegnając generała Bora w imieniu żołnierzy Armii Krajowej, powtórzę jego słowa, które po kapitulacji Warszawy skierował do nas, do swoich żołnierzy:

„Z wiarą w ostateczne zwycięstwo naszej słusznej sprawy, z wiarą w Ojczyznę umiłowaną, wielką i szczęśliwą, pozostajemy wszyscy nadal żołnierzami i obywatelami Niepodległej Polski, wierni sztandarom Rzeczypospolitej“.

Te słowa są testamentem, który nam pozostawia generał Bór, dowódca Armii Krajowej.

Generale, Nieugięty Dowódcu, Drogi Przyjacielu, wierzymy, że prochy Twoje powrócą do wolnej Ojczyzny, aby spocząć w Warszawie, wśród żołnierzy Armii Krajowej.

★

Nad trumną legendarnego Dowódcy Armii Krajowej pochylili się sztandary, a gdy przebrzmiały żałobne werble, sypano na wiko grudki ziemi — z Polski i ziemi obcej, by po raz ostatni oddać hołd gen. T. Borowi-Komorowskiemu. A wokół grobu narosła góra kwiatów — biało-czerwonych przede wszystkim, utkanych nieraz na kształt kotwicy.

Wierzę, że nadejdzie dzień, gdy istotnie zwłoki tego wielkiego Polaka spocz-

ną, jak to powiedziano w przemówieniu żałobnym, na ziemi polskiej, w Warszawie, wśród tysięcy innych Akowców, dla których gen. Bór był symbolem, zawołaniem, hasłem — i natchnieniem także.

★

Sprawozdanie powyższe nie byłoby pełne, gdybyśmy nie wspomnieli o dziwnym i niezrozumiałym stanowisku niektórych czynników angielskich a w szczególności stanowisku brytyjskiego ministerstwa obrony. Na wysłane do tegoż ministerstwa pismo z zaproszeniem do wzięcia udziału w uroczystościach pogrzebowych, rzecznik ministerstwa odpisał, iż „po dokładnym rozpatrzeniu sprawy“ postanowiono nie wysłać przedstawiciela.

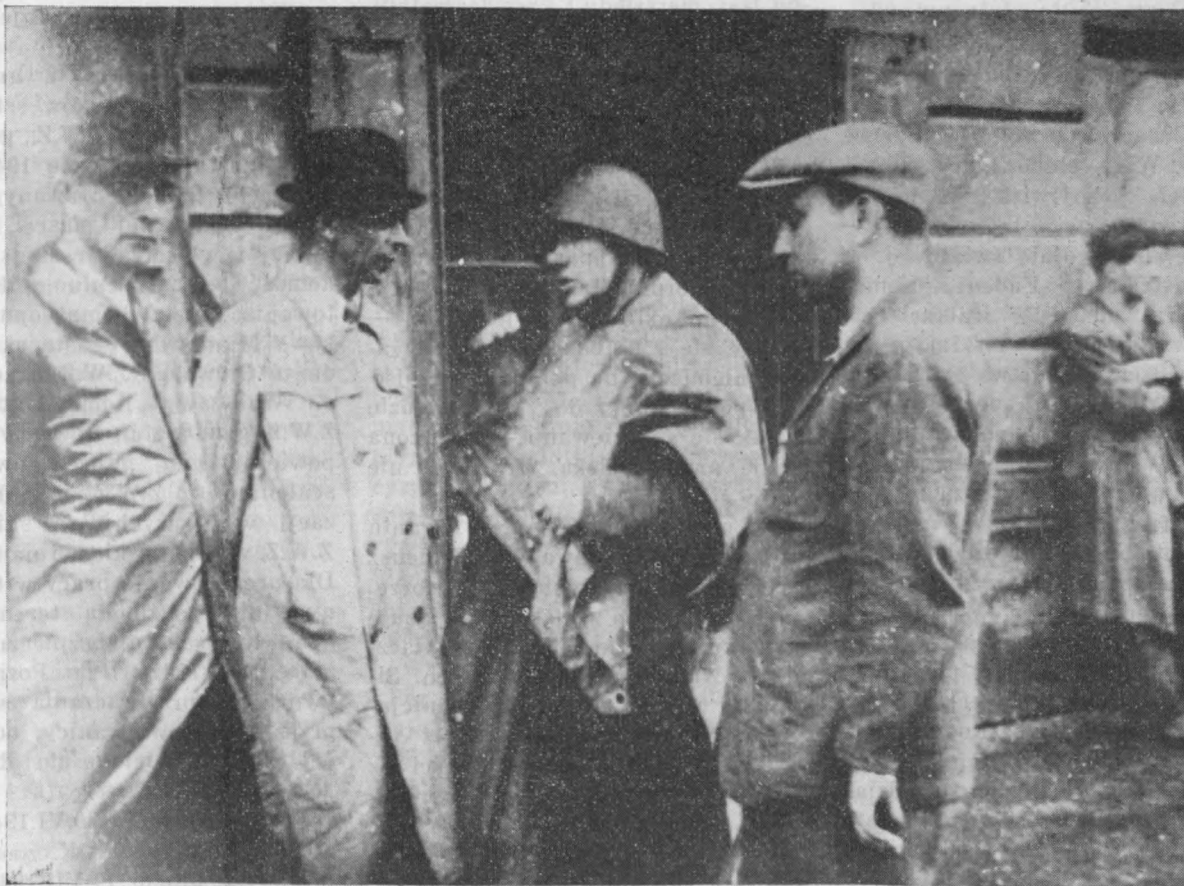
Odpowiedź ta wywołała falę oburzenia wśród Polaków. Oburzenie to podzieliła także znaczna część opinii brytyjskiej. Do redakcji znanego konserwatywnego dziennika *The Daily Telegraph* posyłały się protesty z różnych kół brytyjskich, które pismo to niemal codziennie umieszczało. To oburzenie — a było ono

powszechne — wywołało niewątpliwie konsternację w brytyjskich kołach rządowych i politycznych. Zapowiedziane zostały interpelacje zarówno w Izbie Gmin jak i w Izbie Lordów. Oburzenie było tak wielkie, że katolickie koła angielskie postanowiły z własnej inicjatywy odprawić 24 września uroczystą Mszę św. w westminsterskiej katedrze. Powstał nawet specjalny angielski komitet uczczenia pamięci gen. Bora.

Jak się dowiadujemy, w ostatniej chwili nabożeństwo to zostało odwołane, gdyż takie samo nabożeństwo, lecz na większą skalę i w formie bardziej uroczystej i oficjalnej, postanowiły jednak przygotować angielskie władze wojskowe.

W związku z tym wyznaczony pierwotnie termin 24 września został przesunięty na październik, by mieć dostatecznie wiele czasu na przygotowanie uroczystej Mszy św. Nie ulega wątpliwości, że wezmą w niej także udział wszystkie polskie czynniki polityczne i przedstawiciele organizacji społecznych i kombatanckich.

Paweł Hęciak



Gen. Bór (drugi od lewej) w dniu 3 sierpnia 1944 w Warszawie na inspekcji Zgrupowania „Radosława“ przy kwaterze „Radosława“ na Woli — ul. Okopowa na wprost wylotu ul. Dzielnej. Pierwszy od lewej: szef sztabu Zgrupowania „Bolek“ (mjr. dypl. Wacław Janaszek) trzeci od lewej — w płótnie namiotowym — „Radosław“ (ppłk. Jan Mazurkiewicz), czwarty od lewej w cyklistówce: „Szymon“ (kpt. Ryszard Krzywicki — adiutant gen. Bora).

KARTA SŁUŻBY POLSCE

Gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski piastował wiele najwyższych godności państwowych. W ostatnich latach był członkiem Rady Trzech. W latach 1947-49 był Premierem Rządu R.P. Pełnił funkcję Naczelnego Wodza 1945-47. Był Dowódcą Armii Krajowej od połowy 1943 do października 1944. W historii jednak imię Jego pozostanie na zawsze i najsilniej związane z Powstaniem Warszawskim.

Bogata i różnorodna jest karta jego służby żołnierskiej i państwowej.

Gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski urodził się 18 czerwca 1895 r. w Chorobrowie w Tarnopolskiem. Po ukończeniu 8-go gimnazjum we Lwowie, 18-letni Tadeusz Komorowski wstąpił do wojskowej szkoły kawalerii w Wiedniu. Byli w niej i inni koledzy Polacy; on jeden nosił już wtedy „w tornistrze“ przeznaczenie do najwyższych godności wojskowych w mającym się odrodzić wojsku polskim. Żeby je „z tornistra“ wydobyć, żeby na nie zasłużyć, trzeba było mieć wizję tego co miało nadejść; wizję szwadronów z białoczerwonymi proporczykami na lanchach, walczących o wolność własnego kraju. Wiele etapów, kryzysów i prób, wiele pobjawisk złożyło się na urzeczywistnienie tej wizji.

W pierwszej wojnie światowej, w armii austriackiej Tadeusz Komorowski brał udział w walkach na froncie wschodnim i włoskim.

Po odrodzeniu Państwa Polskiego, w listopadzie 1918 r., por. Tadeusz Komorowski wstępuje do armii polskiej. Jest jednym z organizatorów 8. pułku ułanów i wyrusza z pułkiem na front pod Lwów. Wkrótce zostaje rotmistrzem, dowodzi szwadronem, a później pełni funkcje zastępcy dowódcy pułku. W krytycznym okresie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., podczas powstrzymania ofensywy sowieckiej, gdy ma 25 lat, rtm. Tadeusz Komorowski obejmuje dowództwo 12. pułku ułanów. Na czele pułku bierze udział w zwycięskiej, największej i ostatniej w XX w. bitwie mas kawalerii; bitwie z armią konną Budiennego pod Komarowem, która przesądziła o powodzeniu polskim w tej części frontu i w niej to ostatecznie rozgromiono sowiecką armię konną. W bitwie tej wślawia się 12. pułk uła-

nów; jego dowódca zostaje ranny.

Odnaczenie przez Naczelnego Wodza Orderem Wojsnym Virtuti Militari V. Kl. i trzykrotnym Krzyżem Walecznych było uznaniem zasług bojowych rtm. Tadeusza Komorowskiego.

W okresie pokojowym mianowany kolejno majorem, podpułkownikiem i pułkownikiem, przechodzi Tadeusz Komorowski szczeble dowodzenia w 8. i 9. pułku ułanów; w 1927 r. zostaje dowódcą 9. pułku ułanów w Trembowli.

Poza służbą uprawia z zamiłowaniem sport konny, tak nierozłącznie związany z rodzajem swej broni. Dochodzi do doskonałości. Reprezentuje polskie barwy w ekipie jeździeckiej na Olimpiadzie w Paryżu w 1924 r., a jako szef ekipy — na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r.

Doświadczenie w kawaleryjskiej służbie liniowej otwiera przed płk. Tadeuszem Komorowskim w 1937 r. drogę do jednego z najwyższych w kawalerii stanowisk — Komendanta Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu.

W kampanii wrześniowej dowodzi grupą kawalerii w osłonie środkowej Wisły pod Górą Kalwarią. Po zakończeniu kampanii nie składa Niemcom broni. Zamiarem jego jest — z grupą kilkunastu jeźdźców — przebić się z Lubelskiego przez zapórę niemiecką na południe, przejść na Węgry i dalej do Francji, gdzie — jak się spodziewano — tworzona będzie armia polska. Próba ta nie udaje się.

Po przedostaniu się w ubraniu cywilnym do Krakowa, płk Tadeusz Komorowski przystępuje do tworzenia podziemnego wojska. Nawiązuje przez kurierów konspiracyjnie łączność z Naczelnym Wodzem gen. Sikorskim w Paryżu i dla swej inicjatywy otrzymuje aprobatę oraz instrukcje nawiązania łączności z Warszawą. W wyniku tych porozumień powierzono mu dowodzenie okręgiem południowo - zachodnim Z.W.Z. Przyjmuje pseud. „Korczak“.

Otwiera to nowy okres życia i walki, w jakże zmienionych warunkach. Wszystko trzeba tworzyć od podstaw, przyswajać sobie zasady konspiracji, wprowadzać je w życie. Warun-

ki są w Krakowie wyjątkowo trudne, mieszczą się tam niemieckie władze okupacyjne i czujność Gestapo jest zaostrożona. Mimo nieustannych zagrożeń i wysp, organizacja Z.W.Z. postępuje. Dzieli się teren na Inspektoraty i Obwody, tworzy się komendy lokalne. Na Z.W.Z. krakowskim ciąży dodatkowy obowiązek zabezpieczenia szlaków kurierskich, prowadzących przez Tatry i Karpaty na Słowację i na Węgry, skąd dalej do polskich władz naczelnych w Paryżu. Tymi trasami nadsyłane są stamtąd dla kraju instrukcje i fundusze. Powierzone zadanie spełnia Okręg Z.W.Z. wzorowo, łączność utrzymana jest trwale. Rozpoczyna się akcję sabotażową na coraz to większą skalę, nasilaną szczególnie po rozpoczęciu ofensywy niemieckiej na zachodzie, na wiosnę 1940 r.

W tym to czasie, w maju 1940 r., płk Tadeusz Komorowski, „Korczak“, mianowany zostaje generałem brygady.

W wyniku wysp i aresztowań przez Gestapo członków sztabu krakowskiego Okręgu Z.W.Z., gen. „Korczak“ został na wiosnę 1941 r. całkowicie zdekonspirowany. Tylko dzięki doskonałej masce konspiracyjnej i właściwej reakcji na wiadomość o zagrożeniu unika aresztowania. Musiał jednak opuścić Kraków. Mianowany zastępcą Komendanta Głównego Z.W.Z. przeniósł się do Warszawy. Komendant Główny Z.W.Z. gen. Stefan Rowecki („Grot“) powierzył gen. „Korczakowi“ prace scaleniowe z Z.W.Z. innych organizacji wojskowych oraz kierowanie Z.W.Z. w Poznańskim i na Pomorzu. Dla uregulowania pracy w tym trudnym dla podziemia terenie odbył gen. „Korczak“ niebezpieczną podróż zimą 1941-1942 r. do Poznania, co wymagało przekroczenia strzeżonej przez Niemców granicy, oddzielającej tereny wcielone do Rzeszy od „G.G.“

Po aresztowaniu 30.VI.1943 r. gen. „Grot“, dowódcą A.K. zostaje mianowany z dniem 17.VII.1943 r. gen. „Korczak“ przyjmując na tej funkcji pseudonim „Bór“.

Ramy organizacyjne A.K. są w tym czasie ustalone i jest ona sprawnym narzędziem walki. Prowadzi ją

GENERAŁA BORA-KOMOROWSKIEGO

B.D.I.C

w wielu odmianach, jako sabotaż, uderzenia dywersyjne, partyzantkę oraz na płaszczyźnie psychologicznej. Trwają równocześnie przygotowania do Powstania Powszechnego. Dla jego wyposażenia i dla zaspokojenia potrzeb walki bieżącej przybywa coraz więcej sprzętu drogą powietrzną z zachodu. Usprawnia się działalność Delegatury Rządu i umacnia się jej administracja terytorium. Odbywa się to w ścisłej i harmonijnej współpracy Delegatury z Armią Krajową.

Kierowanie tym rozbudowanym i złożonym mechanizmem spoczywa na barkach gen. „Bora“ i jego sztabu. Prace te prowadzi się pod zaostrzającym się terrorem okupantów. Trzeba wprowadzać dodatkowe środki ostrożności. Ciosy zadawane przez okupanta przerzedzają szeregi żołnierskie i sztabu.

Narasta w tym czasie nowa groźba, gdy po zerwaniu przez Rosję stosunków dyplomatycznych z Rządem R.P. front wschodni zbliżył się do granic Polski. Przyjęte rozwiązanie dla przeciwwstawienia się tej groźbie w kraju winno odpowiadać decyzjom politycznym, które należą do Rządu R.P. w Londynie. Dla przygotowania elementów do tych decyzji następuje okres intensywnych narad sztabowych wewnątrz A.K. i z Delegaturą Rządu oraz wymiana depesz i kurierów z Naczelnym Wodzem i Rządem R.P. w Londynie. W wyniku wymiany poglądów opracowany zostaje plan akcji „Burza“, którego myślą przewodnią było kontynuowanie walki z Niemcami oraz współdziałanie w niej z Armią Czerwoną.

Postawa gen. „Bora“ wobec władz naczelnych w Londynie jest lojalna, zachowuje on linię polityczną przyjętą przez Rząd R.P. Jeśli jednak zapada w Londynie decyzja mniej odpowiadająca warunkom panującym w kraju, gen. „Bór“ potrafi przekonać Londyn o słuszności swych propozycji i swych decyzji.

W marcu 1944 r. nadchodzi z Londynu nominacja gen. „Bora“ na generała dywizji: w czerwcu tegoż roku odznaczenie Orderem Wojennym Virtuti Militari IV. kl. Gen. „Bór“ depeszuje do Naczelnego Wodza:

„Wyróżniony ostatnio przez Pana Generała awansem na generała dywizji i odznaczony Virtuti Militari IV. klasy, czuję się w obowiązku zameldować Panu Generałowi, że to tak wysokie wyróżnienie rozumiem jako odznaczenie przez moją osobę wszystkich żołnierzy, którzy stoją pod moimi rozkazami. Ich bowiem postawie, pracy i poświęceniu zawdzięczam osiągnięcia Armii Krajowej. Wyróżnienie to zobowiązuje nas wszystkich do tym wydatniejszej pracy. Ja ze swej strony zapewniam Pana Generała, że pełnię funkcję komendanta Armii Krajowej dam ze siebie wszystko w miarę mych możliwości“.

Kierowanie akcją „Burza“, rozpoczętą przez A.K. na Wołyniu na wiosnę 1944 r. a prowadzoną następnie latem pod Wilnem, Lwowem, w Białostockiem i Lubelskiem, jest nowym okresem dowodzenia Armią Krajową przez gen. „Bora“. Jest to dowodzenie walką w polu z okupantem niemieckim i omijanie zasadzek zastawionych przez perfidię sowiecką. A.K. jest wojskiem wypróbowanym, dowódcy terenowi mają zaufanie do swego dowódcy i ściśle wykonują rozkazy gen. „Bora“. Perfidią sowiecką nie zdołała zrobić wyłomu w solidarnej postawie A.K.

Gdy front bojowy zbliżył się do bram Warszawy, gen. „Bór“ utrzymał przyjętą linię. W uzgodnieniu z czynnikami politycznymi powziął decyzję uwolnienia stolicy wysiłkiem żołnierza polskiego. Powziął decyzję zgodną z postawą ludności. Niezwykła solidarność wojska i ludności, jej współdziałanie w walce i ofiarność były tego świadectwem.

Wraz z wojskiem i ludnością gen. „Bór“ znosi trudy walki. Inspekcjonuje oddziały na barykadach. Gdy zachodzi potrzeba, odbywa uciążliwą drogę kanałami. Jest w stałym kontakcie z Delegatem Rządu Janem Stanisławem Jankowskim i Przewodniczącym Rady Jedności Narodowej — Kazimierzem Pużakiem. Bierze udział w obradach R.J.N. W krytycznych okresach walki spokój i opanowanie gen. „Bora“ zapobiegają upadkowi ducha. Przed decyzją

zbiera w sztabie potrzebne dla jej powzięcia elementy. Wyczuwa dobre nastroje wojska.

Osamotniona w swej walce Warszawa spotkała się z powtórny aktem zmywy obu najeźdźców, sojuszników z 1939 roku. Lotnictwo sowieckie znika znad Warszawy; Armia Czerwona pozostaje bierna zarówno na wschodnim brzegu Wisły, jak i na zdobytych przyczółkach na jej zachodnim brzegu.

Decyzję przerwania walki pobiera gen. „Bór“ po gruntownym rozpatrzeniu położenia wespół z czynnikami politycznymi, dowódcą okręgu Warszawa — gen. Antonim Chróścikiem, „Monterem“, i swym sztabem. Pomoc z zewnątrz zawiodła. Amunicja została całkowicie wyczerpana. Żołnierz i ludność cierpieli głód. Warszawa gorzała podpalana bombami i przez ekipy podpalaczy.

W tych warunkach wszczęto rozmowy kapitulacyjne. Wojsko miało opuścić Warszawę w dniach 4 i 5 października.

30 września 1944 r. Prezydent R. P., mianując gen. „Bora“ Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych, sugeruje w depeszy by starał się przedostać na zachód dla objęcia dowództwa. Gen. „Bór“ nie chce opuścić swych żołnierzy i dzieli ich los. Odrzuca propozycje Niemców stworzenia mu wygodniejszych warunków niewoli. Nie ulega również naciskom niemieckim by kontynuując akcję „Burza“ oddziałom A.K. wydać rozkaz jej przerwania.

Kolejne obozy jeńców: Langwasser koło Norymbergi, karny obóz Colditz, Laufen, Tittmoning, i Markt Pongau poprzedziły uwolnienie gen. „Bora“ z niewoli niemieckiej przez oddziały 103 dywizji piechoty amerykańskiej w dniu 5 maja 1945 r.

Po przybyciu do W. Brytanii rozpoczął się okres pracy Generała jako Naczelnego Wodza. Po zakończeniu wojny i rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych stało się aktualne rozmieszczenie w wolnym świecie żołnierzy, którzy odmówili powrotu do zniewolonego kraju. Rozpoczął się okres pracy organizacyjnej dla stworzenia na obczyźnie podstaw do dalszej walki o wyzwolenie kraju. Prowadził ją Generał nieustraszenie do ostatniej chwili swego życia.

Kazimierz Iranek-Osmecki

DWADZIEŚCIA lat temu, na kongresie Partii Pracy w Bournemouth, słuchałem niezwykle interesującego przemówienia Hugh Daltona, który był kanclerzem szachownicy, tj. ministrem skarbu w rządzie Klemensa Attlee. Dalton mówił o nakazie ostrożnego poruszania się w dziedzinie finansów, pomiędzy Seyllą inflacji a Charrybdą deflacji. Należy — mówił — wystrzegać się jednej i drugiej; warunkiem po temu jest utrzymanie ścisłego związku pomiędzy produkcją a siłą nabywczą, oczywiście siłą nabywczą ludności Wielkiej Brytanii. Dalton był gorącym rzecznikiem polityki taniego pieniądza, której pierwszym teoretykiem był Keynes. Za Keynesem powtarzał, że coraz to niższa stopa procentowa jest eutanazją rentiera; chciał w ten sposób przekonać i nakłonić socjalistów do tej polityki. Pod koniec przemówienia zauważył, że finanse winny być służą a nie panem ludzkości. Muszą być jednak, jak każdy sługa, traktowane z należnym respektem. „Musicie — mówił Dalton — starannie i uważnie studiować wymogi tego slugi“.

Dalton był wielkim socjalistycznym teoretykiem i praktykiem skarbowości. Wracam nieraz myślami do owej mowy Daltona, która była klasycznym wykładem na temat finansów pod rządami partii socjalistycznej. Dlatego Harold Wilson odbiegł tak dalece od wskazówek Daltona? dlaczego przechylili szalę tak bardzo na stronę deflacji? dlaczego stosuje politykę drogiego kredytu? Myślę, że jednak Wilson pozostaje wierny naczelnemu nakazowi, sformułowanemu przez Keynesa i powtórzonemu przez Daltona. Albowiem w hierarchii celów i zadań, jakie sobie stawia rząd socjalistyczny, na pierwszym miejscu musi stać pełne zatrudnienie. Polityka taniego kredytu rozumiana była przez Keynesa tylko jako środek zapewnienia pełnego zatrudnienia. Pełne zatrudnienie, to znaczy wyzyskanie pełnej zdolności produkcyjnej kraju takiego jak Wielka Brytania, wymaga szerokiego rozwinięcia skrzydeł, jeśli chodzi o eksport artykułów przemysłowych. Niegdyś nie tylko flota brytyjska panowała nad oceanami, ale i eksport brytyjski panował nad kontynentami, co się zresztą jedno z drugim w wielkiej mierze łączyło. Czasy te należą do przeszłości. Tak flocie wojennej brytyjskiej jak i przemysłowi brytyjskiemu zrodzili się potężni konkurenci. I znowu — w upadku pozycji brytyjskiej w świecie jedno łączy się ściśle z drugim. Przemysł, pracujący na eksport, konkuruje obecnie na rynkach światowych przede wszystkim taniaścią, to jest cenami towarów w przeliczeniu na jednostkę produkcji. Tu leży główne źródło obecnych

ADAM CIOLKOSZ

ANGIELSKA

trudności gospodarczych Wielkiej Brytanii.

Wedle danych, opublikowanych przez Organizację Gospodarczej Współpracy i Rozwoju w Paryżu, w okresie lat 1958 do 1965 udział Wielkiej Brytanii w światowym eksporcie artykułów przemysłowych spadł z 18.2% na 13.6%. W tym samym czasie udział Niemiec wzrósł z 18.5% na 19.3%, zaś udział Stanów Zjednoczonych Ameryki spadł z 23.2% na 20.4%. Ale Stany Zjednoczone mają ogromny i nad wyraz chłonny własny rynek wewnętrzny, na którym zawsze mogą szukać zbytu dla swojej produkcji, co najdobitniej wykazał okres Roosevelta. Nie muszą tedy zbytnio niepokoić się lekkim spadkiem swego eksportu zewnętrznego. Natomiast dla Wielkiej Brytanii hasło „eksportować albo zginąć“ jest aksjomatem, dla którego nie ma alternatywy.

Przynajmniej zmniejszania się eksportu brytyjskiego należy szukać w jego zacofaniu technicznym. Jest to paradoksalna konsekwencja faktu, że Wielka Brytania była pierwszym państwem przemysłowym świata. Laboratoria naukowe brytyjskie nadal produją w świecie, ale możliwości wykorzystywania dorobku tych laboratoriów skurczyły się w Wielkiej Brytanii. Dzięki swemu bogactwu, Ameryka góruje nad Wielką Brytanią, jeśli chodzi o możliwości nieustannej modernizacji przemysłu, komunikacji i transportu. Ale i kraje tego rzędu co Szwecja mają fabryki bardziej nowoczesne niż Wielka Brytania, zaczęły się bowiem uprzemysławiać o sto lat później i dlatego mogły osiągnąć od razu do najnowszych zdobyczy techniki produkcyjnej. Harold Wilson miał bez wątpienia rację, gdy przed dwoma laty na kongresie związków zawodowych w Blackpool, a potem na kongresie Partii Pracy w Scarborough wołał o przebudowę przemysłu, o tryumf naukowej racjonalizacji i modernizacji nad przestarzałą rutyną, jednym słowem o drugiej rewolucji przemysłową. Pod tym hasłem osiągnął Wilson niemal cud, bo doprowadził do zgody i jedności wewnątrz Partii Pracy, a następnie osiągnął zwycięstwo wyborcze i zdobył władzę.

Padają dziś złośliwe zapytania: gdzie ta rewolucja naukowo-techniczna? Została odłożona, ale nie złożona do lamusa. I nie może być złożona do lamusa, bo bez niej Wielka Brytania zginie jako potęga przemysłowa. Jeżeli nie przeprowadzi jej Wilson, będzie ją

musiał przeprowadzić ktoś inny. Wilsonowi przydarzyło się coś, co w historii stało się już udziałem niejednego zwycięzcy: zaszyły wydarzenia, których zwycięzca nie przewidywał przed bitwą. Może nawet w tym wypadku przewidywał, gdyż tuż przed wyborami, w październiku 1964 r., zaczął Wilson bić w dzwon alarmowy. Nie przewidział tylko konsekwencji.

Bicie na alarm okazało się uzasadnione, a nagromadzony deficyt w bilansie płatniczym okazał się większy, niż można było przypuszczać: około 750 milionów funtów. Deficyt ten narósł w wyniku coraz większego rozwierania się nożyc pomiędzy eksportem a importem, inaczej mówiąc, Wielka Brytania żyła nad stan, zadłużając się za granicą. Wracając do formuły Daltona, można też powiedzieć, że produkcja nie dostrzymywała kroku sile nabywczej społeczeństwa brytyjskiego — siła nabywca rosła szybciej niż produkcja. Winowajcą były rządy konserwatywne, które znały (bo musiały znać) prawdziwy stan rzeczy, mimo to ze względów politycznych zachowywały się beztrzesko, a nawet (Sir Douglas Home) przeczyły, by istniał powód do niepokoju. Skrupiło się na Wilsonie. Na giełdach obcych zaczęto liczyć się z możliwością dewaluacji funta. Dewaluacja funta oczywiście od razu poprawiłaby szanse eksportu brytyjskiego na rynkach światowych. Dewaluacja jest jednak bronią obosieczną, nikt nie może zabronić konkurentom odplacenia się pięknym za nadobne, więc po krótkim okresie tryumfalnym upadek byłby tym boleśniejszy. Wilson powziął decyzję obrony funta. W przyjętej linii postępowania okazał się nieugięty, chociaż bitwa o funta była i jest i trudną i bardzo kosztowną. W rozumieniu Wilsona, Wielka Brytania musi stanąć na własnych nogach, przestać żyć na kredyt, to znaczy przede wszystkim spłacić zobowiązania, zrównoważyć bilans handlowy i płatniczy, a następnie wzmocnić eksport, to znaczy produkować lepiej, szybciej i taniej.

Dzisiaj nie ulega wątpliwości, że taką linię postępowania przyjął Wilson od samego początku, od chwili gdy został premierem i że od początku miał zamiar traktowania jej na serio. Ale w pamięci ludzkiej pozostało, że przed piętnastu laty Sir Stafford Cripps także zarzekał się dewaluacji funta, a potem przeprowadził ją z nienacka, z dnia na dzień. Co ważniejsze, zachodziła wąt-

CHOROBA

P.D.I.C.

pliwość, czy Wilson potrafi opanować sytuację na odcinku związków zawodowych, gdzie stan pełnego zatrudnienia stwarzał duże możliwości podnoszenia zarobków robotniczych, a w konsekwencji — dalszego rozwierania nożyc pomiędzy produkcją a siłą nabywczą.

Podnoszenie poziomu życiowego klasy robotniczej jest prawem i obowiązkiem związków zawodowych, po to zostały stworzone i po to istnieją. Tendencja do wzrostu płac nominalnych i realnych jest u robotników naturalna, nie mógł jej stawiać oporu rząd konserwatywny, tym bardziej nie może jej opierać się rząd socjalistyczny. Kluczem do rozwiązania tego zagadnienia jest formuła „planowanego wzrostu zarobków“, którą Wilson przed dwoma laty przedłożył kongresowi związków zawodowych w Blackpool i która zapewniła mu sukces na tym kongresie, a potem zwycięstwo wyborcze. Narodowy plan rozwoju gospodarczego, pierwszy brytyjski plan pięcioletni, ogłoszony przez rząd Wilsona we wrześniu 1965 roku, był próbą dostosowania wzrostu płac do wzrostu produkcji. Do roku 1970 produkcja miała wzrosnąć o 25%, odpowiednio miały też wzrosnąć zarobki i poziom życiowy. Dzisiaj wiadomo, że plan ten nie będzie dotrzymany. Już w pierwszym roku pierwszej brytyjskiej „piatiletki“ wzrost płac przegonił lekko wzrost produkcji, z wszystkimi konsekwencjami, na które choruje gospodarka brytyjska od piętnastu lat. Rzecz w tym, że przez trzynastcie lat choroba była w stanie utajonym, zaś od dwóch lat wie o niej cały świat.

Regulowanie wzrostu płac jest rzeczą niezmiernie trudną. Związki zawodowe rodziły się, tak samo jak przemysł brytyjski, z początkiem XIX stulecia. Bardzo im trudno oderwać się od form organizacyjnych i od metod działania, które sobie wytworzyły w ciągu stu kilkudziesięciu lat. Każdy związek zawodowy strzeże czujnie i zazdrośnie swej niezależności nie tylko od rządu, ale i od innych związków. Centrala związków, nosząca nazwę Rady Generalnej Kongresu Związków Zawodowych (T.U.C.), rozporządza tylko autorytetem moralnym, nie może niczego poszczególnym związkom nakazać ani zakazać. Maszyna rokowań o warunki pracy i płacy przedstawia niesłychanie skomplikowaną gmatwaninę, w której każda kategoria pracy ludzkiej i każdy region broni zawzięcie swych dawnych praw i zdobywa krok po kroku

nowe prawa. Przypomina to potrosze walkę naszego chłopca o miedzę; brniąc skrawka ziemi, walczy on o całą swą egzystencję, o swoją przyszłość. Robotnicy brytyjscy pamiętają z swej przeszłości wielkie, zaciekle walki — przegrane, bo warunki ogólne nie sprzyjały. Taką walką był strajk górników brytyjskich w 1926 roku; trwał sześć miesięcy i nie dał wyniku, baronowie węglowi postawili na swoim i obniżyli zarobki. Robotnicy brytyjscy pamiętają też lata kryzysu gospodarczego, 1931 do 1939, kiedy to liczba bezrobotnych doszła do 3½ milionów. Odegrali się w latach wojny i po wojnie, cóż dziwnego, że bronią swej pozycji? Prawdą jest, że — jak to stwierdził Wilson na tegorocznym kongresie związków zawodowych, znowu w Blackpool — bywa i tak, że ośmiu robotników wykonuje pracę, którą może wykonać sześciu. Tak, ale tych ośmiu nie chce, by dwóch z nich utraciło pracę.

Rządowi Wilsona nie o to jednak chodzi, by stworzyć masowe bezrobocie. Sama myśl taka byłaby u rządu socjalistycznego niedopuszczalna. Plan „*social security*“, opracowany w czasie wojny przez lorda Beveridge'a, zakładał, że bezrobocie obejmujące 5% ogólnej siły roboczej nie jest groźne, jest nawet w pewnym sensie normalne. Obecnie liczba bezrobotnych wynosi nieco ponad 1%, zimą może dojść do 2%. To nie są liczby niepokojące. Ostatnio w Blackpool złożył Wilson związkom zawodowym bardzo ważne zapewnienie, stwierdzając, że rząd zmierza do utrzymaniu pełnego zatrudnienia. Chodzi jedynie o przesunięcie pracowników z zajęć nieproduktywnych (usługi) do zajęć produktywnych (fabryki, zwłaszcza fabryki produkujące na eksport). Rząd nie może w tym celu stosować środków przymusu, sięga więc do innych środków, jak *Selective Employment Tax*.

Także jeśli chodzi o regulowanie płac, rząd pragnie uniknąć środków przymusowych. Oprócz respektu dla uświęconych praw związków zawodowych, dużą niewątpliwie rolę odgrywa tu obawa przed wzrostem biurokracji. Należy jednak zwrócić uwagę na dwa bardzo ważne oświadczenia, które padły na tegorocznym kongresie związków zawodowych w Blackpool. Jedno padło z ust Wilsona, który proklamował zasadę, że nigdy już więcej płace nie będą mogły wzrastać szybciej niż wydajność pracy (liczonej jako wartość produkcji przypadającej na jednego zatrudnionego).

Drugie oświadczenie padło z ust Wiktora Feathera, zastępcy sekretarza generalnego T.U.C., który powiedział, że w przyszłości, zamiast by każdy związek z osobna wysuwał swe żądania, wszystkie związki będą musiały najpierw porozumieć się między sobą: komu i jakie potrzebne są podwyżki, a dopiero potem ruch zawodowy jako całość przedkładać będzie swe postulaty pracodawcom. Należy te słowa rozumieć w ten sposób, że najprawdopodobniej powstanie ciało, złożone z przedstawicieli robotniczych związków zawodowych, konfederacji przemysłowców oraz rządu — i ono będzie w ogólnym zarysie decydowało co roku o zasadności żądań podwyżkowych, mniej więcej tak samo, jak się to dzieje od dawna w Szwecji, chociaż może nie z taką precyzją. Warto przytoczyć tu słowa Feathera: „Doktryna, że każdy robotnik działa na własną rękę, skończyła się, gdy powstał pierwszy związek zawodowy, zaś doktryna, że każdy związek zawodowy działa na własną rękę, skończyła się razem z pierwszym narodowym planem gospodarczym“.

Plan gospodarczy, wypracowany i opublikowany przed rokiem, nie ostał się w zamęcie nieoczekiwanych wydarzeń i stanowi dziś dokument archiwalny. Wcale stąd jednak nie wynika, że porzeczona została zasada planowania gospodarczego. Wielka Brytania będzie musiała do niej powrócić — nie tylko jeśli chodzi o zagadnienie wzrostu wydajności pracy i wzrostu płac, ale także i inne zagadnienia. Wśród nich na miejsce naczelne wysuwa się zagadnienie inwestycji. Wedle liczb, ogłoszonych ostatnio przez Centralny Urząd Statystyczny, globalne inwestycje osiągnęły w roku ostatnim rekordowy poziom 21% dochodu społecznego (dla porównania podajmy, że w roku 1950 analogiczna liczba wynosiła 17%). Jednakże część tych kwot poszła na inwestycje za granicą, a co ważniejsze, wydatki na inwestycje w roku 1965 wzrosły w porównaniu z rokiem 1964 procentowo nawet nie o połowę wzrostu wydatków na spożycie.

Wzrost wydajności pracy, liczonej jako wartość produkcji przypadającej na jednego zatrudnionego, wymaga przede wszystkim modernizacji technicznej przemysłu brytyjskiego i to jest najbardziej piekący punkt gospodarki brytyjskiej. Rząd będzie musiał w przyszłości albo znaleźć sobie instrumenty działania, które pozwolą mu skierować większą niż obecnie część dochodu społecznego na inwestycje wewnątrz kraju, albo znaleźć za granicą duże kredyty na inwestycje, albo też jedno i drugie. Jedynym źródłem obcym, które wchodzi poważnie w rachubę, jest tu Ameryka, ale Ameryka sama weszła w

okres trudności z swym bilansem płatniczym i jest wątpliwe, czy będzie mogła w większym niż do tej pory stopniu zainteresować się inwestycjami w Wielkiej Brytanii. Wszystko to razem wzięte wskazuje na konieczność zastosowania bardziej niż dotychczas skutecznych metod planowania gospodarczego (właściwy byłby francuski termin „dirigisme“). Pociągnąć to musi za sobą m.in. rozszerzenie sektora gospodarki publicznej. Trudności gospodarcze nie tylko nie skłaniają do myśli o odstąpieniu od nacjonalizacji hutnictwa stalowego, ale wręcz odwrotnie — myśl tę umacniają. Wprawdzie przemysł stalowy zmodernizował się bardzo, jeśli chodzi o metody produkcji, ale jego organizacja jest wciąż zacofana. Racjonalna organizacja hutnictwa wymaga jednostek produkujących co najmniej 4 miliony ton stali w skali rocznej. W Ameryce 80% produkcji stali pochodzi ze spółek tej miary, w Japonii ponad 70%, natomiast w W. Brytanii nie ma ani jednej spółki tego rzędu. Zamierzona nacjonalizacja stali zmierza przede wszystkim do racjonalizacji. Po przejściu przez państwo czternastu największych spółek, skoncentrowane one zostaną w czterech, może pięciu zrzeszeniach, z których każde posiadać będzie zdolność produkcyjną około 7 milionów ton stali rocznie. Dopiero zrzeszenia tego rozmiaru potrafią konkurować na rynkach światowych z gigantami belgijskimi, holenderskimi i francuskimi. Kontrpropozycja federacji przemysłu stalowego nawet „Times“ uznał i za spóźnione i niedostateczne; ostatnio także „Sunday Times“ uznał nacjonalizację stali za nieuniknioną konieczność. Doświadczenie górnictwa, które pod kierownictwem lorda Robensa dzięki scaleniu wszystkich kopalń w jednym obiekcie gospodarczym mogło przeprowadzić niezwykle udaną modernizację i racjonalizację, jest dowodem, że kluczowe gałęzie produkcji brytyjskiej mogą sobie znaleźć miejsce w nowej, zmiennej sytuacji gospodarczej świata tylko pod warunkiem przejścia pod zarząd społeczny. Można przyjąć, że po dokonanej nacjonalizacji hutnictwa stalowego trzecia część brytyjskiej produkcji przemysłowej znajdzie się w ręku korporacji prawa publicznego. Reszta pozostanie w ręku prywatnym. Gospodarka brytyjska zachowa zatem typ gospodarki mieszanej. W dystrybucji dominować będzie inicjatywa prywatna, z którą spółdzielczość spożywców ostatnio przestaje wytrzymywać konkurencję.

Biadania Franka Cousinsa, że przejściowe zamrożenie płac oznacza koniec swobodnych związków zawodowych, są bezpodstawne. Nawet przy planowym określaniu wzrostu płac w miarę wzrostu produkcji, pozostanie dla związków

zawodowych ogromne pole działalności. Narodowy plan gospodarczy może bowiem określić tylko ogólną ramę. Żaden plan, żadna ustawa i żadna władza państwowa nie jest w stanie regulować płac dla tysięcy różnych kategorii robotniczych w setkach tysięcy dużych i małych zakładów pracy (sam Londyn mieści 40.000 fabryk). Natomiast koniecznością jest uproszczenie struktury związkowej. Struktura związków szwedzkich jest co prawda ideałem niedosięglym, tak samo bowiem jak fabryki szwedzkie budowane one były w sto lat po powstaniu związków brytyjskich i dlatego mogły uniknąć ich zawilgości. Mimo to drogą łączenia pokrewnych związków zawodowych można osiągnąć wiele także i w Wielkiej Brytanii. Rzecz w tym, że czasu na dzieło przebudowy jest mało. Gdyby po okresie zamrożenia płac (sześć miesięcy), a potem wstrzeźliwości w żądaniach podwyżkowych (dalsze sześć miesięcy) miało w powrocie zapanować prawo dżungli w stosunkach pracy i płacy (termin, ukuty przez George'a Brown'a), musiałyby powrócić także wszystkie obawy o stałość waluty szterlingowej i o bilans płatniczy.

Zarówno trudności w bilansie płatniczym, jak i konieczność poczynienia dużych inwestycji w przemyśle zmuszą Wielką Brytanię do dalszej rewizji swej pozycji w świecie. Jest to jedna z nielicznych przepowiedni, które można poczynić bez obawy, iż rozwój wydarzeń zada im kłam. Już likwidacja kolonii afrykańskich (słynny „wicher przemian“) podyktowana była w wielkiej mierze koniecznością przerzucenia rosnących wydatków publicznych na ludność miejscową, co nastąpić mogło tylko w warunkach przekazania administracji w ręce tej ludności. Awantura suezka sprzed dziesięciu lat przypieczętowała przejście Wielkiej Brytanii do rzędu mocarstw drugiej klasy. Pozostała jej rola na wschód od Suez, misja — jak się to eufemistycznie określa — pilnowania pokoju w rejonie Oceanu Indyjskiego. Ale i tam wojna pomiędzy Indiami a Pakistanem wykazała, że Wielka Brytania nie jest już w stanie pełnić roli policyjnej nawet w ograniczonym zakresie. Mnożą się głosy, że powinna rozstać się z tą rolą, bardzo kosztowną, gdyż wydatek z nią związany wyraża się liczbą 350 milionów funtów rocznie. Nie może dziwić, że głosy takie padają ze strony skrajnej, antyamerykańskiej lewicy Partii Pra-

cy. Znamienne jest jednak, że to samo głoszą ostatnio także politycy z prawicy Partii Pracy (Christopher Mayhew, Woodrow Wyatt, Reginald Paget) i z prawicy partii konserwatywnej (Enoch Powell). Widocznie rozwój wydarzeń idzie w tym kierunku z nieodpartą siłą.

W zasadzie gospodarka brytyjska jest zdrowa i ma wszelkie dane na utrzymanie swej roli jednego z głównych eksporterów na rynkach światowych. W warunkach obecnych nie jest do tego potrzebna ani potężna flota wojenna, ani lądowe i powietrzne siły zbrojne. Potrzebne są natomiast nowoczesne maszyny w fabrykach i biurach i nowoczesne metody handlowe. Wielka Brytania walczyć będzie o utrzymanie swej tradycyjnej roli jako bankiera świata, a przynajmniej jednego z głównych bankierów świata, bo od tego zależy przyszłość jej handlu. Będzie musiała przejść przez trudną, a czasami nawet bolesną drugą rewolucję przemysłową. Będzie musiała jeszcze bardziej ograniczyć swe zobowiązania międzynarodowe. Jeśli jednak uczyni to wszystko, będzie mogła żyć nie tylko przyzwoicie, ale nawet dostatnio. Obecne trudności Wielkiej Brytanii są duże, ale tylko przejściowej natury.

Czynnik czasu wyraża się tutaj miarą kadencji parlamentu. W oparciu o solidną większość stu głosów w Izbie Gmin, Wilson ma przed sobą jeszcze cztery lata rządów. W łonie swego własnego stronnictwa nie ma żadnego konkurenta, złe humory Cousinsa ograniczają się do terenu związków zawodowych, a i tam papiery jego spadają. Co do konserwatystów, przyznać trzeba, że Edward Heath jest najlepszym leaderem, jakiego w obecnych warunkach mogą oni mieć na swym czele. Tym niemniej jako przywódca opozycji nie sprostał oczekiwaniom i okazał się słaby nie tylko w konstruktywnych propozycjach, ale nawet w krytyce rządu. Pozostaje zatem stwierdzić, niezależnie od sympatii lub antypatii osobistych, że tylko Wilson może wyprowadzić gospodarkę brytyjską z matni, w jakiej się znalazła. Zasadnicza wizja gospodarcza Wilsona, ujawniona przed dwoma laty, jest słuszna. Nie umniejszając innych członków gabinetu, jak Callaghan, Michael Stewart, George Brown, stwierdzić trzeba że odgrywają oni tylko rolę pomocniczą w stosunku do Wilsona. On pobiera wszystkie główne decyzje, on też bierze na siebie pełnię odpowiedzialności. Do tej pory okazał się taktikiem bardzo zręcznym, o ogromnej wytrzymałości nerwowej. Istnieje duża szansa, że uda mu się odgrażyć — skutecznie, choć nie bez trudności — rolę lekarza chorej gospodarki angielskiej.

Adam Ciołkosz

Czy jesteś członkiem SPK?

O ZOBOWIĄZANIACH PRODUKCYJNYCH, CZYNACH SPOŁECZNYCH I INNYCH SPOSOBACH WYZYSKU MAS PRACUJĄCYCH

W DNIU 22 czerwca br. pojawił się na czołowym miejscu Głosu Pracy taki oto nagłówek: „Socjalistyczne współzawodnictwo i realizacja zobowiązań produkcyjnych — tematem obrad prezydium i komitetu wykonawczego centralnej rady związków zawodowych“.

Z treści spawozdania, ogłoszonego po posiedzeniu, dowiedzieliśmy się, że dwa pierwsze, a więc najważniejsze punkty obrad dotyczyły nie tylko realizacji zobowiązań produkcyjnych, ale i realizacji tzw. czynów społecznych, podejmowanych w całym kraju, na apel załogi zakładów Cegielskiego w Poznaniu.

Wydawało się, że lekcja, udzielona przez właśnie tę samą załogę fabryki Cegielskiego, w pamiętnych dniach czerwcowych 1956 r., powinna była pozostać w pamięci tych wszystkich, którzy ją sprowokowali, zwłaszcza fakt, że wystąpienie doprowadzonej do desperacji załogi Cegielskiego wyprzedziła podobna polityka wyzysku mas robotniczych. Podobnie jak dzisiaj, płatni sekretarze podstawowej organizacji partyjnej i związków zawodowych Kłosiewicza, podejmowali imieniem załogi zobowiązania produkcyjne i czyny społeczne. Jeśli w ogóle można się dopatrzeć dziś jakiejś różnicy to tylko, że miejsce Kłosiewicza zajął osobisty przyjaciel Gomułki, Loga-Sowiński.

Ale wypadki poznańskie wstrząsnęły partią u jej podstaw. Dzięki nim wrócił na stanowisko pierwszego sekretarza Gomułka, który teraz, po 12 latach, prowokuje załogę Cegielskiego taką samą metodą, jaką używał jego poprzednik-Bierut.

Na wspomnianym posiedzeniu, Loga-Sowiński przypomniał, aby wszystkie ognia związków zawodowych pilnie kontrolowały wykonanie podjętych zobowiązań. Chodzi bowiem, jak zaznaczył, o uczczenie nimi 1.000-lecia państwa polskiego. Nie wspomniał natomiast nic o tym, że polskie masy pracujące podjęły już kilka tygodni wcześniej inne zobowiązania produkcyjne dla uczczenia milenijnego 1. Maja.

Drugim punktem obrad było wprowadzenie, obok istniejących już brygad pracy socjalistycznej jeszcze dodatkowych „Brygad 1.000-lecia.“ W tym celu należy rozbudować współzawodnictwo indywidualne, wewnątrz-zakładowe i między-zakładowe, a zdobywcom

zostanie wręczony, przez niego samego, sztandar tysiąclecia.

Na omawianej konferencji nie starczyło już czasu na omówienie spraw socjalno-bytowych. Poruszono je natomiast na konferencji łódzkich włókniarzy, na które również przybył Loga-Sowiński z wiceministrem przemysłu lekkiego, Minorem. A właśnie na tej konferencji dowiedział się od delegatów o prawdziwej sytuacji, panującej na jednym tylko odcinku, tj. w przemysłowym tekstylnym i skórzanym.

KONFERENCJA WŁÓKNIARZY W ŁÓDZI

Delegaci przedstawili tu, na pierwszym miejscu, nieprzestrzeganie prawa pracy, czego jaskrawym dowodem było wniesienie do komisji rozjemczych, tylko w 1965 r., około 1.400 skarg. Stwierdzono ponadto nieprzestrzeganie praworządności i świadome lekceważenie przez zarządy przedsiębiorstw niewygodnych przepisów prawa pracy. Najczęściej spotykanymi wypadkami było tłumienie krytyki i arbitralne zwalnianie robotników, łamanie przepisów o czasie pracy, ukrywanie pracy w godzinach nadliczbowych, a wreszcie wykorzystywanie zobowiązań pracowniczych i czynów społecznych do nadrobienia zaległości w planach produkcyjnych. Nieprzestrzeganie czasu pracy i niepłacenie zarobków za godziny nadliczbowe, jak twierdzili delegaci, stało się zjawiskiem nagminnym. Cała uwaga dyrekcji przedsiębiorstw skierowana jest wyłącznie na zagadnienia produkcyjne. Praworządność i prawidłowe kształtowanie stosunków międzyludzkich nie istnieje.

Głos Pracy z 29 czerwca przedstawił te skargi, nie wspomniał jednak ani jednym słowem, jak na oskarżenia zareagował Loga-Sowiński, z czego należy wnioskować, że je zignorował.

18 PLENUM CENTRALNEJ RADY ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

W dniu 29 czerwca, prawie w 10-lecie wypadków poznańskich, ten sam Loga-Sowiński przewodniczył na 18. plenum CRZZ, na którym raz jeszcze dowiedział się od bardzo wielu delegatów o traktowaniu klasy pracującej i obojętności związków zawodowych na wypadki łamania prawa pracy. Dele-

gatka, Irena Sroczyńska, reprezentująca przemysł włókienniczy, odzieżowy i skórzany, powtórzyła wtedy raz jeszcze publicznie, że przedłużanie czasu pracy i nieregistrowanie godzin nadliczbowych stało się zjawiskiem masowym, ze szkodą dla pracowników.

Podobne oskarżenie podniósł również delegat związku zawodowego górników, który wskazał na bezduszność biurokracji przy załatwianiu wniosków o odszkodowanie za wypadki przy pracy, wręcz złośliwego lekceważenia tych, którzy na skutek tych wypadków utracili zdolność do pracy. Inni delegaci potwierdzili, że podobne praktyki stosuje się również i w ich zakładach pracy.

A co powiedział delegatom Loga-Sowiński?

W przedługim przemówieniu powtórzył im swoje przemówienie, wygłoszone w maju br. na 32 sesji światowej federacji związków zawodowych w Nikozji, na Cyprze. Przemówienie jego ogłosił w skrócie Głos Pracy z 30 czerwca. Przedstawił w nim, jak to polska partia komunistyczna i rząd oraz cały naród polski i wszystkie organizacje społeczne okazują wszechstronną pomoc narodowi wietnamskiemu i będą ją okazywać aż do ostatecznego zwycięstwa nad imperializmem amerykańskim. Jako dowód przytoczył apel załogi kombinatu hutniczego im. Lenina w Nowej Hucie, która wezwała załogi wszystkich zakładów przemysłowych w Polsce do podjęcia zbiórki pieniężnej na fundusz solidarności z walczącym Wietnamem.

O rozmiarach tej akcji, powiedział Loga-Sowiński, świadczą najlepiej wyniki. Od 12 marca do 20 czerwca br. oprócz miliona złotych, które wyasygnowała ze swych funduszy centralna rada związków zawodowych, wpłynęło z całej Polski prawie 13 milionów złotych. Organizacje spółdzielcze same tylko zebrały dwa i pół miliona złotych. Dodał, że obecnie centralna rada przystępuje do wydania specjalnych cegiełek dla dalszego zasilenia tego funduszu.

A zatem, w ciągu tylko trzech miesięcy wyciągnięto z kieszeni polskich mas pracujących 13 milionów złotych, nie licząc dodatkowego miliona, który również pochodzi ze składek tych samych ludzi pracy. A tu należy dodać,

o czym już wcześniej doniosła prasa, że utartym zwyczajem zbierano pieniądze dla Wietnamu wśród młodzieży szkolnej, a nawet wśród ociemniałych żołnierzy-weteranów wojny, którym wyciągnięto z ich funduszu trzy tysiące złotych.

Przemówienie Logi-Sowińskiego zakończyło uchwalenie rezolucji o sposobie prowadzenia krajowych zjazdów, opracowanie projektu kształcenia ideowego i przygotowanie poprawek do statutu. I tu żale i oskarżenia, podniesione przez delegatów, pozostawiono bez odpowiedzi. Żadne bowiem zagadnienie, poruszone przez delegatów nie znalazło miejsca w rezolucji.

CZYNY SPOŁECZNE

Podczas gdy głównym zadaniem związków zawodowych jest forsowanie produkcji drogą zobowiązań specjalnych i współzawodnictwa pracy, partia od przeszło 20 lat wprowadziła w życie, inny rodzaj zobowiązań, znany pod nazwą „czynów społecznych“, który obejmuje swym zasięgiem całe społeczeństwo nie wyłączając dzieci szkolnych. Podejmowanie czynów społecznych organizują i nadzorują członkowie frontu narodowego, przy pomocy rad narodowych. Rodzaj i charakter czynów społecznych nie był dawniej dokładnie określony. Dopiero uchwałą rady ministrów z 20 września 1961 roku nadano temu systemowi wyzysku ludności, następujące brzmienie:

„Czynem społecznym jest wszelka dobrowolna działalność ludności, zmierzająca przez udzielenie własnych środków finansowych, materiałowych i robocizny, lub niektórych z tych środków, do wykonania określonego zadania o charakterze inwestycyjnym, remontowym, wyposażenia oraz prac porządkowych, w zakresie obiektów, stanowiących własność społeczną, a służących przede wszystkim do użytku publicznego.“

Wyniki tej „dobrowolnej i spontanicznej“ akcji, podejmowanej przez coraz to szersze koła ludności, przedstawiły w numerze lipcowym Nowe Drogi. Sprawozdanie obejmuje okres pięcioletni tj. 1961 do 1965, a inwestycje wykonane za pomocą czynów społecznych obliczono na około 17 miliardów złotych, z czego udział ludności w pieniądzu, materiałach i bezpłatnej robociznie wynosił przeszło 10 miliardów złotych. Pozostałe koszty pokryte zostały z budżetów rad narodowych i dopłaty ze skarbu państwa. Nowe Drogi wyliczyły, że w okręgach wiejskich, zresztą najbardziej wykorzystywanych, zbudowano ok. 9 tysięcy kilometrów dróg o nawierzchni trwałej i blisko 8 tysięcy km. dróg

naprawiono. Ponadto zbudowano 630 mostów, o łącznej długości 7 tysięcy metrów, 500 kilometrów sieci wodociągowej, zieleńce na obszarze 1,500 hektarów, 1.800 izb szkolnych, 600 świetlic i domów kultury, 1.000 remiz strażackich oraz 4.000 zbiorników przeciwpożarowych. A tu należy dodać, że w okresie planu sześcioletniego, chłopci w województwie lubelskim, zbudowali drogą „czynów społecznych“ kanał Wieprz-Krzna, długości około 50 kilometrów.

Ale akcja czynów społecznych ma, jak zwykle, i swoje ciemne strony. Nowe Drogi przytaczają, że często rady narodowe i komitety frontu narodowego, rozpoczynają prace inwestycyjne bez uprzedniego zapewnienia sobie środków pieniężnych i materiałowych, co wywołuje rozgoryczenie wśród ludności, którą się później zmusza do podjęcia „dobrowolnego“ czynu społecznego. Ponadto stwierdzono, że rady gminne i komitety frontu narodowego, często nie prowadziły należytej ewidencji środków pieniężnych i materiałów, zebranych od ludności, zaniedbywano rejestracji wydatków i stwierdzono karygodne marnotrawstwo, a nawet nadużycia.

Jednak chyba najbardziej sensacyjną częścią artykułu w Nowych Drogach było stwierdzenie, że czyny społeczne, w nowym pięcioletniu (1966—1970) muszą być wykonane, bo ich równowartość została już umieszczona w nowym planie gospodarczym na ten okres. A zatem to, co ludność ma uchwalić „dobrowolnie i spontanicznie“ w roku 1970 mieści się już w planie, który zaczął obowiązywać w bieżącym roku. A Nowe Drogi przypominają, że drogą czynów społecznych ludność musi zbudować w nowym pięcioletniu dalsze 10 tysięcy kilometrów dróg i określoną już również teraz, ilość klas szkolnych i mieszkań dla nauczycieli.

Nowe Drogi również nie wspomniały, że ludność Polski uczciła w bieżącym roku, już dwa wydarzenia specjalnymi czynami społecznymi: milenijny dzień 1 maja i 22-lecie „Polski odrodzonej“. A w przyszłym roku czeka ją rocznica niełada, bo 50-lecie rewolucji październikowej. Już dzisiaj rozważa się w Komitecie centralnym partii i w centralnej radzie związków zawodowych plany nowych, dodatkowych czynów społecznych i zobowiązań produkcyjnych, którymi polskie masy pracujące mają uczcić wiekopomną rocznicę bratniego narodu radzieckiego. Na żyjącą dziś generację, która już od 20 lat ponosić musi ciężary przebudowy struktury ekonomicznej kraju spadną ciężary nowe, cechujące traktowanie klasy robotniczej przez dyktaturę proletariatu.

Jan Adamski

„Z BATEM CZY BEZ BATA“

(FEI) Serię plenarnych posiedzeń partyjnych instancji — pisze krakowski „Życie Literackie“ w artykule Z. Kwiatkowskiego „Z batem czy bez bata“ — poświęca się co roku z „konsekwencją“ zastanawiającą, wyłącznie problemom ekonomicznym“. Mówi się na nich o wydajności pracy, niżu i wyżu demograficznym, szkoleniu zawodowym itd. Oficjalne („obowiązujące“) poglądy np. na temat zatrudnienia „zamykają się przeważnie w jednym zdaniu: jest dobrze. I będzie dobrze.

Ten „napawający optymizmem obraz“ — stwierdza autor artykułu — nie odpowiada rzeczywistości. Kwiatkowski cytuje szereg liczb i przykładów, z których wynika, że władze reżymowe mają i będą miały poważne kłopoty z zatrudnieniem w latach 1966—1970, gdyż stale wzrasta nadwyżka siły roboczej. „Powiedzmy głośno to, o czym po cichu mówi cała Polska wojewódzka i powiatowa, mówi nieoficjalnie: problem zatrudnienia, zgodny z wymogami ekonomii — jest w naszych warunkach ustrojowych nie do rozwiązania. Albo pełne zatrudnienie i wysokie koszty produkcji, albo „niepełne“ z „rezerwową armią pracy“, a więc bezrobotnymi.

Autor artykułu stwierdza, że według relacji różnych „kadrowców i dyrektorów przedsiębiorstw, kierowników instytucji i naczelników wydziałów — bez „bata ekonomicznego“ nasza gospodarka daleko nie ujedzie... Czy rozwiązanie takie tkwi w „zdrowym kompromisie“? W połączeniu elementów polityki bata (a więc poważnych ograniczeń na odciążenie zatrudnienia) z elementami dydaktyki społecznej?... Kwiatkowski „nie czuje się na siłach“ i „nie uważa za swój obowiązek“, aby choćby „sugerować odpowiedzi“.

TELEWIZJA W POLSCE I W KRAJACH SĄSIEDNICH

(FEI) Według informacji „Trybuna Ludu“ (nr. 206) z końcem ub. r. zarejestrowanych było w Polsce 2 miliony abonentów telewizyjnych. Dla porównania — pisze dziennik — warto dodać, że w tym samym okresie czasu Bułgaria miała 188.000 teleabonentów, Czechosłowacja — 2,112.000, Jugosławia — 578.000, Niemcy Wschodnie — 3,216.000, a Węgry — 831.000.

W lipcu br. — jak podaje dalej „Trybuna Ludu“ — było w Polsce 2,275.000 teleabonentów. W rozwoju telewizji krajowej prowadzi woj. katowickie. Do najsłabiej obsłużonych przez telewizję województw należą: rzeszowskie, olsztyńskie i białostockie. W miastach zarejestrowanych jest 1,865.000 abonentów, na wsi zaś tylko 391.000.

RZUT OKA NA DUBLIN

czyli jakie to wszystko znajome...

JAKIE to wszystko znajome! Płoną za wolność pożary, za honor padają strzały, giną bohaterzy za lepsze jutro... Czytaliśmy o tym w historii Polski, znamy to z historii Żydów, tej starej i tej najnowszej. Mocni duchem, uzbrojeni w wiarę walczą z przemocą.

„...Ogłaszamy prawo narodu irlandzkiego do Irlandii, do pełnej kontroli irlandzkiego losu i nieodwracalnej suwerenności. Długa uzurpacja tego prawa przez obcy naród i rząd nie zlikwidowała tego prawa, które może zniszczyć tylko eksterminacja irlandzkiego narodu. W każdym pokoleniu naród irlandzki stwierdzał swoje prawo do narodowej wolności i suwerenności; sześciokrotnie w ciągu ubiegłych 300 lat, robił to z bronią w ręku. Obstając przy tym fundamentalnym prawie, potwierdzamy je raz jeszcze bronią, i wobec świata całego proklamujemy niniejszym Irlandzką Republikę, jako suwerenne i niepodległe państwo, ręką życia własnym i życiem towarzyszy broni za jej wolność, dobrobyt i wywyższenie wśród narodów...“

To urywek z wielkiego Manifestu, który na Wielkanoc 1916 podpisało krwią 7 przywódców powstania irlandzkiego. W powstaniu przeciwko Anglikom wzięło udział 1.500 ludzi, z tej liczby zabitych zostało 103, rannych — 367. Przywódców, w liczbie 14, rozstrzelano.*) Zastępcą dowódcy była piękna Konstancja Gore-Booth, żona Polaka, Kazimierza Markiewicza, uwięziona po powstaniu, a następnie — Minister Pracy w pierwszym rządzie irlandzkim.

Irlandia zdobyła niepodległość w r. 1922. Dziś obchodzi uroczyste pięćdziesięciolecie powstania, które do tej niepodległości doprowadziło. Bo jak mówi poeta „wolności nie dostaje się na złotej tacy“, trzeba okupić ją krwią. W Irlandii i gdzieindziej.

Kogo pilnuje policjant na pustym placu, na głównej ulicy Dublinu? Miejsca po wysadzonym w powietrze przed kilkoma miesiącami Nelsonie. „To pewno robota jakiegoś Francuza“, odpowiada niepewnie Irlandczyk Bill na moje pytanie, dlaczego właśnie Nelsona? Bo co prawda dla Irlandczyków, jak i dla Anglików, przysłowiowym „złym“ jest teraz Francuz, ale pomnik Nelsona rozwalili nacjonalisci irlandey

*) Ocalał wówczas De Valera, zwolniony jako obywatel amerykański.

dla zademonstrowania swojej niewygasłej (aczkolwiek bardzo już dzisiaj przygaszonej!) nienawiści do byłego okupanta. Na dodatek, przeszmuglowanej do Londynu głowie posągu zamalowali usta i oczy trudną do starcia farbą.

„Czy naprawdę tak ich nienawidzicie?“

„Naturalnie“, odpowiada Bill równie niepewnym głosem, „musimy jednak żyć z nimi w zgodzie. Grupka szowinistów, wiesz, wszędzie tą tacy... A Nelson tak pięknie wyglądał na pocztówkach i można było, z góry posągu, zobaczyć cały Dublin. Prawie jak z wieży Eiffel!“ — kończy z widocznym żalem.

Bill był ugodowy, pracuje przecież z Anglikami, bo nie może inaczej. Tym niemniej, gdy wychodzimy ze zniszczonego narodowego teatru „Abbey“, z 2 sztuk narodowego wieszczą Irlandii, Seana O'Casey, Bill mówi: „Widzisz, tak to właśnie wyglądało z tymi czarno-bronzowymi psami!“ Przyczym obdarza synów Albionu niecenzurowanym epitetem. W sztukach tych doskonały dramaturg, który do końca pozostał wierny Irlandii, pokazał krańcową nędzę i upośledzenie autochtonów przez brutalnych „blacks and tans“ czyli angielskich ochotników, zdaniem Irlandczyków, specjalnie dobranych z pośród najgorszych kryminalistów.

Położony blisko morza, przecięty malowniczą rzeką, Dublin liczy pół miliona mieszkańców, stanowi odpozynek po ruchu, zgiełku i sadzach Londynu. Z licznych wież starych kościołów, katolickich i protestanckich, spływają dźwięki dzwonów w podniebnym koncercie. Irlandczycy są gorącymi katolikami: ponoć w jakiejś miejscowości turystycznej postawili barykady, żeby pojazdy nie wjeżdżały w niedzielę. W Belfaście zaś — tak mi opowiadano — o mało nie zlynczowali jakiejś kobiety na tle religijnym. Niemniej więcej widać kościołów protestanckich, pozostałość po Anglikach. W niedzielę wylęgają na ulice świąteczne tłumy, rozgadane całkiem nie po angielsku, ludzie skromnie ubrani, kobiety prawie niemalowane. Śliczna prowincja.

Kilka kin, kilka teatrów z wieloma pustymi miejscami, dużo barów. „Czy macie tu wszystkie nowe filmy?“ pytam Billa, oglądając obrazki z jakiegoś antycznego filmu. Bill jest odrobinę zmieszany. „No, nie, tylko cnotliwe“, westchnął z nietajoną przykrością. Sex

w jakiejkolwiek postaci jest w Irlandii tabu i to we wszystkich działach sztuk pięknych, nie tylko w kinie. Czy w życiu też, nie wiem, ale dzieci jest dużo i ładne. Cenzura działa pełną parą, odrzucając jedne po drugich książki, filmy, sztuki teatralne, nawet te najlepsze. Wynikiem tego nastawienia jest smutny exodus ludzi pióra i teatru, którzy nie chcą nagiąć się do skostniałej polityki i opuszczają kraj, tym bardziej, że w Anglii czy w Ameryce mają bez porównania większe możliwości i pole działania.

W pozabawionej bogactw naturalnych, trzymilionowej Irlandii, możliwości i pole działania są ograniczone i w innych dziedzinach. W tym zacofanym pod względem rolniczym, nieuprzemysłowionym kraju panuje we wszystkich odłamach gospodarki zastój, który zmusza nawet największych patriotów do szukania chleba zagranicą. Rozgoryczeni mężczyźni wysuwają projekty, aby nie dawać zameżnym kobietom prawa pracy.

Rząd irlandzki robi co może, aby ściągnąć obcy kapitał: wokół lotniska w Shannon, jak i w innych okęgach „niedorozwiniętych“, rząd daje inwestorom duże pożyczki i zwalnia ich na 10 lat od podatków, aby tylko budowali miejsca pracy dla łaknących jej ludzi, sytuacja całkiem odwrotna niż w Anglii. W okolicy Dublinu oglądałam nową „dzielnice przemysłową“: niewielkie fabryczki, angielskie, niemieckie, włoskie, produkujące chemikalia, kosmetyki, zupy w proszku itp. „Własny“ przemysł Irlandii ogranicza się do piwa Guinness, papierosów i do wyrobów chałupniczych, pięknych ręcznych tkanin, dzianin i haftów.

Kilka dużych uniwersytetów (w Dublinie, Cork i Belfast), najstarszy ponoć na świecie Wydział Ginekologii, a na uczelniach dużo zagranicznych studentów, białych i nie-białych, bo nauka jest łatwiejsza niż w Anglii i mieje więcej niż w licznych uniwersytetach angielskich.

Jako, że biedny ma zawsze mniej problemów od bogatego, tak i Irlandia wolna jest od szeregu kłopotów, które gnębią jej bogatą sąsiadkę, Anglię, takich, jak spadek funta, influks „kolorowych“, czy przestępczość na wielką skalę. „To hotel, w którym ukradli klejnoty Elisabeth Taylor“ pokazał mi Bill staroświecki hotel Gresham, na głównej ulicy Dublinu, przyczym w głosie jego było tyle dumy, że trudno było zorien-

tować się, co mu sprawia większą przyjemność, czy wizyta Elisabeth Taylor, czy też że i u nich popełniono (nareszcie?) kradzież na międzynarodową skalę.

W tych warunkach nie ma oczywiście mowy o „Welfare State“. Każdy musi płacić za leczenie, chociaż nawet potrącają mu ubezpieczeniowe składki z pensji, a bezrobotni dostają niewystarczający na życie zasiłek w ciągu 6 tygodni, a potem... „Potem muszą sami dbać o siebie“, mówi Bill z fatalistycznym wzruszeniem ramion. Bo bieda dla Irlandczyków to nie nowina, za Anglików było o wiele gorzej. I zawsze jest „the other side“, Anglia, w której — z przyjemnością czy bez — można znaleźć pracę. Również ochotnicze wojsko angielskie liczy wielu „Paddys“ (zdrobnienie od Patryka), bo Irlandczyk jest od bitki i od wypitki i lubi wojsko, jakiegokolwiek ono nie było.

Gdy przyjeżdża się do Irlandii z Anglii, nie ma kontroli paszportowej, a celnik pyta zdawkowo „business?“ i nawet nie patrzy na walizki. Językiem panującym jest angielski ze specyficznym irlandzkim akcentem, a próby wprowadzenia języka starogalijskiego ograniczają się do dwujęzycznych napisów w urzędach i na tabliczkach z nazwami ulic. W szkołach starogalijski język jest co prawda obowiązkowy, ale jak mi powiedział Bill, za mało tej nauki, żeby ktoś nauczył się naprawdę. Nieliczne wypowiedzi pisarzy i poetów w tym martwym języku rozchodzą się w tak mikroskopijnych ilościach, że trzeba być super-patriotą, by w nim pisać. Znani pisarze irlandzcy to właściwie pisarze angielscy: Jonathan Swift, autor „Podróży Gullivera“ i były dziekan katedry św. Patryka, poeta W. B. Yeats, Bernard Shaw, urodzony na ulicy Synge w Dublinie, Oscar Wilde, który uczył się w dublińskim Trinity College, Sheridan, James Joyce, Sean O'Casey i inni, mniej znani poza granicami Irlandii i Anglii. Irlandczykami byli chyba w tym znaczeniu, w jakim Mickiewicz był Litwinem.

Mina Tomkiewicz

PIOTR GUZY

ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Wyd. Instytut Literacki
w Paryżu

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.



GRYF — Księgarnia S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. i P. C. A.
PUBLICATIONS LTD.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W.7. Tel.: KNI 3500

NASZE NOWOŚCI WYDAWNICZE

NAJLEPSZY PODAREK W ROKU MILLENIJNYM!

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM.

Str. XX + 506. W opracowaniu Lidii Ciołkoszowej. Ilustracje Ireny Ludwig.
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Tysiąc lat naszej historii w kilkudziesięciu felietonach, pełnych humoru i ciekawostek. Anegdotyczne nieraz opowiadania posiadają jednak swoją historyzoficzną pointę. Książka w sposób lekki zapoznaje z najważniejszymi faktami z naszej historii każdego czytelnika bez względu na wiek i przygotowanie.

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY.

Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Zbeletryzowany pamiętnik-opowieść o współzyciu Polaków i Żydów w Warszawie okupowanej przez Niemców w okresie drugiej wojny światowej. Życie warszawskiego getta jest pokazane realnie. Każdy, kto pragnie mieć bez emocji i propagandy prawdziwy obraz tego jedyne w swoim rodzaju tragicznego epizodu w historii Polski, powinien tę książkę przeczytać.

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI.

Stron 567. Ilustracje i indeks. Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

W ciekawych i bezpośrednich zapiskach polskiego ambasadora w Ankarze ukazuje się nam cała panorama Europy w okresie drugiej wojny światowej. Książka jest wspaniałym przyczynkiem dla zrozumienia wielu wydarzeń i decyzji, które zapadały w dyplomatycznych gabinetach, a które decydowały o przebiegu i losach wojny.

Lidia i Adam Ciołkoszowie — ZARYS DZIEJÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I.

Str. 520 + 65 plansz ilustracyjnych. Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe i demokratyczne tendencje polskiego ruchu socjalistycznego. Książka zawiera wiele materiałów dokumentarnych dotychczas nigdzie nie ogłoszonych.

Kazimierz Klochowicz — CZTERY NIEDOTRZYMANE PAKTY.

Str. 184. Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Pakty nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakty o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią zawarte przez Polskę dla ratowania pokoju w Europie nie zostały dotrzymane lub spełnione w sposób dostateczny. Autor omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

★

Uwaga: Koszt przesyłki każdej książki wynosi 3/-, \$0.50, F.2.50

Wszystkie książki do nabycia w:

KSIEGARNI S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
Gr. Britain

ARGENTYNA NA ROZDROŻU

28 czerwca br. Argentyna przeżyła nowe „pronunciamiento“ czy, jak się to mówi pogardliwie w Ameryce Południowej „cuartelazo“ (pucz koszarowy). Co go odróżnia od poprzednich, to brak sprzeciwu społeczeństwa, zarówno klas posiadających jak i robotniczej, która jest w dużym odsetku, mimo upływu prawie 11 lat od usunięcia z kraju Perona i jego demagogicznej dyktatury, wierną zwolenniczką eks-tyrana, żyjącego z młodą żoną na wygodnym wygnaniu, w Madrycie.

Argentyna i Brazylia, dwaj „wielcy“ kontynentu południowo-amerykańskiego, historyczni rywale, znajdują się dzisiaj pod władzą reżimów wojskowych, tak do siebie podobnych na pozór, że mówi się o osi Rio de Janeiro-Buenos Aires, zwłaszcza, że nowy prezydent Argentyny, gen. Onganía i gen. Costa e Silva w Brazylii nie od dzisiaj wyrażają zbliżone poglądy o podstawowych zagadnieniach tego kontynentu. Rewolucja brazylijska, z 1 kwietnia 1964 r., miała swoje uzasadnienie w fakcie szybkiego stacjonowania się Brazylii po równi pochyłej ku komunizmowi i to dzięki jej prezydentowi, Jango Goulart, udoskonalonemu wydaniu Kiereńskiego. Jest niewątpliwe, że gdyby naówczas Brazylia była dostała się pod władzę komunistów i ich sojuszników, lewicowych nacjonalistów i „postępowych“ katolików, cały kontynent południowo-amerykański byłby, poprzez Kubę i skomunizowaną Brazylię, wpadł w sieci czerwonej dyktatury lub borykał się z ciężką i krwawą wojną domową.

Jeżeli chodzi o Argentyne, sprawy mają się, nieco inaczej. Komuniści argentyńscy nie są, tak silni, jak byli w Brazylii, za czasów Goularta. Skrajna lewica argentyńska jest naogół rozproszona organizacyjnie, chociaż posiada dużo zwolenników w szkolnictwie wyższym i wśród inteligencji zawodowej. Prawdziwe zagadnienie społeczne natomiast to miliony peronistów o nieskrystalizowanej ideologii jeżeli chodzi o stosunek do komunizmu, zdecydowanie anty-amerykańskie. Peron kokietował nawet Mao-tse-tunga, a pewne grupy lewicowego skrzydła jego zwolenników (Cook i inni) wyraźnie współpracują z Kubą Fidela Castro.

Przeciwnicy peronizmu, w Argentynie, są liczni, ale jak to zwykle bywa, rozproszeni i podzieleni pomiędzy niezliczoną ilość partii. Dawniejsza potężna partia radykalna, rozszczepiona na dwa zwalczające się stronnictwa: par-

tię radykalną ludową, do 28 czerwca br. sprawującą rządy, z przywódcą dr Ricardo Balbinem i z której ramienia prezydentem republiki był, do ostatniej rewolucji, dr Arturo Illia i partię radykalną nieprzejednaną, której przywódcą był dr Arturo Frondizi, prezydent republiki od 1958 roku (wybrany na skutek kompromisu, zawartego z Peronem) do 1962 r., kiedy wojsko usunęło go z urzędu za niewyraźną, budzącą uzasadnione podejrzenia politykę konszachtów z Kubą komunistyczną (znowu na osi Buenos Aires-Rio de Janeiro, gdzie wtedy prezydentem był zagadkowy Janio Quadros, a jego ministrem spraw zagranicznych San Thiago Dantas, doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, już z okresu PRL, oczywiście) i z peronistami, internując go na wyspie Martin Garcia.

Ale Arturo Frondizi, jako prezydent republiki w latach 1958—62, miał, jak Janus, jeszcze inne oblicza: wbrew swoim tezom propagandowym, ułożył się (oczywiście za nader sówite korzyści dla siebie i swego otoczenia) z zagranicznymi firmami naftowymi w sprawie koncesji argentyńskich złóż naftowych, nierentownie eksploatowanych przez przedsiębiorstwo państwowe YPF. Osiągnął przez to prawie samowystarczalność w dziedzinie zaopatrzenia Argentyny w to cenne paliwo. Paktował z Międzynarodowym Funduszem Monetarnym. Położył podwaliny pod rozwój ciężkiego przemysłu i ustabilizował jako tako monetę krajową. Uzyskał sobie tymi posunięciami pewne uznanie sfer kapitalistycznych Stanów Zjednoczonych, które, zwłaszcza w okresie prezydentury Kennedy'ego, potrafiły mu, widocznie, wybaczyć jego zachcianki lawirującej, rzekomo niezależnej polityki zagranicznej. Armii argentyńskiej, wówczas sobie nie pozyskał i musiał odejść, jak wyżej podałem, w sposób gwałtowny i bezwzględny.

Po prowizorycznym objęciu urzędu prezydenta republiki przez wiceprezydenta rządu Frondizi, Guido, pojawiła się na horyzoncie gwiazda nowego generała, Jana Karola Onganía, (z kawalerii, co ma duże znaczenie tradycyjne w Argentynie), przywódcy frakcji „niebieskich“ w sferach wojskowych, który, po rozgromieniu rywali w dążeniu do władzy, „czerwonych“ (określenie to odnosi się do innej frakcji wojskowej, bardziej zachowawczej i nieprzejednanej w stosunku do peronistów, przeciwnej idei odzicia wyborów powszechnych), scementował wojsko, hie-

rarchicznie i dyscyplinarnie, i stał się obrońcą praworządności i rzecznikiem przekazania władzy legalnie wybranemu prezydentowi.

Ta ingerencja czynnika wojskowego w sprawy polityczne Argentyny jest wynikiem wydarzeń, które wywodzą się z roku 1930, kiedy to generał Uriburú złożył z urzędu ówczesnego prezydenta republiki, Hipolita Irigoyen. Potem, w r. 1943, nowy zamach wojskowy, wiążący się z zagadnieniami ideologicznymi, wynikającymi z II wojny światowej, zakładał, kolejno, szarżę prezydencką na piersi generałów: Ramirezza, Rawsona i Farrella, aż spoczęła ona, na lat dziewięć, na piersi generała Jana Dominika Perona (1946—1955), który zdeorganizował życie społeczne i gospodarcze kraju, zmarnotrawił zasoby dewiz zagranicznych, nagromadzone na skutek wysokiej koniunktury gospodarczej w czasie II wojny światowej i przede wszystkim rozhuśtał do niebываłych rozmiarów demagogię polityczną związków zawodowych. A kiedy, w 1955 r., posunął się do palenia kościołów w Buenos Aires i dokonał, niezręcznie sprowokowanego, aktu spalenia sztandaru narodowego, przypisując to opozycji, wojsko, a zwłaszcza marynarka wojenna, we wrześniu 1955 r. dokonały udanego przewrotu, który spowodował niesławną ucieczkę Perona na pokład kanonierki paragwajskiej. „Wódz“ uciekł, ale pozostało zagadnienie „osieroconych“ rzesz jego wiernych zwolenników („bez koszul“ — descamisados), które nie wyrzekły się chęci powrotu do władzy ich bożyszcza, albo jego namiestników. Zagadnienie peronizmu zatruło lata, po wypędzeniu Perona, miazmatami nienawiści, zemsty i niedowierzania wzajemnego. Hamuje to proces rozwojowy społeczeństwa argentyńskiego, które wśród strajków, sabotażów, zamachów, inflacji i bałaganu administracyjnego, nie może zaznać spokoju, choć położenie i bogactwa naturalne kraju powinny mu go zapewnić.

W 1963 r. Argentyną w oparciu o bezpieczeństwo wewnętrzne, nad którym czuwał gen. Onganía, poszła do urn wyborczych. Nieoczekiwane wstrzymanie się ruchu peronowskiego od głosowania, dokonane na rozkaz swego przywódcy, banity z Madrytu, na trzy dni przed datą aktu wyborczego, przyniosło niespodziewane zwycięstwo partii radykalnej ludowej, rywalce Frondiziego. Stronnictwo to nie liczyło się, poważnie, z wygraną i nie było przygotowane do przyjęcia na siebie tak

ciężkiej odpowiedzialności w tak trudnych warunkach. Z jego ramienia objął godność prezydenta republiki dobrotliwy starszy pan, lekarz z głębokiej prowincji, dr Arturo Illia, który w ciągu 32 miesięcy swego mandatu borykał się, niezbyt udolnie, z narastającymi trudnościami. Problem peronizmu, który zaostrzył się z chwilą przyjazdu do Argentyny, trzeciej żony Perona, byłej tancerki, Isabel Martinez, z misją polityczną z ramienia męża, dalej utrata pozycji przodującej wśród państw Ameryki łacińskiej na rzecz Brazylii, trudności gospodarcze i brak zaufania ze strony kapitału zagranicznego, zrażonego unieważnieniem koncesji naftowych z okresu prezydentury Frondiziego, tworzyło atmosferę tarć i napięcia, w której wszyscy byli niezadowoleni z wszystkiego. Szereg niezręcznych pomyłek prezydenta Illia, jak np. usunięcie, na początku tego roku, gen. Ongania ze stanowiska naczelnego dowódcy armii lądowej, nie zjednało prezydentowi sympatii w sferach wojskowych. Kiedy Illia zdecydował się wreszcie na pewne zmiany w swej polityce i zadośćuczynienie niektórym żądaniom wojska, było już zapóźno. Kości były rzucone.

W tych warunkach możliwość, a nawet konieczność, wyjścia z impasu w postaci nowego przewrotu wojskowego, była na ustach prawie wszystkich. Sam zamach, dokonany szybko i sprawnie o świcie 28 czerwca br. był operacją na małą skalę, jakby zerwaniem dojrzałego owocu i nie zdziwił ani zgorzysł nikogo, oprócz bezpośrednio zainteresowanych utratą władzy i stanowiska. Po okresie konsultacji dyplomatycznych, prawie wszystkie państwa uznały nowy reżim generała Ongania, który dokonał głębokich zmian w instytucjach politycznych Argentyny, zawieszając konstytucję federalną, zastąpioną przez Akt Rewolucyjny (znowu podobieństwo z Brazylią), rozwiązując parlament federalny, legislaturę prowincjonalną i wszystkie partie polityczne (które dochodziły, z przybudówkami, do liczby dwustu!) oraz usuwając wszystkich gubernatorów, a nawet zmieniając skład Sądu Najwyższego. Tylko Wenezuela i Costarica, z państw Ameryki łacińskiej, tradycyjnie przeciwnie rządowi wynikłym z obalenia obowiązującej konstytucji, nie uznały nowego stanu rzeczy w Argentynie. Sprawa ta komplikuje nieco program konferencji państw zachodniej półkuli, która miała odbyć się w Buenos Aires, ale nie spędza snu z powiek nowego rządu, który, z wojskową systematycznością, realizuje swój program działania, z góry ustalony przez odpowiedzialnych doradców cywilnych.

Dla obserwatora zagranicznego, świadomego kluczowej pozycji Argentyny (razem z Brazylią) w układzie polity-

czno-społecznym Ameryki łacińskiej, tego miękkiego podbrzusza Stanów Zjednoczonych, kontynentu wchodzącego w zakres planów rewolucji światowej komunizmu obu obediencji, ważne jest dążenie do odkrycia właściwego znaczenia nowego układu stosunków politycznych w Argentynie i doszukania się istotnych elementów, które się nań składają. Innymi słowy, pytanie: czy dokonane zmiany w Argentynie utrudniają akcje międzynarodowego komunizmu, czy nie.

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Trzeba będzie uważnie obserwować rozwój wypadków w Argentynie, aby móc sformułować sobie, z czasem, ostateczną opinię. Stąd przekonanie, wyrażone w tytule tego artykułu, że Argentyna istotnie znajduje się na drodze.

Pozory, fasada rewolucji argentyńskiej, antecedencje szefów trzech rodzajów broni, którzy stanowią „juntę“ rewolucyjną i samego prezydenta republiki, generała Ongania, są dobre i zadowalające. Gen. Ongania jest katolikiem z przekonania i praktyki, antykomunistą i dobrze rozumie zagrożenie kontynentu ze strony międzynarodowej konspiracji komunistycznej. Jednak, mimo woli, przypomina się historia pierwszego okresu „rewolucji wyzwolenczej“ przeciwko Peronowi, we wrześniu 1955 r., na której czele stał i objął urząd prezydenta tymczasowego, gen. Lonardi. Ten oficer, o głębokich przekonaniach katolickich i narodowych, który wygłosił, w dniu wejścia do stolicy, niezwykle głęboką mowę programową, dwa miesiące później, w drodze rewolucji pałacowej, musiał przekazać swoją godność generałowi Aramburu... Powstaje więc pytanie, czy dotychczasowa ekipa rządowa zdoła utrzymać się przy władzy bez wstrząsów przez okres 8—10 lat, jak się to projektuje, czy intrygi i rywalizacja, w łonie sił zbrojnych, nie przeważą obecnego ferworu patriotycznej reformy i przebudowy społecznej kraju.

Faktem jest, że komuniści i skrajna lewica w Argentynie siedzą cicho. Wszystkie ich lokale uległy zamknięciu. Czynniki, związane z rządem rewolucyjnym gen. Ongania, rozpoczęły energiczną kampanię antykomunistyczną wśród związków zawodowych. Według pewnych informacji, rząd obecny postawił jako warunek pozostawienia na ich stanowiskach przywódców związków zawodowych, przeprowadzenie przez nich czystki komunistów. Dwa związki zawodowe, opanowane przez komunistów, poddano już interwencji rządowej. Rząd rewolucyjny zdołał zawrzeć dwuletni rozejm polityczny z potężną i nienasyconą centralą związków zawodowych, opanowaną przez peronistów,

która ma mu zapewnić spokój na od-cinku robotniczym. Faktem jest, że sekretarz generalny konfederacji związków zawodowych, peronista, był obecny, obok kardynała-prymasa Caggiani, na ceremonii zaprzysiężenia prezydenta republiki, gen. Ongania. Sam Peron, z Madrytu, wydał taką oto malowniczą instrukcję na temat ustosunkowania się swoich zwolenników do rewolucji: „rozsiadłać i poczekać aż zacznie świtać...“. Jednym z zarzutów sfer wojskowych, przeciw b. prezydentowi Illia, była właśnie jego słabość, czy bezsilność, wobec peronistów. A teraz wydawałoby się, że jesteśmy świadkami jakiegoś kompromisu nowego rządu rewolucyjnego z tymże ruchem. Trzeba oczywiście poczekać na dotrzymanie umowy, właśnie ze strony peronistów. Już jednak słyszy się protesty związków zawodowych w odniesieniu do wypowiedzi wysłannika rządu rewolucyjnego, b. min. Alvaro Alsogaray, (brata generała, jednego z filarów rewolucji), który oświadczył przedstawicielom finansjery amerykańskiej, w Nowym Jorku, że nowym reżym opowiada się za systemem wolnej konkurencji w życiu gospodarczym, zachęcając tym samym kapitał zagraniczny do lokat i inwestycji w Argentynie.

Nawet siły zbrojne nie są jednak jednolite w swojej formacji ideowej, a cóż dopiero mówić o ośrodkach cywilnych, które z nimi współpracują lub do nich „doszłusowały“. Mamy więc całą gamę przekonań, od nacjonalistów prawicowych do nacjonalistów lewicowych, którzy są zwykle w Ameryce Południowej strażą przednią penetracji komunistycznej; przywódców, związanych z wielkim kapitałem i obszarnikami obok generałów odanych idei „rozwoju gospodarczego“.

Komuniści południowo-amerykańscy nazywają wykonawców wojskowych zamachów stanu, pogardliwie „goryłami“. Chwilowo, w stosunku do reżimu argentyńskiego, ukuli termin „dwuznaczne goryle“. A może rzeczywiście nie wiedzą jeszcze sami, co dalej począć?

Kto zwycięży, kogo i z jakim bagażem ideowym, pozostaje tymczasem tajemnicą. Dopiero przyszłość okaże, dokąd naprawdę wypadki powiodą Argentinę? Oby ku dobremu rozwiązaniu.

Jantar

— Kto najpobożniej obchodził Millennium Chrztu Polski?

— Wojska sowieckie, bo spod Legnicy przyczółowały się pod Częstochowę...

O K N O

C, którzy znali Józefa jeszcze z wojska, widując go teraz jak w tweedach i gabardynach, w aucie dłuższym z tyłu niż z przodu, jechał w niedzielę do kościoła, mawiali nie bez przekąsu: „ale ten to ci się dorobił!” Józef dorobił się, to prawda, ale i szczęście miał, bo czego się tknął samo zamieniało mu się w złoto. Inna rzecz że się nie lenił, po wojsku z miejsca zaczął pracować, harował od świtu do nocy, więc nic dziwnego że dorobił się i po latach, mógł już jeździć tylko od jednego swojego sklepu do drugiego, pilnując interesów. Nie potrzebował już stać za ladą i obsługiwać klientów, łypiąc równocześnie na pomocnika, czy ten dobrze waży towar i w pośpiechu nie wynosi z magazynu więcej niż mu kazał. W każdym sklepie miał teraz kierownika, płacił mu dobrze i przymykał oczy, a raczej jedno oko, bo drugie zawsze pozostawało czujne na pewne niedokładności. Wychodził bowiem z założenia że pracownik, którego sumieniu zostawia się pewną swobodę, byle w miarę, dba o przedsiębiorstwo jakby należało i do niego.

Wyniósł tę mądrość jeszcze z Rosji sowieckiej, gdzie znalazł się, kiedy jako osiemnastoletni chłopak chciał z terenów polskich, zajętych przez Sowiety „przedostać się do polskiej armii która, jak mówiono, tworzy się tam, gdzie pieprz rośnie. Złapano go, wsadzono do więzienia, a potem wywieziono do łagrów. Dostał trzy lata, ale zanim drugi rok dobiegł końca, podpisana została umowa polsko-sowiecka i Józek, w podartych spodniach łagiernych i fufajce, z której razem z watą wystawały jego kości, przecież dobrnął do polskich oddziałów.

Podczas osiemnastu miesięcy łagrów przekonał się, że nie warto porządnie pracować tam, gdzie korzyść z pracy ma tylko jakaś imaginacyjna masa, zwana dobrem ogółu, jeżeli ten, kto niby zalicza się do niej płaci za przynależność siłami, zdrowiem i jeszcze hojnie dorzuca własną skórę. Doszedł do tego wtenczas, kiedy z budowy drogi w tajdze

przerzucono go do cegielni. Do innych obozów, a każdy był nędzą, zdumiał się widząc przedsiębiorstwo, gdzie normy wyrabiano nie tylko ponad liczbę, ale wyrabiano z ochotą. Wkrótce zorientował się że ludzie nigdzie tak nie kradli, jak tam właśnie. Całe furmanki cegły podjeżdżały do lasu, gdzie zatrzymywały się przezornie czekając na znak, czy można ruszyć dalej. Kto przyjmował towar i dokąd go wysyłał, Józek nie starał się nawet dociec. Wiedział tylko, że gdyby komendant obozu, kierownicy cegielni, a z nimi starsi w brygadach, i co za tym idzie, pracujący, nie tworzyli doskonale zgranej spółki, nie było by tyle chleba, cukru, machorki, a czasem nawet słoniny. Do znamiennych Józek nie należał, więc żadnej stałej części dorobku mu nie zaliczano ale, wiadomo, jednej ręki bez pomocy drugiej nie umyje, a co gorsze, niemyta ręka nie trzyma języka za zębami, dlatego i Józekowi dostawało się coś kapaniną. Poprawił się też w sobie, nabrał sił i pracował tym gorliwiej, wiedząc że pracuje też i dla siebie. Gdyby się urwało, znów byłby tylko głód, tym gorszy że po dostatku. Urwało się jednak, bo pewnego dnia przeniesiono go do kombinatu leśnego, gdzie jedyną możliwością życiową były tylko drzewa i kto miał ochotę mógł się na nich powiesić.

Więźniom nie trafiały do przekonania nauki, że im większy ich wysiłek, tym łatwiej czerwona armia pokona Niemców, określenie bowiem „wspólna ojczyzna wszystkich narodów“ było im obce. Każdy z nich miał gdzieś na świecie swoją ojczyznę do której tęsknił i którą ta wspólna, co widzieli, niszczyła, tak jak jej obywateli. W ich pojęciu, jeżeli miała być już jakaś obca a nie rodzona, to już lepsza taka, która coś daje, a nie, która wszystko zabiera. Dlatego kiedy w Anglii stanął po latach na czele własnego „kombinatu“, bo to słowo najlepiej oddawało złączenie sprytu z pracowitością, w imię wydajności przymykał jedno oko na drobne ubytki.

Gdy wojna minęła, próbował nawiązać kontakt z rodziną. Napisał, ale odpowiedzi nie otrzymał. Było mu trochę markotno, bo chodziło o matkę. Chciał żeby wiedziała że Józek, którego z ich trójki, on i dwie siostry, najczulej hołubiła, żyje i jakoś sobie radzi. Może ich wysiedlono, może wywędrowali? Kiedy odchodził, matka wcale jeszcze młodo się trzymała, chociaż ciążyła jej smutna dola wdowy z dziećmi i niezgodnym gospodarstwem. A może zginęli? Dlatego markotno robiło mu się na duszy, kiedy o tym myślał. List otrzymał dopiero gdzieś w rok później. Koślawy, witający go Bogiem, donosił że zdrowi, siostry zamężne, a matka też się wydała i nazywa się teraz Wyciąg, żona Michała. Tyle tylko, a wystarczyło. Zaraz też zasiadł żeby odpisać ale zabrakło mu w piórze atramentu. Poszedł po atrament do kantyny, tam zatrzymali go koledzy i tak jakoś zeszło. Potem zaczął się turbować, bo zbliżała się już demobilizacja, wziął pracę w warsztacie chudego Lewisa, z którym zaprzyjaźnił się przy piwie; potem poznał Sheilę, Irlandkę, co zawsze podkreślała. Chociaż jej matka pochodziła z Devonu, a dziadek urodził się w Szkocji, twardo stała przy tradycji ojca Irlandczyka, mimo że ten ujrzał światło dzienne w Południowej Walii i nigdy nie był w Irlandii. Sheila też nie była, lecz tradycja tradycją, patriotą wolno być każdemu, a jeżeli jest się Irlandczykiem, to nawet obowiązek.

Kiedy już stanął mocniej na nogach, mając oparcie we własnych rękach i głowie, a zaplecze w domu kupionym za pieniądze swoje i żony, oraz rosnący odwód w banku, obudzili się w nim szersze ambicje. Na horyzoncie ukazały się w tym czasie polskie wódki i kiełbasy; w dodatku natknął się na Saltresa, który znał się na wypieku chleba jeszcze z Halicza. Wówczas rzucił warsztat, jeździł, dzwigał, niedosypiał, kupował, sprzedawał i ani się oglądął kiedy z jednego sklepu zrobił się drugi, z drugiego trzeci i czwarty, w tym

miasteczku, w tamtym, za nimi piekarnia, wytwórnia wędlin i tego wszystkiego, bez czego Polak obyć się nie może, jeśli chce zachować swój charakter. Z Józka stał się też panem Józefem, a wkrótce tylko panem Sielakiem, prezesem w jednej organizacji emigracyjnej, a skarbnikiem w drugiej.

O TYM jak czas leci dowiedział się dopiero podczas uroczystości 10-lecia swojej prezesury. Popili niezgorzej, nawznosili toastów, nawspominali. Angielskie żony starały się skupić razem z polskimi, lecz te ku ich zgorszeniu, a może cichej zazdrości, w miarę mnożenia się kielszków wołały dotrzymywać kroku mężczyznom, aniżeli rozmawiać o dzieciach, telewizji i biadać nad cenami mięsa. Kiedy humory doszły do szczytu niczym statek, który pnąc się po wzburzonej fali wyskakuje na jej spieniony grzebień i wnet w dół zjeżdża, podobnie i tu, kiedy zaczęto wspominać wojskową przeszłość, wszystkich ogarnęło rozrzewnienie i już do końca wieczoru każdy z łzami w oczach mówił tylko o tym, jak to było. Wtenczas Józef Sielak uprzytomnił sobie że dwadzieścia lat minęło od ostatniego listu do rodziny. Owszem, posyłał im paczki, ale nie poza tym. Dlaczego? Nie umiał sobie wytłumaczyć, jednak ile razy pomyślał o pisaniu, ogarniała go niemoc wynikająca z pytania: o czym będę pisał? O jego powodzeniu świadczą przesyłki. Czy to nie wystarczy? Tego wieczoru jednak pomyślał o rodzinie jakoś inaczej. Zapomniał chwilowo o Sheili, której po wypiciu zubrówki, przeciętej sherry i dżynem, kleiły się już oczy, zapomniał o interesach, tylko zanurzył się w przeszłości. Odtąd też zaczął tęsknić, chociaż trudno to nazwać tęsknotą. Raczej była to tkliwa ciekawość — jak tam jest teraz? Nie zdając sobie sprawy że działa podświadomie, bo o podświadomości nigdy nie słyszał, tak zaczął układać interesy, jakby na dłuższy czas swojej nieobecności. Co roku wyjeżdżał z żoną to do Devonu, to do Włoch, był w Hiszpanii, ale tylko na dwa, trzy tygodnie, a teraz na sześć dawał dyspozycje Pielaczowi, najsolidniejszemu z kierowników, bo prócz pensji trzymał go i na procencie.

Dopiero kiedy na swój angielski paszport otrzymał polską wizę i z żalem zrezygnował z prezesury i skarbnikowania, rozumiejąc że z chwilą wyjazdu, chociaż zalicza się do emigracji, żadnego urzędu emigracyjnego nie powinien piastować, dowiedziano się że jedzie do kraju, do rodziny. Dla Sheili nie było to zaskoczeniem, bo w cichości sypialni już od paru miesięcy postanowili, że pojedzie sam, a ona zostanie żeby mieć na oku dwoje dzieci i Pielacza. Wtenczas po raz drugi od dwudziestu lat zdobył się na list do matki. Łatwo mu to poszło, bo napisał tylko, że przyjeżdża. Odpowiedzi nie otrzymał, bo na odpowiedź nie czekał, jako że w tydzień później, cały w tweedach i nylonach, zaopatrzone w podarki, ruszył z londyńskiego lotniska jakby w nieznaną. Mógł jechać wozem, ale pamięć, która z chwilą decyzji wyjazdu zaczęła działać na dawnych obrotach, nasunęła mu widok drogi wiodącej od miasteczka do wioski i Józek zrozumiał że czy w lecie, czy w zimie, takim wozem jak jego, nie przejedzie, skoro nawet drabiniasty często miewał trudności.

Po przekroczeniu granicy doznał dziwnego uczucia. Wszystko było mu znane a równocześnie obce. Nie trwało to jednak długo, bo kiedy następnego dnia, dźwigając walizki, wysiadł na stacyjce dość różniącej się od tej, którą pamiętał, był już tylko głęboko wzruszony. Znikł pan Sielak, tweedy i nylony, zniknęło dwadzieścia sześć lat; wydało mu się nawet śmieszne że wielka torba w szkocką kratę i kuferek upstrzony nalepkami należą do niego. Poczul się znów Józkiem bez kołnierzyka, w rozklepanych buciorach, w kurtce i pomiętym kaszkiecie.

Zagadnął go ten i tamten, niby to z uprzejmości dla gościa z zagranicy, a ciekawość aż świdrowała im w oczach; ale kiedy po jego odpowiedzi, że przyjechał do Zielnicy Dolnej, usłyszał: „ho, ho, daleko się pan wybrał!“, wrócił w nim pan Józef, bo zaraz zapytał o furmankę. Znalazła się, i to skwapliwie. Na zapomnianej prowincji taki zarobek nie trafia się nawet raz na rok, a może od czasu wojny jeszcze nigdy się nie trafił?

Woznica, czy z wrodzonej gadat-

liwości, czy dla zdobycia materiałów z pierwszej ręki, nie przestawał pytać. Jednak Sielak, w którym pan Józef wciąż walczył teraz z Józkiem, odpowiedzi dawał skąpe. Rozglądał się tylko i nie wychodził ze zdumienia. Urodził się tu, wychował, a wszystko jakby widział po raz pierwszy, do tego stopnia było inne. Nawet droga wydała mu się zmieniona, bo bardziej wyboista aniżeli ta, którą pamiętał. Wreszcie kiedy woźnica, wskazując przed siebie batem, powiedział: ot i tam już Zielenica, serce mocniej zabiło i w Józku i w panu Józefie.

Przy pierwszych chatkach, nieznanym Józkowi, a cóż dopiero panu Józefowi, kazał stanąć. Wysiadł, dźwignął walizki, zapłacił tyle, ile się umówili, chociaż woźnica do ostatniej chwili sądził że gość, nawet z zagranicy będzie się targował; więc kiedy przybyły zapłacił, woźnica czując się już pewniej, nie wytrzymał i wprost zapytał: A pan do kogo? Do Sielaków — Józek odparł — to znaczy do Wyciągów — Józka zaraz poprawił pan Józef. Tamtemu, jakby kamień spadł z serca. — A! do Wyciągów! Do Wyciągów — powtórzył dla lepszej pamięci, rad że pierwszy rozwiązał zagadkę nad jaką już głowiono się w miasteczku i pierwszy poniesie wiadomość.

Zostawieni sobie, na własnej ziemi, obaj, Józek i pan Józef, poczuli się nieswojo. W miarę jednak jak wioska narastała, coś zaczęło powracać i Józek nie wiedział nawet kiedy dla skrótu skręcił na ścieżkę biegnącą przez łąkę ukosem. Z łąką, nabitą niską, gęstą trawą, stokrotkami i rozbujającym mleczem, z jej zapachem, z krowami pasącymi się nad strugą znaczoną wierzbami, taka radość zalała Józka, że pan Józef zmałał i jakby wsiąkł w ziemię. Został tylko osiemnastoletni Józek, kroczący pewnie, mimo ciężkich tobołów, po spadku łąki gdzie w dole, trochę na uboczu od wioski, na tle paru drzew, widać było płot, na płocie podwórko i bokiem do łąki chałupę. Ta sama, tyle że chyba niższa od tamtej, za to jakby lepiej utrzymana i szara, a nie sinawa jak dawniej, kiedy to matka za dużo farbki dodawała do wapna. I na podwórzu szopa ta sama, bo między zczerniałe deski wbito parę świe-

żych dla umocnienia, co świadczyło że nowej nie postawiono. Kurnik też ten sam. Był krzywy, a teraz bardziej krzywy. Obora — pusta. Widać krowy jeszcze na pastwisku; może nawet te, które widział na łące? Tylko gdzie ludzie? Nikogo, chociaż pies na łańcuchu szczeka i łańcuchem dzwoni, że umarły by się obudził. Czego szczekasz, durny? Nie poznajesz swojego? A niby skąd ma poznać? Burek pewnie dawno zdechł, to co wie nowy?

JÓZEF zapomniał o czterech sklepikach, o Sheilli, o dzieciach i zapytany z nagła nie wiedziałby nawet kto to Pielacz; rozumiał tylko jedno: dopiero co wyszedł z domu i wraca, a tu matka i siostry gdzieś poleciały. Już chciał huknąć jak dawniej: Hej, a gdzie was znów poniosło! kiedy jego wzrok padł na okno od kuchni; jak zawsze otwarte, ukazywało ciemne wnętrze. Nawyk wrócił silniejszy od chęci huknięcia na kobiety. Szybko, jakby nie czterdzieści cztery, lecz wciąż liczył sobie osiemnaście, skoczył do szopy, walizki postawił za drzwiami, a sam, zamiast do drzwi, podszedł do okna. I jak za szczenięcych czasów, bo ten zwyczaj zachował był do końca, chwytając za górną futrynę, przerzucił jedną nogę, potem drugą i roześmiany, czekając na zwykłą połajankę matki: co ty Józek, drzwiami wchodzić nie umiesz i walaśz mi ścianę? — znalazł się w kuchni.

Komin ten sam, z przypieckiem i półki, tyle tylko że puste. Za stołem, który dawniej stał w kącie, a teraz po środku, siedział młody mężczyzna a obok niego kobieta. On w polatanych spodniach, z koszulą szeroko rozpiętą, ona z dzieckiem przy piersi. Patrzyli na niego w takim osłupieniu, że słowa nie mogli przemówić. Józek uczył że nogi, przed chwilą elastyczne, teraz zamieniają się w drewno.

— A pan czego? — po chwili zapytał mężczyzna przygważdżając go wzrokiem, jak widłami wiązkę siana.

— Przyjechałem — odparł niepewnie Józek. Nie, pan Józef, bo z chwilą przypomnienia podróży, zostawiona za morzem teraźniejszość wróciła, ukazując mu jego położenie.

— I czego pan tu szuka, co? —

ponieważ mężczyzna ochłoniął, groźnie podniósł się zza stołu.

Co powiedzieć? Przecież to obcy ludzie. Gdyby zapukał do drzwi, zapytał po ludzku o matkę i czy tu mieszka, było by jak należy, ale po takim wejściu? Myśli kołowały mu w głowie jak muchy i ani której złapać. Wreszcie jedną uchwycił:

— Przepraszam, ja do matki. Czy tu jeszcze mieszka?

Nieznamy skrzywił się jak po kwaśnym agrestie, mało obiecującym ruchem podciągnął na sobie spodnie i zbliżył się do Józefa.

— Jaka matka? Czego? — zapytał, ale tak, że kobieta za stołem jęknęła: Felek! i przytuliła dziecko do piersi. — Matka? Czyja? — powtórzył, patrząc mu mocno w oczy. Widząc to, raptem wszystko ułożyło się w Józefie, więc zaczął:

— Najmocniej przepraszam, ale ja z Anglii, do pani Sielakowej. Czy tu mieszka?

— Do kogo? — mężczyzna znów podciągnął spodnie, a kobieta za stołem jęknęła: Felek! — Do kogo? — tamten powtórzył — No, czego pan tu szuka? Znamy takich, co przez okna szukają matek! No? — i zbliżył się do Józefa, że tylko jeden krok dzielił go od niego. Józef o ten jeden krok się cofnął.

— Felek, zostaw! — krzyknęła kobieta, widząc że mężczyzna zebrał się w sobie jak do skoku.

— Genia — tamten wyprostował się — Skocz-no do Kosidy, żeby tu zaraz przyszedł, a już tego zaraz przypilnuję. Nie wykręcisz się od milicji! — rzucił Józefowi.

— Panie, to nieporozumienie, ja naprawdę... Niech pan pozwoli... — Ja naprawdę do pani Sielak... Do Wyciągowej, chciałem powiedzieć, Genowefy! Syn jestem, Sielak! Józef Sielak z Anglii!

Kobieta krzyknęła i tym mocniej przytuliła dziecko do siebie.

— Kto? — mężczyzna znów się skrzywił — Sielak Józef? Józef Sielak jest w Anglii, a nie włóczy się po Zielenicy. Nie mnie bujać!

— Kiedy to ja jestem. Właśnie z Anglii.

— Taak? A pisał pan że przyjeżdża? Bo jakoś nic o tym nie wiemy.

— Jakto! Pisałem!

— Proszę! I list nie doszedł, tak?

Genia — zwrócił się do kobiety — Czy matka miała jaki list z Anglii?

— Skąd! Tobys wiedział.

— Kiedy ja...

— Czekaj, zaraz się pokaże. Genia, wołaj matkę!

Trzymając dziecko wstała i oczu nie odrywając od Józefa, podeszła do drzwi:

— Mama, niech mama tu prędko przychodzi! — rzuciła tylko i już siedziała za stołem. Przez nadzwarte drzwi do sieni — bo Józek przypominał sobie, że do sieni prowadzą — dolatywało jakieś stukanie.

— Czego tam znowu? — ktoś odpowiedział — Nie mam czasu! Nie wiesz, że świniuka karmię?

Pod Józkiem nogi się ugięły. To nie był głos matki.

— Mniejsza o świniuka. Niech matka przychodzi, zaraz! — huknął mężczyzna.

— Co takiego? — na progu stała kobieta stara, w chustce krzywo zawiązanej na siwych włosach, w mokrym fartuchu, z kopystką w ręce, uwalana świeżo gotowanymi kartoflami, bo para szła z kopystki i z uczepionych do niej kartofli. Nie matka. Matka była zażywna, z pełną twarzą, a ta mała, stara, sucha i głos skrzeczący.

— No, poznaje matka? — pytał mężczyzna złośliwie spoglądając na Józefa. Kobieta dopiero teraz spostrzegła obcego i odruchowo poprawiła przekrzywioną chustkę — No...? Ten gość powiada że nazywa się Sielak Józef i przyjechał do mamy z Anglii. No, poznaje matka? — śmiał się już pewny swego.

Kobieta wciąż jeszcze nie rozumiała o co chodzi, ale przywykła widać do wszystkiego co dziwne, bo podeszła do Józefa. Popatrzyła na tweedy, nylony, na szkocki krawat, na buty i zwracając się do mężczyzny, odparła nie bez żalu:

— Że też się ciebie, Jędreku, takie żarty trzymają! Roboty tyle, że człowiek nie wie skąd wziąć ręce, kartofle mi stygną, a ty żarty stroisz!

— To matka nie poznaje tego Józefa Sielaka! — upewniał się mężczyzna.

— A dajcie wy mi święty spokój! — machnęła ręką, kierując się ku sieni. I przez ten jeden ruch, to jedno zdanie, które Józek znał tak dobrze — poznał.

— Matka! — nie zawołał, tylko jakoś zapał, tak gardło mu się ścisnęło.

— Ty mi tu komedii nie odwalaj! — mężczyzna krzyknął — Genia, na co czekasz? Biegnij po Kosidę!

Stara zatrzymała się.

— Ale o co chodzi? — zapytała.

— O to, że łązi taki po wsi i szczęścia szuka. Siedzimy tu z Genią spokojnie, żeby mały usnął, a ten ci myślał że nikogo nie ma i wlaź przez okno szukać czego nie zgubił... Genia, leć po Kosidę!

Stara nagle podeszła do Józefa, chwyciła go za ramię, odwróciła do okna i zaczęła mu się przyglądać.

— Przez okno wlaź? — mamrotała cicho — I mówi że Sielak się nazywa? Tylko mój Józus tak wchodził... Dorosły, a zawsze przez okno... Tylko Józus był mniejszy... I gdzie mu takiej elegancji... Nie odwracaj się pan, bo nie widzę...

— Matka, matka... — powtarzał Józek. Czuł, że oczy ma pełne łez, że usta mu się trzęsą. Teraz już wiedział że mała, stara kobieta to Genowefa Sielak, po drugim mężu Wyciąg, i że dwadzieścia sześć lat minęło odkąd ją widział i przez ten czas postarzała się, jak powinna się była postarzyć i dlatego w pierwszej chwili jej nie poznał, bo pamiętał ją zamaszystą, zażywną, z twarzą pełną i mocnym głosem.

— Józus! — dopiero teraz kobieta zawołała i trzęsącymi się wargami, tak samo jak u syna, przywarła do rękawa tweedowej marynarki, bo wyżej nie mogła dosięgnąć.

KIEDY Antoś, najmłodszy z Wyciągów, syn z drugiego małżeństwa Genowefy i nieżyjącego już Michała, brata Geni, zamężnej za Feliksem Szeredą, w kilka dni później w klubie zielenieckim opowiadał kto przyjechał i co się u nich zdarzyło, ludzie naśmiać się nie mogli; ale tylko starsi, co Józka dobrze pamiętali, bo w młodszych zająście nie budziło zaufania. W głowie nie mogło się im pomieścić żeby komuś kto ma taką marynarkę, koszulę, buty i tyle nawiózł w dwóch walizkach chciało się przez okno wchodzić do domu.

3188
Po wyjściu Antosia wytłumaczył im to dopiero kierownik klubu, który na wszystko patrzył trzeźwo, rzeczowo, jak na wzorowego aktywistę przystało.

— To co, że marynarka? Co, że ciuchów nawiózł? Ale jaka tam kultura na Zachodzie, sami widzicie. Wszystko niby mają, a drzwi nie mają bo gdyby mieli, to Sielak nie wlaźliby oknem, tylko umiałby wchodzić drzwiami. A nie umie! Ot, co.

Teodozya Lisiewicz

WOJCIECH STEFAŃSKI

DOZGONNA PRZYJAŹŃ

— W stołowym jest do ciebie list. Z Argentyny — powiedziała Magdalena, podsuwając mu policzek do pocałowania.

— Z Argentyny? Nie mam żadnych znajomych w Argentynie — Jacek pocałował ją przelotnie i powiesił płaszcz na wieszaku.

— Kiedy przyjdiesz na obiad, to zobaczysz — zakończyła, odchodząc w głąb mieszkania.

Myjąc ręce, Jacek zastanawiał się, bez większego zresztą zainteresowania. Argentyna? Ba, żeby to tak mieć tam bogatego wujaszka, bliskiego zgonu, albo, co lepsze, właśnie zmarłego. Ale nie, jego cała rodzina uporczywie siedziała w kraju. On właściwie jest chyba pierwszym, który na stałe kraj opuścił. List z Argentyny? No, zobaczymy.

— To od Zygmunta! Przyjeżdża do Londynu! — wykrzyknął, rozerwawszy kopertę.

— Nie znam żadnego Zygmunta — oobjętnie odparła żona, nalewając zupę. — Siadaj i jedz, bo wystygnie. List możesz przeczytać przy herbacie.

— Nie pamiętasz? Tyle razy ci przecież opowiadałem! Mój właściwie jedyny przyjaciel. Byliśmy razem w gimnazjum, w wojsku i na uniwersytecie — entuzjazmował się Jacek.

— Czy ty myślisz, że ja mogę pamiętać wszystkie imiona twoich byłych kolegów, czy przyjaciół? — Jacek spóźnił się na obiad i Magdalena była po gospodarsku nie w humorze. — Jedz, proszę cię.

— Już siedzę — bronił się Jacek. — To zresztą bardzo krótki list. Muszę mu odpisać zaraz po obiedzie i wysłać pierwszą pocztą rano. Naturalnie, zatrzyma się u nas, to jasne. Tyle lat! Nie miałem od niego żadnych wiadomości od... poczekaj, chyba od początku wojny.

„LEWY NURT“

Zbiór rozpraw i artykułów, pod redakcją dr. Józefa Żmigrodzkiego. Piszą: Adam Ciołkosz, Sk. J., Władysław Diamand, Irena Szymowicz, Tadeusz Podgórski, Jerzy Smulski, Lidia Ciołkoszowa, Dawid Klin, Józef Żmigrodzki, Stanisław Boreczyk, Stanisław Górka, Bronisław Marczak, Benedykt Heydenkorn, Alfred Urbański, Wiktor Romanow-Głowacki i Jan Kleszcz.

Wydawnictwo Centralnego Komitetu PPS. Adres redakcji i administracji: 9, Balmuir Gardens, London, S.W.15. Cena egzemplarza 10 sh., 7 F, 1.50 dol. Wysyłka po otrzymaniu należności.

Ale Magdalena nie była bardzo zainteresowana tymi obliczeniami.

— U nas? — zapytała jak gdyby z przekąsem. — Gdzie go chcesz ulokować? A czy przynajmniej wiesz, na jak długo przyjeżdża? Bo uprzedzam cię, że ja nie mam czasu ani ochoty, żeby tygodniami obiegać twoich byłych przyjaciół.

Słowo „byłych“ wymówiła z bardzo wyraźnym naciskiem. Jacek oburzył się:

— Ależ Mag, zrozum że mnie! Mój najlepszy przyjaciel, którego nie widziałem od wieków! Nie mogę przecież pozwolić, żeby się zatrzymał w hotelu!

Magdalena wstała i zebrała talerze po zupie. Wracając z kuchni z mięsem, powiedziała chłodno:

— Mój kochany! Przyjmuję do wiadomości twój entuzjazm i uczucia przyjacielskie, chociaż nie musiały one być obustronnie bardzo silne, jeżeli się nie odszukaliście od ćwierć wieku. Nie pamiętam zresztą, żebyś kiedykolwiek czynił jakieś wysiłki w tym celu.

Jacek uczył się poważnie dotknięty, tym bardziej, że uwaga Magdaleny była w gruncie rzeczy słuszna. Panując jednak nad sobą, odpowiedział z godnością:

— Moja droga! Takie jest życie: ludzie się gubią i odnajdują. Ale to wszystko nie zmienia faktu, że Zygmunt jest moim przyjacielem. I pozwolisz, że w tej sprawie ja zadecyduję.

Brzmiało to trochę sztucznie i Jacek nie był zadowolony zarówno z treści, jak i z formy tego uroczystego oświadczenia, więc dodał pośpiesznie:

— Mogę cię zapewnić, że Zygmunt nie będzie dla nas najmniejszym kłopotem. To swój człowiek.

Magdalena nie odpowiedziała.

Ku swemu ogromnemu zażenowaniu Jacek nie poznał na lotnisku Zygmunta. Dopiero po kilku sekundach, znalazłszy się w uściskach niewysokiego, tęgiego i raczej niesympatycznie wyglądającego pana, którego pocałunki głośno eksplodowały w powietrzu przy jego policzkach, skojarzył to dziwne zdarzenie z celem swego przyjazdu na lotnisko.

— Zygmun? — zapytał z niedowierzaniem.

— Ten sam, stary koniu, ten sam! — odpowiedział tamten wypuszczając go nareszcie z objęć.

Głos należał istotnie do pamiętnego dla Jacka Zygmunta. Po bliższym rozpatrzeniu okazało się, że i poszczególne części twarzy wyglądały znajomie, tylko tworzyły bardzo różną całość od tej, która tkwiła w pamięci Jacka z etykietką „Zygmun?“. Ha, cóż, czas robi swoje!

— No, to idziemy do auta, bo żona tam czeka z obiadem — zachęcił towarzysza.

Tamtemu się jednak wcale nie spieszyło.

— Czekaj, czekaj, nie pali się! Nie możemy się przecież spotykać po tylu latach o suchym pysku. Przecież tu gdzieś musi być bar — rozglądał się Zygmun?.

— Wiesz, chyba raczej nie, bo tam przecież obiad — bronił się Jacek. — Napijmy się w domu.

— W domu — to w domu, a na lotnisku — to na lotnisku — rozstrzygnął władczo Zygmun? — Ja stawiam — dodał, najwyraźniej źle rozumiawszy wahanie Jacka.

— Ale co ty! — oburzył się Jacek. Przecież jesteś gość!

Przyjechali do domu z godzinnym opóźnieniem. Jacek długo walczył ze sobą, czy zadzwonić do Magdaleny z lotniska, ale po prostu krępował się, żeby nie wyglądała, iż się boi żony. Naturalnie, Magdalena wyglądała, jak gradowa chmura tuż przed gradobiciem.

— Więc to jest Madzia! — wykrzyknął na jej widok Zygmun?. — Żona mojego najlepszego przyjaciela!

I porwał ją w ramiona. Jacek stał bezradny, wiedząc, jak bardzo jego żona nie znosi, gdy ją nazywano Madzią, a także jak wrogo reaguje na wylewność znajomych, połączoną ze staropolskimi uściskami. Istotnie, po wydoświadczeniu się z argentyńskich objęć, Magdalena rzuciła mu zupełnie mordercze spojrzenie.

— Panowie pozwolą — powiedziała przez zęby. — Obiad się, niestety, przestał...

— Z takich rączek wszystko być znakomite — szarmancki przyjaciel porwał rękę Magdaleny i wycisnął na niej smakowity pocałunek. Pani domu wyrwała rękę i bez słowa poprowadziła obu mężczyzn do jadalni.

Już w barze na lotnisku z wielką przykrością zauważył, że po wymianie kilku serdeczności i krótkim streszczeniu wzajemnych losów przyjaciółom zaczęło do tego stopnia brakować tematu, że nawet, o zgrozo, poruszona została pogoda londyńska. Prawda, że tylko przełotnie, ale była to oznaka groźna. Przy obiedzie było znacznie gorzej. Magdalena odpowiadała tylko na bezpośrednio skierowane do niej pytania, Zygmun? zajęty był bardziej jedzeniem, niż rozmową, a Jacek z niemą rozpaczą dębał po zakątkach dziwnie pustej głowy, aby tylko wyskrobać jakikolwiek temat. „Na litość Boską! Jak to jest możliwe, żeby mnie z tym człowiekiem nagle nie łączyło po latach takiej bliskości duchowej?“ — myślał, patrząc na tego starszego, grubego Zygmunta, który poza przypadkowym podobieństwem rysów w niczym nie przypominał młodego, smukłego Zygmunta, z którym się rozstał w chwili wybuchu wojny.

Po nieskończeniu długo trwającym dla Jacka obiedzie Magdalena podniosła się nareszcie i powiedziała:

— Po tak długim rozstaniu panowie muszą mieć sobie niesłychanie dużo do opowiedzenia. Wobec tego może się przenieście do bawialni (Magdalena z uporem nazywała sitting-room bawialnią), a ja się zajmę domową robotą.

Jackowi wydawało się, że wyczuł żądło ironii w głosie Magdaleny. Ze spuszczoną głową przeszedł do bawialni. Nawet wspólne wspomnienia nie budziły entuzjazmu, jak gdyby dotyczyły kogo innego. Po kwadransie wyczerpujących wysiłków Jacek zapytał:

— Ale ty musisz być porządnie zmęczony, prawda? Możebyś tak wcześniej poszedł dzisiaj spać albo przynajmniej wyciągnął się wygodnie?

Zygmun? zgodził się na propozycję z podejrzanym pośpiechem. Gdy Jacek wrócił do jadalni, Magdalena właśnie odkładane pozmywane naczynia.

— Co już? — zapytała z nadmiernym, zdaniem Jacka, zdziwieniem. — Koniec wspomnień dwóch najserdeczniejszych przyjaciół, którzy się nie widzieli od dwudziestu pięciu lat? No, wiesz!

— Daj, pomogę ci — powiedział, z wyższością ignorując jej złośliwość. — Sama nie sięgniesz na tę półkę.

I poczuł rodzaj satysfakcji, że chociaż w takiej dziedzinie może okazać swoją wyższość.

B.D.I.C.
mus

Magdalena miała rację. Jacek widział to jasno, ale, naturalnie, nie mógł się wobec niej do tego przyznać. Dwadzieścia pięć lat rozłąki spowodowało, że Zygmun? był dla niego zupełnie obcym człowiekiem, z którym go absolutnie nie łączyło, a konieczność stałego okazywania pod jego adresem serdeczności irytowała go coraz bardziej. Fakt, że Zygmun? miał pozostawać w jego domu jeszcze przez trzy tygodnie, przerażał go, zwłaszcza, że Magdalena nie robiła najmniejszych wysiłków, aby mu ułatwić sytuację. Ale co było robić? Zygmun? zachowywał się tak, jakby nie widział niechęci Magdaleny, był uprzejmy, serdeczny i niezmiernie przyjacielski. Sytuacja absolutnie bez wyjścia!

Po tygodniu Jacek spróbował porozmawiać z żoną. Magdalena była chłodna i wyniosła.

— Nie rozumiem, o co chodzi. Masz swojego ukochanego przyjaciela, a właściwie z nim nie rozmawiasz. Sam przecież mówiłeś, że cię tyle łączy z Zygmuntem — no, więc proszę, Zygmun? jest tutaj. Masz go do swojej wyłącznej dyspozycji.

Nie, u Magdaleny nie było co szukać ratunku. Na korytarzu natknął się na Zygmunta.

— Wychodzisz? — zapytał. — Może wyjdziemy razem.

Za rogiem ulicy Zygmun? nagle zatrzymał się.

— Słuchaj, Jacek, ja ci coś chciałem powiedzieć. Doskonale wiem, że jestem skończona świnią, bo przecież przyjęliście mnie tak serdecznie, ale ze względu na moje interesy byłoby mi właściwie wygodniej ulokować się gdzieś w centrum, rozumiesz, prawda? Nie, nie protestuj — przerwał usiłowania Jacka — tak na prawdę będzie lepiej — i dla mnie, i dla was. Nie myśl, że nie doceniam serca, któreście mi okazali, ale co za długo, to niezdrowo.

Jacek musiał bardzo panować nad sobą, aby nie okazać kolosalnej ulgi, która nagle w nim eksplodowała.

— Strasznie nam będzie żal się z tobą rozstać, ale jeżeli ci tak będzie istotnie wygodniej...

— Z całą pewnością, mój drogi, z całą pewnością. Przyznam ci się, że już zamówiłem pokój w hotelu i chciałem cię prosić, żebyś zadzwonił po taksówkę.

— Taksówkę!? — oburzył się Jacek. — Mowy nie ma! Sam cię odwiezie.

— Jak uważasz. W każdym razie dziękuję wam serdecznie za przyjęcie. Zresztą właśnie szedłem kupić kwiaty dla twojej żony. Sprawilem jej mnóstwo kłopotu.

Jacek spojrział na Zygmunta innymi zupełnie oczami. Nie, w gruncie rzeczy

(Dokończenie)

to był jednak ten sam, przedwojenny Zygmunt, z którym tyle go łączyło.

— Wiesz co? Jak się już urządzisz w hotelu, to się dzwoniśmy i spotkamy się na mieście, żeby trochę obgadać stare, dobre czasy. U nas jakoś władcwie nie było okazji.

— Ależ naturalnie! — z nieoczekiwanym entuzjazmem zgodził się Zygmunt. — Pamiętasz starego Cwikłę, No, tego, co nas uczył polskiego? Pamiętasz, jakieśmu mu wsadzili budzik do katedry i facet myślał, że to dzwonek na koniec lekcji?

— Cwikły bym nie pamiętał? — zaśmiał się Jacek.

I nagle w przypływie serdeczności, wyciągnął rękę do odzyskanego przyjaciela.

— Przyjaźń to jednak wielka rzecz! — powiedział z głębokim przekonaniem.

— A coś ty myślał — odpowiedział Zygmunt. — A pamiętasz dyrektora Kowalskiego, tego z brodą? Jak nas wtedy przyłapał na klasówce na ściganiu?

Pogrążeni we wspomnieniach minęli drzwi kwaciarni.

Wojciech Stefański

PANI MINISTROWA

Obywatel-towarzysz Glizda nie miał łatwego życia z żoną. Obiecał jej przy oświadczeniach, że zrobi karierę w partii. Biegał, kłaniał się, klaskał kiedy trzeba i potępiał kogo należało. Ciągle nic.

— Za chama wyszłam i żoną chama zostanę — biadała obywatelka Glizdzina — wszyscy już są dostojnikami a ty nie.

I za karę zarządziła separację domową, w sprawach na których Glizdzie raczej zależało.

Lecz uznano wreszcie zastugi Glizdy w partii. Zrobili go ministrem. Ucieszonego wpada do sypialni żony z radosną wieścią.

— Ty chamie — powiada wyniosłe towarzyska Glizdzina — czyś ty się mógł kiedy spodziewać, że będziesz dziel sypialnię z panią ministrową?

GDYBY NIE BYŁO PARTII...

— Co by było, gdyby nie było Partii? — wykrzykuje z patosem aktywista na zebraniu rady załogowej.

Głos spod pieca:

— Wszystko by było...

OD WIELU dziesiątek lat życie i czyny księcia Józefa Poniatowskiego, bohatera spod Raszyna i Lipska, były — i wciąż są jeszcze — tematem niezliczonych dzieł historycznych i opowiadań. Długie szeregi pokoleń wyrosły w przekonaniu, że ostatni król polski miał tylko właśnie tego jedynego bratanka.

I oto dowiadujemy się z niedawno wydanej książki Mariana Brandysa, że w swej reporterskiej wędrówce po Florencji, w małym podmiejskim kościółku św. Marka, natrafił na grobowiec jakiegoś Stanisława Poniatowskiego. Zaintrygowany tym niespodzianym odkryciem, zaczął tak długo szukać po archiwach i bibliotekach, aż natrafił na osobiste wspomnienia owego księcia oraz na inne, nieznane ogółowi szczegóły o tym najlepszym z Poniatowskich.

Urodzony w Warszawie 1754 roku, był on synem Kazimierza, najstarszego brata Stanisława Augusta, oraz Apolonii Urzyckiej, kasztelaniki przemyskiej. Wszystkie swoje niezwykle walory jak również niemal purytańską moralność, musiał młody książę odziedziczyć po swojej matce, gdyż ojciec jego był człowiekiem małej wartości. Hulaka i utracjusz, już po dwuletnim pożyciu wyprawił żonę do rodzinnego majątku, sam zaś pozostał w Warszawie ażeby tu swobodnie bawić się w towarzystwie pięknych, choć mało cnotliwych kobiet.

Kiedy mały Staś ukończył dziesiąty rok życia, jego królewski wuj wziął chłopca pod swoją osobistą opiekę i umieścił go w prowadzonym przez Włochów konwikcie oo. Teatynów. Niezwykła dbałość o wychowanie tego bratanka oraz zaszczyty i godności, jakie król mu nadawał już od wczesnej młodości wskazywały wyraźnie, że kieruje go na swego następcę.

Wysłany w 1771 roku zagranicę dla nabrania europejskiego poluru, przebywał młody książę czas jakiś w Paryżu i Wiedniu, aby wreszcie ukoronować swoje wykształcenie dwuletnimi studiami na uniwersytecie w Cambridge. Do kraju wrócił już tylko na krótko. Sejm obradował właśnie nad pierwszym rozbiorem Polski. Bezsilny wobec lawiny toczących się wypadków, wyjechał

czym prędzej do Paryża, ażeby uciec z „tego piekła.“

Blask i przepych ostatnich lat panowania Ludwika XV, rozjaśniły nieco ponurą melancholię królewskiego bratanka. Wszzechwładną faworytą francuskiego monarchy była wówczas pani Dubarry, kobieta niskiego pochodzenia o bardzo burzliwej przeszłości. Mimo, że była ona ogólnie znieawidzona, liczone się do tego stopnia z jej wpływami, że nawet najwybitniejsi cudzoziemcy uważali za swój obowiązek przedstawić się tej damie. Książę Stanisław okazał wówczas po raz pierwszy swą hardą niezależność, która w późniejszych latach miała sięgnąć na niego tyle gniewu i niechęci. Kiedy po złożonej „arcychrześcijańskiemu“ królowi wizycie, mistrz ceremonii zaproponował mu przejście do salonów faworyty, polski książę odpowiedział dumnie: „Przyśzedłem jedynie po to, żeby pokłonić się królowi i jego rodzinie“ i bez dalszych tłumaczeń opuścił pałac.

Po powrocie do pogodzonego z pierwszym rozbiorem kraju, książę Stanisław rzucił się z młodzieńczym zapałem w wir politycznych i społecznych poczynań. Stanisław August, chcąc umocnić pozycję swego bratanka, mianował go generałem wojsk koronnych oraz wprowadził w skład nowo utworzonej Komisji Edukacyjnej. Mimo jednak, że młody książę wykazywał na tych odpowiedzialnych stanowiskach niezwykłą dojrzałość i pracowitość, nie pozyskał należnego mu uznania. Rozkrzyczaną i gwałtownie gestykulującą brać szlachecką, raziły jego umiarkowane ruchy i spokojne opanowanie.

Ta coraz bardziej wzrastająca niechęć — która zresztą obejmowała całą „klijkę“ Poniatowskich — wybuchła otwartą nienawiścią w 1788

TEN TRZECI PONIATOWSKI

roku podczas jednego z posiedzeń Sejmu Czteroletniego. Wywiązała się gwałtowna dyskusja, w której wszystkie ataki skierowane były właśnie przeciw temu najlepszemu z Poniatowskich, który sam nie ponosił żadnej winy. Przekonany o słuszności swoich postulatów, walczył jeszcze przez cały rok w ich obronie, aż wreszcie zniechęcony i rozgoryczony, ustąpił ze swego stanowiska i w 1790 roku opuścił kraj na zawsze. Przez czas jakiś przebywał w Wiedniu, po czym przeniósł się do Rzymu, gdzie w przeciwieństwie do własnej ojczyzny cieszył się ogólną sympatią.

Wiadomość o trzecim rozbiore zabolala go bardzo, ale też nie zaskoczyła niespodzianie. Jasny i wolny od złudzeń polityczny rozum księcia Stanisława, przewidywał od dawna tę ostateczną katastrofę. Ponieważ o powrocie do Polski nie mogło już być mowy zaczął robić starania o sprowadzenie do Rzymu ulokowanych w kraju kapitałów. Wszystkie jego posiadłości objęte zostały zaborem rosyjskim. Musiał więc osobiście udać się do Petersburga, ażeby tam uzyskać pozwolenie na urzędowe transakcje. Car Paweł I, który po śmierci Katarzyny II wstąpił na tron w roku 1796, był początkowo pełen uprzedzającej życzliwości dla bratanka byłego króla polskiego. Wkrótce jednak zniechęcił się do zbyt hardzego księcia i postanowił nie dopuścić do jego wyjazdu. Ostrzeżony w porę, zdążył jeszcze książe Stanisław wydstać się za kordon, wraz z szczęśliwie uratowanymi pieniędzmi.

Wróciwszy do Rzymu, nabył tam piękny pałac położony przy via Croce, gdzie na wspaniałych przyjęciach bywała cała arystokracja włoska, jak też wszyscy wybitni Polacy, goszczący w Stolicy Apolskiej.

I tak upływały lata. Piękny, mądry i pełen zalet książe dobiegał już pięćdziesiątki i wciąż ani myślał o małżeństwie. Wprawdzie kilkakrotnie podsuwano mu nawet kandydatki z królewskiego rodu, ale zamilowany w swej wolności Stanisław, zawsze zdołał się wykręcić jakąś zgrabną wymówką.

I nagle na to spokojne i unormowane życie starego kawalera, padł grom spóźnionej ale tym bardziej gwałtownej miłości.

Tuż naprzeciw pałacu księżęcego była wąska uliczka, gdzie mieszkał i pracował szewc-pijaczyna, który miał bardzo piękną żonę. Nieszczęsna kobieta, stale bita i terroryzowana przez męża, schroniła się pewnego dnia do otwartej bramy pałacu, którą litościwy portier natychmiast za nią zamknął. I odtąd „signora“ Cassandra Luci — tak nazywała się uroczą szewcowa — pozostała już przy boku polskiego księcia, jako jego „gospodyni“.

Rzym był oburzony. Ogólne zgorzzenie spotęgowało się jeszcze, kiedy po upływie roku urodził się pierwszy ich syn, Karol.

Wprawdzie ten bojkot towarzyski nie zmącił spokoju zakochanego księcia, jednak zagrożony represjami ze strony Watykanu, musiał zabrać swoją coraz bardziej powiększającą się rodzinę do Florencji. Toskańczycy, przyzwyczajeni przez swoich władców do większej tolerancji, przyjęli księcia Stanisława bardzo życzliwie. Gościna ich była tym cieplejsza, że polski książe przywoził ze sobą duży majątek, który chętnie i obficie wydawał na cele dobroczynne.

Czy po śmierci szewca — która nastąpiła już w bardzo krótkim czasie — książe ożenił się z jego wdową, nie bardzo wiadomo. Nawet Marian Brandys nie potrafi nam tego wyjaśnić. W każdym razie dzie-

ci tej romantycznej pary — Karol, Józef, Helena i Konstancja — otrzymały urzędowo nazwisko książąt Poniatowskich di Monte Rotondo. Ten włoski dodatek pochodził od rozległych dóbr feudalnych, położonych niedaleko Liworno, które książe Stanisław nabył wkrótce po osiedleniu się we Florencji.

Dawny światowiec i polityk, chętnie przyjmowany gość zagranicznych dworów a co więcej, przypuszczalny kandydat do polskiego tronu, prowadził teraz życie bogatego mieszczanina i czuł się w nim bardzo szczęśliwy. Mimo iż goście z kraju omijali starannie jego zaciszny, wśród zieleni ogrodów ukryty dom, on sam interesował się żywo wszystkim co się działo w Polsce. Letnie miesiące spędzała cała rodzina w Monte Rotondo a dobrotliwy uśmiech coraz bardziej zaokrąglającej się pani Kassandry i wesoły gwar dorastającej czwórki, rozjaśniały radością dawniej tak zawsze smutne oczy księcia Stanisława.

Śmierć jego w 1833 roku nie była końcem dziejów tej niezwykłej rodziny. Po jakimś nieznanym pradziadku — czy też prababce, odziedziczyli młodzi Poniatowscy wybitne zdolności muzyczne. A że po ojcu odziedziczyli też wielką fortunę, postanowili użyć jej na spełnienie swoich młodocianych marzeń. Po należytym wyszkoleniu, założyli własne „Stowarzyszenie Operowe“, z którym objeżdżali całe Włochy. Przedstawienia te dawały przeważnie bezpłatnie a udział w nich brały nie tylko obie córki księcia Stanisława, Helena i Konstancja ale również i żona śpiewającego basowe partie Karola. Najzdolniejszym z całej rodziny „muzycznych Poniatowskich“ okazał się młodszy brat, Józef, który jako kompozytor, zdobył duże uznanie zarówno we włoskim jak i francuskim świecie operowym. Zresztą on pierwszy rozbił ten książęcy zespół śpiewaczy wyjeżdżając w 1860 do Paryża, gdzie do dni dzisiejszych nazwisko książąt Poniatowskich di Monte Rotondo przewija się przez kronikę życia towarzyskiego.

I tak w sumarycznym skrócie wygląda historia tego mało znanego Poniatowskiego, który był tak odmienny od reszty swojej bardziej sławnej rodziny.

JAK TO U OBROCHTÓW BYWOŁO...

W Ciemnosmreczynach, niedaleko szalasa była łączka od której w okresie sianokosów szedł urzekający zapach. O nim to mówił nieraz Stanisław Witkiewicz, że jest to najpiękniejszy zapach na świecie.

* * *

Kasia była bardzo urodną dziewczyną. Śniada, o ślicznym uśmiechu, przebiegała w chłopkach, jak w grulach. Poznana swego Jaśka na zabawie tanecznej, w sali Sokoła, w Nowym Targu, urządzonej przez miejscowy oddział Związku Podhalań. Jakaś ogromna, wewnętrzna, a nieznana siła pchnęła ich ku sobie.

— Jak ci na imię? — zapytała Kasia chłopca.

— Jasiek, Jasiek Obrochta.

Przetańczyli całą wieczór ze sobą. A w miesiąc później był ich ślub i wesele.

Jak przystało na stary, pionierski ród Obrochtów i zgodnie z podhalańskimi, dawnymi zwyczajami, wesele trwało trzy dni i trzy noce. Ale nie we wszystkim zachowano starodawny obyczaj, czemu dał wyraz Bartłomiej Cudzych narzekając, że nie ma na weselu bitki. Sprzeciwił się temu Franek Bartyzel, któremu Cudzych zarzucił, że jest dudłok, niezguła i tchórz.

— Jo tchórz?

— Dyc tok, bo sie mnie bois.

Jak Franek nie trzaśnie w gębę Cudzicha... Nei bitka sie zacena. Obaj przeciwnicy wylecieli w poszarpanych koszulach w pole. Za ojcami ujeni sie ich synkowie. Rozdzielono wreszcie walczących. Na zapytanie, dlaczego się zaczęli bić, Cudzych odkazał: „zeby zachować starodowny obyczaj“.

Przerwane bitką weselisko trwało dalej.

...Omijoj, omijoj zakopiańskie strony,
bo tam pikne panny, to będziesz
zgubiony...

zawodzi starszy družba Józek Fomcisty.

...Kochaj ze mnie chłopce, kochaj w
dzień i w nocy,
bo fciałabym ciągle być w twojej
młodej mocy...

W drugim i trzecim dniu wesela przyśpiewki były coraz jurniejsze i swobodniejsze. Nie brakło i akcentów sentymentalnych. Stary Kuba Zachemski, profesor gimnazjum Świętej Anny w Krakowie, wspomniął o swoich młodych, studenckich latach. Młodzieńczym

głosem, którego nikt się u niego nie spodziewał, zaśpiewał pełną pierśią:

...Gdy wieczorem marzę sam,
wówczas w wyobraźni,
wstaje szereg zeszyłych dni, szczęścia
i przyjaźni,
Gwar wesołych, młodych dni, w głowie
mi się cieśni,
Zda się słyszę cichy dźwięk ulubionej
pieśni,
Gaudemus igitur...

To znów Józek Gut wysokim dyszkantem:

...Zebym jo wiedzioł kiedy jo umrę,
to bym se zrobił ze złota trumne,
a na tej trumnie flaske z arakiem,
zeby wiedzieli zem był pijokiem...

Poczem:

Ej, po pod las, po pod las siwe wołki
gnała,
sama nie wiedziała komu gęby dała...

* * *

Swoją miodową miesiąc Jaś i Kasia Obrochtowie spędzali w górach i lasach tatrańskich. Nie mogli się sobą dosyć nacieszyć. Zanurzali się w pachnące lasy, tonęli w naperfumowanych łąkach. Czuli się zespoleni z Tatrami, z całą tą prześliczną, pełną urody ziemią podhalańską.

* * *

Młoda para osiadła na ojcowskim gazdostwie, w Białym Dunajcu. Młodzi mieli pełne ręce roboty, bo gazdostwo było nie byle jakie. Oboje byli sierotami, a rodziców zastępował im stryk Jasia Obrochty. Chodziła w owych czasach na mogiłki swych rodziców czarnewłosa Kasia. Na grobie tatusia widniał napis, jak to tatuś, będąc żołnierzem w Legionach pana Józefa Piłsudskiego, poległ pod Polską Górą na Wołyniu, i jak go mamusia sprowadziła po śmierci do tej owo mogiły.

Wieczorami, po pracy, odbywały się często posady na gazdostwie Obrachty. Przybywali tłumnie: dziewczęta i chłopcy oraz starsi kumotrowie. Kiedyś przyjechał do nich Józek Panczakiewicz, naukowiec, specjalizujący się w astronomii.

—E, cóz to takiego astronom? — pyta się stryk.

— Dyc to taki cłek, co gwiazdy rachuje...

Ehe, — odkazuje stryk — edyc u nos na Podhalu są tacy, ale ich nazywajom

— planetnikami... był taki jeden astronom w Poroninie, rachował gwiazdy, ale wloził do g...

— Śmiech wstrząsnął białą izbą góralską.

To znów innym razem odwiedził młodą parę daleki ich krewny, pleban z Raby Wyżnej, ksiądz Mioduszewski. Opowiadał między innymi o swej przygodzie z księciem arcybiskupem Sapiańką z Krakowa. Jak to kiedyś ksiądz arcybiskup, jadąc z Krakowa pod Tatry, odwiedził go niespodzianie na plebanii i wypytywał docieklewie, jak to tam w jego szkole idzie nauka religii? Mójże ks. Mioduszewski chwalił bardzo miejscowe dzieci. Po krótkim pobycie ksiądz arcybiskup jedzie dalej i napotyka na gościńcu na gromadkę dzieci szkolnych, właśnie z Raby Wyżnej. Egzaminuje ich dorywczo, na tematy świętej wiary katolickiej. Ale dzieciaki ani be, ani me. Poirytowany Dostojnik Kościoła pyta dzieci: „cóżecie takie niemrawe?“

— E dyc nom przykazuje nasz ksiądz pleban, abyśmy na gościńcu nie godali z belę kim o Panu Jezusie i Nasej Nojświntsej Panience z Ludźmirza.

* * *

Na posiadach u Obrochtów mówiono często o dawnych czasach na polu prawnie pogańskich, kiedy to żyli jeszcze pierwszy proboszcz Zakopanego, ksiądz Stolarczyk i Sabala.

— „Tak chodźcie w zimie letko ubrani — mówiła do stryka Sabala jego różniwnica z tamtych czasów. Jeszcze was nieraz spotka jakaś chorość.“

— „E dyc mnie grzeje nie serdak, albo portki, ale krew“, — mawiał Sabala.

* * *

W czerwcu 1939 roku przysłała któregoś dnia Kasia ze swoim malutkim synkiem na mogiłki rodziców i widzi, że porosły one konwaliami.

— Skąd ze sie one wzieny? — dziwi się Kasia, gładząc delikatnie białe kropelki konwalij, które lud podhalański nazywa łzami Matki Boskiej.

Po powrocie dowiedziała się od stryka, że konwalie maszerują pod ziemią i że nieraz wykwitają w zupełnie niespodziewanych miejscach. Idą widocznie śladami Matki Boskiej, która często odwiedzała wsie podhalańskie i płakała nad losem biedoty góralskiej.*

* * *

Gdy przyszły dni wrześniowe 1939 roku, młodzi pozostawiając synka na

OPÓŹNIENIE NIEKTÓRYCH CECH ROZWOJOWYCH
U NORMALNYCH DZIECI I ICH PRZYCZYNY:

CZĘŚĆ III.

PROBLEMY ZACHOWANIA

Na zakończenie cyklu zajmę się w dzisiejszej gawędzie trzema z najczęściej spotykanych przejawów charakteru dziecięcego, a mianowicie — płaczem, atakami złości, oraz charakterystycznymi oznakami złości, związanymi z rozmyślnym wstrzymaniem oddechu.

PŁACZ. Najczęstszymi powodami płaczu u noworodka jest poczucie niewygody oraz poczucie samotności. Główną przyczyną niewygody jest głód.

Już od pierwszych niemal godzin możemy zauważyć różnice temperamentu u noworodków. Jeden, zbudzony głodem będzie płakał tak głośno, że matka rzuci wszystko, aby natychmiast przygotować mu pokarm, inny zaś zbudzony także głodem, będzie cierpliwie i bez płaczu czekać na swoją porcję mleka. Niektóre dzieci, już od urodzenia mają tak uregulowane żołądki, że można je karmić co do minuty, co trzy lub cztery godziny, podczas gdy inne głodnieją przed przepisywanym czasem, zawiadamiając o tym głośnym płaczem. Poza tym, nie tylko godziny karmienia są ważne dla dobrego samopoczucia noworodka, lecz także ilość podanego pokarmu. Tak samo jak dorośli, każde dziecko ma odmienny apetyt i wskazania teoretyczne, że dziecko o takiej to a takiej wadze winno zjeść tyle a tyle, nie zawsze mają zastosowanie w praktyce. Z reguły lepiej jest przygotować za wiele jedzenia, niż za mało, a niemowlęciu pozwolić wypić tyle, ile samo chce, gdyż organizm będzie tu najlepszym regulatorem.

Drugą częstą przyczyną płaczu z powodu niewygody są gazy, a także tzw. „kolka“, która jest przypadłością pierwszych trzech miesięcy życia i na którą dotychczas nie znaleziono skutecznej rady. Przeważnie pomiędzy 10 i 16 tygodniem życia niemowlę wyrasta z „kolki“.

Dalszą przyczyną płaczu może być zbyt duża ilość ubrania, przegrzana lub zbyt chłodna atmosfera, mokra lub brudna pieluszka, swędząca wysypka, przykry zapach lub smak, np. wymiotów.

Niewiele matek zdaje sobie sprawę z tego, że często płacz suchego, przewiniętego i najedzonego dziecka wypływa z jego poczucia samotności. Płacz z tego powodu ustaje natychmiast, jeśli weźmiemy dziecko na rękę, lub wniesiemy do pokoju, gdzie przebywa reszta rodziny. Jakże często spotykamy niemowlęta zanoszące się samotnym płaczem, gdyż rodzice obawiają się w złe pojętym poczuciu „dyscypliny“, że je „rozpuszczą“. Oczywiście nie chodzi tutaj o noszenie dziecka bez przerwy, lecz raczej o rozsądne powodowanie się tym, czego dziecko w danym momencie potrzebuje.

Pomiędzy 5 a 6 miesiącem życia niemowlę może już mieć uczucie strachu, na które także reaguje płaczem. Przestraszyć się może z wielu powodów: np. zobaczy nad sobą obcą twarz, zapłcze się w pościel, itd. Prawdopodobnie około 6 miesiąca życia dzieci zaczynają śnić, co może być przyczyną płaczu w nocy. Około 9 miesiąca życia dziecko zaczyna odczuwać zazdrość i płacze również, gdy matka podniesie inne dziecko, gdy jedno z rodzeństwa uderzy się lub zostanie ukarane. Starsze dzieci płaczą nieraz, po prostu z nudów, a nieraz i dlatego, że im starsze, tym więcej ciekawe otoczenia i próbowania nowych, świeżo odkrytych funkcji; z chwilą gdy nowo-odkryta możliwość zrobienia czegoś samemu nie udaje się — wywołuje to płacz zawodu.

Ataki niewytłumaczalnego płaczu w tym okresie życia są prawie zawsze powodowane potrzebą miłości, poczucia bezpieczeństwa i możliwości uprawiania świeżo odkrytych czynności. Nie można zapominać, że dziecko nigdy nie płacze „bez powodu“, a więc jego płacz musi być wynikiem jakiegoś niedociągnięcia w jego wychowaniu.

Ataki złości. Przeciętny wiek, w którym dają się zauważyć pierwsze napady złości waha się od 15-go miesiąca życia do mniej więcej trzech lat.

Chyba każde z rodziców oglądało swą pociechę w ataku złości. W najgorszej formie takiego ataku dziecko może wyrządzić wiele szkody, np. przez rzucanie porcelaną o podłogę, przedmiotów wartościowych do ognia, może kopać cenne, a niezapłacone jeszcze meble, gryźć i pluć. Ataki złości spotykamy częściej u dziecka żywego i energicznego. Ataki te nie są niczym innym, jak dramatycznym spięciem pomiędzy formującym się charakterem dziecka a wolą rodziców. Jeśli dziecko, które z reguły jest doskonałym obserwatorem zauważy, że przez krzyki i złość może zwrócić na siebie uwagę, dostać to, czego chce, lub nie zrobić tego czego zrobić nie chce — napad złości powtórzy następnego dnia i tak dalej, dla uzyskania swego celu, czyli że jeden atak złości źle rozegrany przez rodziców zawsze spowoduje następne, gdyż dziecko odkryło w nim najlepszą metodę dokuczenia rodzicom i przeprowadzenia swej woli.

Jak już wspomniano, bardzo popularną przyczyną napadów złości jest chęć wypróbowania własnej samodzielności. Często rodzice nie pozwalają mu na samodzielną czynność z obawy, że dziecko zrobi sobie krzywdę, lub dlatego, że jest powolne, a dziecko właśnie „chce samo“, manifestując swe chęci krzykiem i płaczem.

Inną przyczyną ataków może być naśladowanie niezgodnych rodziców, a jeszcze inną — brak poczucia bezpieczeństwa we własnym otoczeniu, brak ciepła rodzinnego i tliwości.

Tak zwany „perfekcjonizm“ w wychowaniu dziecka często wywołuje nadmierną złość: chęć wtrącania się do poczynań dziecka, ciągłe zabranianie czynności w gruncie rzeczy nieszkodliwych, a przeciwnie — potrzebnych do jego normalnego rozwoju, jak np., bawienie się wodą — zbyt często powtarzanie słowa „nie“ — zawsze napotka na opór rozwijającej się indywidualności, jeśli dziecko posiada jakiegokolwiek objawy zdrowej, rozwijającej się woli.

Jakże zaradzić tym bardzo przykrym nieraz atakom złości u małych dzieci?

Przede wszystkim trzeba znaleźć przyczynę i w miarę możliwości usunąć ją. I

opiece stryka, poszli służyć ojczyźnie, w lasy ojcyste, tatrzańskie.

* * *

Mało kto z ludzi wiedział, że Sabała był nie tylko zbójnikiem, ale i przemytnikiem. Przemycał mianowicie ludzi. W dwa lata po samotnym powstaniu Chochołowskim — wybucha — jak wiemy rewolucja narodowa na Węgrzech. Wielu rodaków przedzierało się przez tatrzańskie góry i lasy na Węgry, by pomóc zaprzyjaźnionemu narodowi węgierskiemu w jego walce o wolność. Wielu rodaków w owe czasy przemycił Sabała, zupełnie bezinteresownie. Tak to na swoim odcinku Sabała realizował piękną przypowieść o zaprzyjaźnionym narodzie węgierskim:

* * *

— Polak Węgier dwa bratanki,
i do szabli i do szklanki...

* * *

Także i o tamtych czasach wspomniano na posiadach u Obrochtów, w owym tragicznym roku 1939.

Jan Walewski

tutaj, moim zdaniem, metoda zalecana przez wielu, czyli metoda mocnego klapsa w odpowiednie miejsce, może okazać się metodą najmniej skuteczną i wręcz złą. Zdarza się często, że w ten sposób skarcone dziecko wpada w stan hysterii zaczynając od początku całe „przedstawienie“. Okazywanie całkowitej obojętności, nie zwracanie najmniejszej uwagi na atak złości, pozwolenie na „wyzłosczenie się“ przynosi zwykle o wiele lepsze rezultaty.

Natomiast, gdy dziecko uspokoi się już, nie można dalej pozostawiać obojętnym. Należy okazać mu kliwość, podnieść z ziemi, przytulić do siebie, aby wiedziało, że jest kochane, w żadnym jednak razie nie należy mu dawać tego, o co robiło awanturę.

Po takim ataku matka, czy wychowca powinien spytać przede wszystkim samego siebie: czy naprawdę było aż tak ważne, by dziecko przestało robić to, co zrobiło i co zostało mu zabronione? Lub, czy doprawdy było tak ważne zmuszenie go do robienia tego, czego robić nie chciało? Im więcej w nas samych znajdziemy cierpliwości, wyrozumienia i praktycznego rozsądku, a także poczucia taktu i humoru — tym rzadsze będą ataki złości u naszych dzieci.

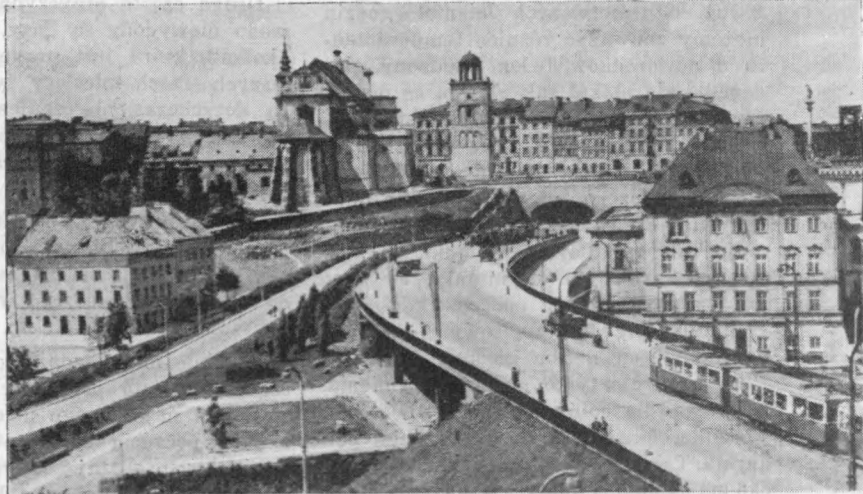
Wstrzymywanie oddechu. Objaw ten jest ściśle związany z powyżej opisanymi atakami złości, a przyczyny są te same. Dziecko zapłacze dwa lub trzy razy bardzo głośno i nagle świadomie przestaje oddychać, wstrzymując oddech od 5 do 20 sekund, sinieje, może stracić przytomność i upaść. Wreszcie zaczyna płakać, najpierw cicho, potem coraz głośniejsze i po kilku chwilach wraca do normalnego stanu.

Tego rodzaju atak jest widokiem dla otoczenia przerażającym. Niektóre dzieci przechodzą przezeń tylko raz w życiu, inne znów — po kilka razy dziennie.

I chociaż tutaj jestem zwolennikiem mocnego klapsa, klapsa, który naprawdę zaboli i tym samym otworzy usta dziecka do płaczu, a więc i do oddechu — muszę przyznać, że nie zawsze on pomaga. Dziecko nie zrobi sobie żadnej krzywdy przez wstrzymanie oddechu: jeżeli ma się mocne nerwy i ten atak należy zignorować, uważając jedynie, aby dziecko nie potłukło się padając.

Dr Michał

PRZED DZIESIECI



**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

U LATY...

Warszawa w październiku 1956...

Czołgi sowieckie na ulicach Budapesztu...

Potężny głos wolności, który zabrzmiał przed dziesięciu laty. Poprzedził je bunt bohaterskich robotników Poznania, krwawo stłumiony. Bunt dał w wyniku tzw. październik, z którym tak wielkie łączono nadzieje, nieuzasadnione w samym założeniu, a po którym pozostało dziś przede wszystkim gorzkie wspomnienie.

Rewolucja węgierska przyniosła barbarzyńskie zniszczenie Budapesztu, bohaterską śmierć bojowników o wolność i utwierdzenie okupacji sowieckiej.

Ofiary, jak każda wielka ofiara, nie poszły jednak na marne. Rok 1956 w Polsce i na Węgrzech zadokumentował wolę ludzi z ducha wolnych. Miało to i ma skutki pozytywne. Z jednej strony zapoczątkowało rozkład wewnętrzny bloku sowieckiego, z drugiej przyniosło pewne, chociażby ograniczone, reformy gospodarcze. O prawdziwą wolność narody polski i węgierski, razem z innymi ujarzmionymi narodami Europy, upominają się dalej. Na emigracji polskiej głos przemawiający w imieniu Kraju nie zamilkł. W tym roku zabrzmiał donośnie w czasie obchodów milenijnych — przed laty, w czasie pobytu Chruszczowa i Bulgarińskiego w Londynie, przybrał kształt wielkiej manifestacji publicznej, którą przypominamy na zdjęciu.



WIEK X od dawna malowany jest najciemniejszymi barwami przez historyków Europy Zachodniej jako wiek ciemności, żelaza, krwi i barbarii; wiek niemal rozkładu cywilizacji i kultury oraz najgłębszego upadku papieżstwa, religijności, obyczajów. Jednak wszelkie sumaryczne sądy już przez samo zageszczenie zbyt ciemnych (lub też zbyt jasnych) farb aż kuszą o rewizję. Wszak już nieraz byliśmy świadkami odrotu historyków od takich zbyt jednostronnych wyroków, np. rewizja poglądów od końca XIX wieku na państwo bizantyjskie, jego kulturę i cywilizację; od początków zaś naszego stulecia wobec wieków średnich w ogóle; zaś w latach dwudziestych w stosunku do nazbyt górnych ocen renesansu wieków XV i XVI. Wtedy w trakcie rozległej dyskusji zachodnio-europejscy historycy wykazawszy organiczną ciągłość dziejów kultury i ścisły związek epok następnych z poprzednimi, stwierdzali, że ów renesans humanistyczny jest najmniej ważki z wszystkich renesansów europejskich. Przero niektórzy byli zdania, że w ogóle nie zasługuje na tę nazwę: był bowiem ostatnią, bardzo już osłabioną falą największego, najbardziej twórczego renesansu, jaki Europa zachodnia w swych dziejach przeżyła: to jest w wieku XI i XII.

A właśnie wiek X kładł podwaliny pod to niezwykle odrodzenie kultury, jakie miało zaowocować w wieku XI i XII, zapoczątkował rozwój myśli badawczej, był świadkiem pierwszych kontaktów z uczonymi arabskimi i żydowskimi, przygotował grunt pod rozwój szkół i przyszłych uniwersytetów.

Więc choć wiek X rzeczywiście był także okresem barbarii — lecz jakież okres historyczny nim nie jest? — to jednak wszystko, co tylko najbardziej ujemnego możemy o tych czasach powiedzieć, nie wyczerpuje całej ich treści. I obok pozytywnych stron, które tu wymieniliśmy, jak i innych jeszcze, o których tu wspominać nie będziemy, był to też wiek największej działalności chrystianizacyjnej w całych dziejach Europy. Wciąż jeszcze brak historycznego wytłumaczenia przedziwnej dwiistości tych czasów. Bo prawdą jest, że była to np. era najgłębszego upadku papieżstwa, zwana przez niektórych historyków nawet „erą pornokracji“: Przy takim Janie XII i nieco późniejszym Benedykcie IX, osławiony Aleksander VI Borgia z przełomu XV i XVI wieku jest niemal czcigodnym pocziwcem. A jednak właśnie w epoce szczególnego upadku, papieżstwo kieruje kolosalnym dziełem misyjnym. Wtedy to z wyjątkiem półn.-wschodu i dalszego wschodu, reszta kontynentu poddaje się ewangelii. Czechy, Polska, Dania, Szwecja, Norwe-

POD FUNDAMENTAMI

S P R A W A

gia, Ruś, Bułgaria i resztką dawnego Ilyryku przyjmują stopniowo chrześcijaństwo. A przytem wciąż trwają wysiłki w celu nawrócenia Słowian zachodnich, Prusów oraz różnych koczowniczych ludów na południe i wschód od Rusi. Wreszcie ku końcowi stulecia rozpoczyna się chrystianizacja Węgrów. Zaczął to dzieło książę Gejza, który przyjął chrzest w roku 975 wraz ze swym otoczeniem i 10-letnim synem Wajkiem, odtąd znanym pod imieniem Stefana.

II

ZWŁASZCZA chrystianizacja Węgrów wywołała wówczas wielkie wrażenie. Osiedliwszy się w Pannonii niecałe 100 przedtem, na lekkomyślne wezwanie władcy niemieckiego Arnulfa, który przy ich pomocy chciał powalić państwo wielkomorawskie, Węgrzy, wciąż jeszcze zlepek półdzikich szczepów fińsko-ugryjsko-tureckich, stali się niebawem największym zagrożeniem południowego zachodu Europy, i to z obu stron Alp. Węgrami — od „On-Ogur“ — nazwali ich Słowianie i nazwa ta w postaci słowa „ogre“ istnieje po dziś dzień w językach zachodnioeuropejskich na oznaczenie najokrutniejszego, a olbrzymiego potwora, który żywcem pożera małe dzieci. Świadczy to, jak straszliwie we znaki dał się Europie ten wędrowny lud urodzonych łupieżców, który choć podobno liczył wszystkiego zaledwie 25.000 mężczyzn, docierał swymi zagonami aż poza Ren, zanim został druzgocąco pokonany przez Ottona I i odtąd przestawił się na życie osiadłe. Nic dziwnego, że zaprzestanie najeżdżów, decyzję włączenia się w społeczność europejską poprzez chrystianizację, Europa zachodnia i południowa przyjęła z ulgą i radością.

Na dobre chrystianizację Węgrów poprowadził następca Gejzy, dwudziestoletni Stefan. Gejza wprawdzie przyjął chrzest, lecz nie porzucił jednak pogaństwa. Twierdził, że jest dostatecznie bogaty, żeby hojnym kultem otoczyć wszystkie bóstwa, jakie tylko istnieją. I składając ofiary bogom, zaczął równocześnie na wielką skalę budowę przesiąwnego benedyktyńskiego arcyopactwa w Pannonhalma, nad jeziorem Balaton, dzieło doprowadzone do chlubnego końca przez św. Stefana, który objął panowanie w roku 997. Kiedy żarliwy Stefan, w roku 1000 lub 1001 otrzymał zgodę Sywestra II i Ot-

tona III na koronację i organizację samodzielnego kościoła madziarskiego, pospieszyli mu z pomocą w trudnym dziele chrystianizacji najwybitniejsi misjonarze Europy, tacy jak Gerard, Bomipert, Ulryk, Radła, Walter, Astryk z towarzyszymi, Anastazy, Bruno z Kwerfurtu i inni — Włosi, Niemcy, Czeši. (To znaczy, w tym ostatnim wypadku, jeśli nie rodowici Czeši, to jednak duchowni dotąd na terenie Czech działający).

III

W TYM znamienitym gronie apostołskim, które przybywało na Węgry, w początkach panowania króla Stefana, znalazł się też Polak, imieniem Świerad. Był to chłopski syn i najprawdopodobniej pochodził z południowych stron Polski, w każdym razie do dziś dnia przechowała się na Podhalu pamięć o nim i jego uczniu, Benedykcie. Jeśli więc z tych stron nie pochodził, to w każdym razie tutaj Świerad rozpoczął pustelnicze życie. W roku 1938 w okolicach Tropia i Jakubkowiec ludność pokazywała mi miejsca, gdzie miały stać pustelnie obu eremitów, dodając różne szczegóły i informacje, jakby to dotyczyło wypadków sprzed lat trzydziestu, a nie przeszło 900...

Stąd to Świerad udał się daleko na południe, za Karpaty, do Nitry na Słowaczczyźnie. Tutaj skierował się do klasztoru benedyktynów pod wezwaniem św. Hipolita rzymskiego i opat tego klasztoru, niejaki Filip, zapewne po przepisowym okresie próby, dał mu habit i zakonne imię Andrzeja. To znaczy, że Andrzej Świerad został pełnoprawnym mnichem. Ale został jeszcze czymś więcej, gdyż opat pozwolił mu na życie pustelnicze, dość daleko od klasztoru nitrzańskiego, bo w puszczańskie pustelni nad Wagiem. Z tego wynikają dwa wnioski. Pierwszy, że opat Filip uznał jego wielkie wyrobienie wewnętrzne i dojrzałość życia duchowego oraz autentyczne powołanie. Jeszcze bardziej świadczy o tym fakt, że — zapewne po pewnym czasie — pozwolił mu mieć niedaleko swej pustelni ucznia, Benedykta. Ów Benedykt uchodzi za Polaka, lecz nie wiemy kim był z narodowości. Mógł też być Słowakiem. A drugi wniosek, że w tym czasie Andrzej Świerad musiał już mieć skończonych 40 lat życia. Reguły nie dozwalały na wcześniejsze rozpoczęcie życia eremickiego, pustelniczego.

TYSIĄCLECIA

ŚW. ŚWIERADA

Zwróćmy jeszcze uwagę na ciekawy szczegół, że opat Filip nadaje Świeradowi imię zakonne. Otóż w tym czasie zmiana imienia przy profesji zakonnej raczej rzadko była stosowana na Zachodzie. Był to natomiast powszechny zwyczaj Kościoła wschodniego. Widocznie więc Słowaczyna, pozostałość dawnego państwa wielkomorawskiego, była terenem, gdzie krzyżowały się wpływy obu Kościołów. Wiemy skądinąd, że podobnie było na terenach, zajętych przez Węgrów. Węgierscy najeźdźcy opanowali kraj, zamieszkały przez ludność dość różnorodną, wśród której od dawna już żyło wielu Słowian. Na tym terenie, zwanym Panonią, tradycje chrześcijaństwa były bardzo dawne. Pomimo tego, że w ciągu wieków Panonię zajmowały coraz to inne ludy koczownicze i zawsze pogańskie, to jednak jacyś chrześcijanie na pewno zdołali się tu utrzymać, niektórzy zaś chyba uciekali przed każdą falą nowych napastników, chroniąc się dalej na zachód, ku Bawarii, lub nawet za Alpy; ale też zapewne i za Karpaty, czyli na przyszłe ziemie Polski. Dlatego to w ten sposób chrześcijaństwo musiało od dość dawna być znane, zwłaszcza na terenie późniejszej Małopolski.

W Panonii dość silne były wpływy Kościoła bizantyńskiego, greckiego, a potem, od wieku X, bułgarskiego, z językiem słowiańskim. Jeszcze za Gejzy, to jest ojca króla Stefana, nie było rzeczą pewną, czy nie zwycięży tutaj chrześcijaństwo wschodnie. Może też od końca wieku IX przetrwały ślady chrześcijaństwa metodiańskiego. Mówią zresztą źródła, że po wypędzeniu z Moraw, niektórzy duchowni metodiańscy udawali się do Bułgarii przez Panonię; niektórzy zaś może i tutaj zostawali działając następnie wśród tutejszej ludności słowiańskiej. Jak wiemy, pod względem obediencji patriarszej i, być może, w jakimś stopniu także liturgicznie, było to chrześcijaństwo rzymskie, lecz z językiem słowiańskim (znanym w nauce pod nieporęczną nazwą staro-cerkiewno-słowiańskiego). Jednak chrześcijaństwo to miało niektóre zwyczaje, a nawet pewne pojęcia teologiczne, czysto wschodnie; przy czym z racji pochodzenia ciążyło do Bizancjum. Oczywiście istnieli tu także chrześcijanie łacińscy. Oprócz tego trzeba też przypomnieć, że działały tu od bardzo dawnych czasów wpływy różnych nieortodoksyjnych form chrześcijaństwa, jak

arianizm, monofizytyzm. W IV i V wieku państwo rzymskie nieraz zsyłało za karę biskupów i mnichów heretyckich w okolice morza Czarnego, lecz także do Panonii. Do dziś dnia sprawy te są dalekie od dokładniejszego zbadania; choćby, przynajmniej, od podsumowania wniosków, płynących z nielicznych dotąd znanych źródeł pisanych. W każdym razie zdaje się z tego wynikać, że chrześcijan musiało tu pozostać sporo pomimo wszystkich katastrof kolejnych najazdów, łącznie z ostatnim, a dla chrześcijan może najcięższym, madziarskim. Pomimo to, już za panowania księcia Gejzy słyszymy o chrześcijanach autochtonach. Ze swych łupieskich wypraw Węgrzy przyprowadzili również ze sobą jeńców chrześcijańskich i nawet zezwalali duchownym niemieckim, by udawali się za nimi do Panonii. Słyszymy też o działalności misyjnej jeszcze przed chrztem Gejzy; a dwaj najstarsi misjonarze „Węgier“ przed okresem chrystianizacji energicznie prowadzonej przez króla Stefana, to św. Wolfgang, przyszły biskup regeburski; i św. Wojciech praski.

Gdyby nie istnieli tu miejscowi chrześcijanie, rozproszeni po całym państwie węgierskim, wątpić należy, aby św. Stefan, władca nie tylko pod każdym względem wybitny, lecz także realista, od razu na tak rozległą skalę dokonał organizacji Kościoła madziarskiego: 10, a potem 12 biskupstw, z dwoma arcybiskupstwami, w Ostrzyhomiu (Gran) i Koloczy. Znakomity historyk Kościoła i znawca epoki, ks. prof. Emil Amann żartuje sobie, że był to prawdziwy luksus w kraju, gdzie ilość chrześcijan musiała być w tym czasie minimalna.¹⁾ Nie bierze jednak pod uwagę ludności autochtonicznej, oraz długich a bardzo różnorodnych dziejów chrześcijaństwa w Panonii.

IV

A WIĘC św. Świerad udał się do Nitry, na Słowacji, i następnie osiadł w pustelni nad Wagiem. W którym to mogło być roku? O tym pomówimy za chwilę, tutaj tylko zaznaczając, że zmarł najprawdopodobniej po roku 1030. Musiał przebywać zaś w swej pustelni przez dłuższy okres czasu, jeśli wieści o jego życiu, mimo że związany był tylko ze swym eremem, rozeszły się dość szeroko, jak to wynika z pewnych faktów. Nie prowadził on bowiem działalności misyjnej w ścisłym

tego słowa znaczeniu. Modlił się, karczał bór, uprawiał ascezę o niezwykle wręcz surowości; ale o tym wiedział tylko jego uczeń, Benedykt, od niego zaś opat Filip; obaj zaś, Benedykt i Filip opowiadali często o Świeradzie mnichowi, a potem arcyopatowi w Pannonhalma i wreszcie biskupowi Pięćkościołów (Pécs), biskupowi Maurovi, który jeszcze jako żaczek w Pannonhalma sam widział Świerada. Na podstawie relacji Benedykta i Filipa błogosławionny Maurus w jakichś 30 lat po śmierci świętego spisał jego krótki życiorys; i to jest nasze jedyne źródło wiadomości. Wszystkiego innego możemy się tylko domyślać. A wiadomości, pozostawione przez Maurusa, choć autentyczne, są jednak skąpe. Wiele dowiadujemy się o metodzie jego straszliwej ascezy, o sławie świętości wśród najuboższych rzesz słowackich, o dwu cudach działanych po śmierci, lecz o jego życiu poprzednim niemal nic. Tylko fakt, że przybył do Nitry „z ziemi Polaków“, „de terra Poloniensium“, oraz niezwykle godną zastanowienia wiadomość, że pojawił się tu wraz z innymi „canonici et monachi“, których pociągnęła sława apostołskiej działalności św. Stefana. „Canonici“ ma w tym kontekście, i z resztą w tym czasie w ogóle znaczenie: „kleru diecezjalnego“. Zatem już przed przybyciem do Nitry Świerad mógł być kapłanem, lub conajmniej jakimś *monachus*, mnichem.

Biskup Maurus pisze, że Świerad przybył z ziemi Polaków „do naszej ojczyzny“: *hanc in patriam*. Jednak „patria“ nie koniecznie znaczy „ojczyzna“. Znaczą też po prostu „kraj“, miejsce życia i zamieszkania, nawet dom. Tak więc Maur mógł po prostu zaznaczyć, że Świerad „z kraju Polan“ przywędrował do „tego kraju“, czyli z jednego miejsca na drugie — najogólniej mówiąc. Nie mógł określić ówczesnej Słowaczyny, z czasu przybycia Świerada, nazwą „nasza ojczyzna“, gdyż Słowacja dopiero ku końcowi panowania św. Stefana aż po rzekę Wag została podbita przez Węgrów. Wtedy zaś, kiedy tu nasz święty przywędrował, mogła należeć jeszcze do Czech lub już do Polski, zdobyta na Czechach przez Chrobrego. W ogóle sprawa przynależności Słowacji i ziem na południe od Karpat, a na północ od Dunaju, przed nagłym zwrotem tej rzeki ku południowi, stanowi wciąż jeden z ciernistych problemów w historii. Wydaje się, że ziemie na północ od Dunaju św. Stefan przyłączył do korony węgierskiej dopiero około roku 1010. Natomiast w X wieku prawdopodobnie należały one do Czech, podbite przez czeskiego Bolesława II. Kościelnie więc należały do biskupstwa praskiego. Wydaje się, że nawet na południowej stronie Dunaju leżący Gran

(Hran) czyli Ostrzyhom, późniejsza stolica arcybiskupów węgierskich, podlegał biskupowi praskiemu. W taki tylko sposób można sobie wytłumaczyć nie ulegającą wątpliwości i dość ożywioną działalność chrystianizacyjną św. Wojciecha „na Węgrzech“. Słowację właściwą zaś Chrobry po walkach z Czechami przyłączył do Polski, przy której miała pozostawać aż do roku 1030. Z tego wynikałoby, że całe niemal życie św. Świerada na Słowacji upłynęło pod polskim panowaniem.

Stwierdzony jest niewątpliwie ścisły związek benedyktyńskiego klasztoru nitrzańskiego, do którego wstąpił św. Świerad, z czeskim klasztorem benedyktynów, założonym przez św. Wojciecha w Brzewnowie pod Pragą. Był to jak wiadomo klasztor łąciński obserwacji montecassyńskiej i awentyńskiej. Także ten związek Nitry z Pragą zdaje się świadczyć o czeskiej przynależności Słowacji w wieku X i na samym początku wieku XI. Bł. Maurus mówi o swej znajomości z opatem klasztoru nitrzańskiego, Filipem. Maur zaś, jak to już była mowa, był najpierw żakiem, potem mnichem i wreszcie opatem arcyopactwa benedyktyńskiego w dalekim Pannonhalma koło jeziora Balaton. To opactwo miało regułę arcyopactwa benedyktyńskiego z Montecassino, o czym wiemy dobrze z istniejącego dokumentu. Również Świerad przesunął się przez Pannonhalma, może z chęcią nawiedzenia tego słynnego opactwa, poświęconego św. Marcinowi z Tours, szczególnemu patronowi św. Stefana jak i Panonii, z której pochodził ten szczególnie krzewiciel monastycyzmu zachodniego, wielki asceta i ongiś również pustelnik eremita. Maur bowiem świadczy, że widział Świerada jako żak szkolny: *ut puer scholasticus*. A może Świerad był w Pannonhalma po drodze do Ziemi Świętej? Maur bowiem mówi, że nasz święty obserwował regułę abby Zozymasa, który żył w pierwszej połowie VI wieku w Palestynie. Nie jest wykluczone, że ten pierwszy polski wyznawca, ongiś patron Węgier i do dziś patron Słowacji (ostatnio zaś współpatron diecezji tarnowskiej), jest też pierwszym historycznym Polakiem, który otwierał tak popularny i tak przez Słowian — zwłaszcza wschodniochrześcijańskich — ukochany szlak pielgrzymi.

V

JAK już wspomniałem, wszystko, co wiemy o św. Andrzeu w Świeradzie, zawdzięczamy krótkiej łacińskiej „vita“, napisanej około roku 1064 przez bł. Maura, już wtedy biskupa Pécsu. Najlepiej będzie, jeśli przytoczę odpowiednie fragmenty tego życiorysu. Czytelnik przekona się, że jest to życiorys powściągliwy, bardzo fakualny, z po-

wolywaniami się na świadectwa, choć oczywiście odpowiadający wymogom rodzaju literacko-hagiograficznego, do jakiego tego rodzaju „vitae“ należą. Daję te fragmenty we własnym przekładzie:

„W czasach, kiedy z nakazu wielce chrześcijańskiego króla Stefana szerzyła się w Panonii (znajomość imienia Bożego i boskiej religii, wciąż jeszcze w sposób niezorganizowany, wielu kapłanów i mnichów z innych krajów wskutek wieści o dobrym władcy napływało do niego, jak do ojca. Nie czynili tego pod naciskiem jakiejś (zewnątrznej) konieczności, lecz z pragnienia, żeby znalazłszy się tu razem, zażywać nowej radości z wzajemnego świętobliwego obcowania.

Między nimi z natchnienia Ducha św. przybył do tej krainy (lub: „naszej ojczyzny“; dopisek J.T.) z kraju Polaków pewien mąż imieniem Zoeradus, który wyrósł w stanie wieśniaczym, jak róża wśród cierni. Otrzymałszy habit i imię Andrzeja, od opata Filipa, którego klasztor pod wezwaniem św. Hipolita męczennika zwał się Zobor i leżał w okręgu kościelnym Nitry, postanowił wieść życie pustelnicze. W jakiej tam żył skrusze serca i jak umartwiał ciało, wiem o tym z opowieści Benedykta — który był jego uczniem i wspólnie z nim przebywał — i postanowiłem to po krótko opisać.

Wprawdzie i ja sam, Maurus, obecnie z Bożego zmiłowania biskup, a wtedy żak szkolny, widziałem zacnego męża. Lecz jakie wiódł życie, o tym dowiedziałem się nie naocznie, lecz ze słyszenia. Ponieważ do naszego klasztoru pod wezwaniem św. biskupa Marcina wspomniany mnich Benedykt często zachodził, opowiadał mi o jego świętobliwym życiu co następuje:

Skoro tylko czcigodny Andrzej znalazł się w eremie na odludziu, zawsze zachowywał posty wielce udręczające ciało, lecz krzepiące życie duchowe. (Każdego tygodnia) przez trzy dni powstrzymywał się od wszelkiej stawy przejawiając w ten sposób dziękczynienie dla Tego, który dla ludzi stawczył się człowiekiem, czterdzieści dni pościł.

Kiedy zaś nadchodził czas Wielkiego Postu, wtedy za wzorem reguły zakonnej, jakiej przestrzegał abba Zozymas, a według której należało przeżyć Wielki Post o czterdziestu pięciu daktylach, brał od Filipa, od którego otrzymał habit, czterdzieści orzechów i poprzestając na tym pożywieniu, z weselem oczekiwał dnia Zmartwychwstania świętego. W dniach Wielkiego Postu i pozostałych, wyjąwszy tylko czas przeznaczony na modlitwę, nigdy nie przestawał pracować, lecz brał topór i szedł na robotę do pewnej odludnej części boru, chociaż

to, co jadł, nie tylko nie wystarczało dla pokrzepienia ciała, ale nawet prowadziło do osłabienia ducha. Gdy pewnego dnia z powodu nadmiernego utrudzenia pracą i surowości postu zaślabił na ciele i duchu i padł niemal martwy, zjawił się jakiś młodzieniec niezwyklej piękności, z wejrzenia i wyglądu podobny do anioła, położył go na wózek i przywiózł do eremu. Gdy ekstaza minęła, a on oprzytomniawszy jakie mu Bóg miłosierdzie okazał, wyznał to swemu uczniowi, wspomnianemu Benedyktowi — który mi o tym opowiedział — lecz zobowiązał go pod przysięgą, by do dnia jego śmierci przed nikim tego zdarzenia nie rozgłosił.

Po całodziennym umozoleniu dawał ciału taki odpoczynek nocny, że bardziej może zasługiwać na miano tortury i męczarni, niż spoczynku. Wokół równo świętego pnia dębowego stawał szczelne ogrodzenie, a poprzez (ściany) tego ogrodzenia zewsząd poprzątykał ostro zakończone kije trzcinowe. Siadał na ów pień używając takiego siedzenia na odpoczynek swym członkom. Lecz skoro tylko ciało zmęczone snem kłoniło się w tę czy inną stronę, budził się ranniony boleśnie ostrymi końcami kijów. Ponadto głowę miał otoczoną jakby koroną z drzewa, od której w czterech miejscach zwisały cztery kamienie: i kiedy we śnie głowa skłaniała się jakąkolwiek stroną, uderzała o kamień.

O nagrodzie świętego męża Andrzeja! życie wiecznej szczęśliwości, korono stokroć zdobiona, która w niebie wynagradza to, co na ziemi w trudzie było nabywane! O jakich to niesłychanych rodzaj świadectwa (składany Chrystusowi) i wyznanie wiary, które tym cenniejszym czyni przyrzeczone Królestwo! Ani pokarm ani odpoczynek nie umiały złudną przyjemnością oderwać go od życia wiecznego, a złemu duchowi nie udało się znaleźć dostępu, żeby go zwieść(...).

Wszystko, co dotąd o chwalebny męzu spisałem, opowiedział mi Benedykt. Następne rzeczy nieraz opowiadał mi opat Filip, kiedy także i ja zostałem opatem.

Kiedy nadchodziła godzina wyzwolenia z ciała, przepowiedział ją tym, którzy (wtedy) byli obecni, polecając by nie zdejmowano nic z jego szat, dopóki nie nadejdzie opat Filip, po którego posłał (gońca). Kiedy ojciec Filip przybył tam, gdzie leżało czcigodne ciało zmarłego, żeby je obmyć, znalazł łańcuch mosiężny, który już wpiął się we wnętrzności. Dziw niesłychany! Ciało jużgniło od wewnątrz, łańcuch był skórą porośnięty, lecz nikt byby się tego nie domyślił, gdyby na brzuchu nie wystąpiły metalowe ogniwa, skręcone w węzeł. Kiedy po rozwiązaniu wyciągano łańcuch z ciała, rozległ się wyraźny trzask kru-

szonych żeber. Wyblagałem u opata połowę tego łańcucha i miałem ją aż dotąd. Lecz kiedy wielce chrześcijański książę Geza usilnie mnie o nią prosił, nie umiałem prosić się oprzeć“ (...).

VI

TAK więc polski chłop-asceta i mnich eremita, benedyktyński pustelnik z czasów jeszcze dawniejszych, niż początek oficjalnego chrześcijaństwa w Polsce, już około roku 1063 został przez Kościół madziarski zaliczony w poczet pięciu patronów Węgier: obok króla św. Stefana, jego syna św. Emeryka (Henryka), biskupa-męczennika Gerarda i swego własnego ucznia, wspomnianego św. Benedykta. W 20 lat po tej jakby „beatyfikacji“ (beatyfikacje istnieją w Kościele łacińskim dopiero od papieża Urbana VIII, w XVII wieku), kult jego uznał i zatwierdził papież św. Grzegorz VII (w roku 1083). Zatem św. Andrzej Świerad nie jest tylko pierwszym Polakiem wyznawcą, lecz i pierwszym świętym Polakiem oficjalnie kanonizowanym.

Nie było moją intencją przedstawianie „życia“ tego świętego, na co zresztą brak materiału, choć o św. Świeradzie i tak wiemy o wiele więcej, niż np. o późniejszym od niego św. Stanisławie biskupie; O św. Stanisławie oprócz imienia (ruskiego) i faktu, że był biskupem, wiemy tylko, że poniósł śmierć 11 kwietnia 1079 roku. Lecz już czysto fizycznego powodu samej śmierci nie jesteśmy pewni, gdyż nie wiemy, czy zmarł na skutek ran, zadanych przez *obtruncatio membrorum*, „obcięcie członków“, jak pisze Anonim Gall; czy też został zabity, jak głosiła późniejsza tradycja, przez króla Bolesława Śmiałego: rzecz w zasadzie możliwa, zważywszy gwałtowny charakter króla i jego psychopatyczne usposobienie, którego Gall nie ukrywa. Przy obcięciu członków, najpospoliciej obcinano nos i dłonie: Otóż niedawno dokonane fotografie czaszki świętego, pokazane w Instytucie Historycznym w Londynie przez ks. dra Stanisława Belcha, zdają się potwierdzać prawdę przekazu Galla, gdyż czaszka wyraźnie wskazuje na brak znacznej części kości nosowej. Jednak też wyraźnie wykazuje ślady innych ran i cięć. Jeśli więc faktyczny fizyczny powód śmierci św. Stanisława jest zagadką, i to nową zagadką, szerszy powód tej śmierci w znaczeniu źródła i przyczyny zatargu między królem a biskupem, jest już tylko w sferze prawdopodobieństw i domysłów. O samym życiu świętego, o jego charakterze, nie wiemy zgoła nic wobec milczenia źródeł lub zgoła ich braku. Nawet przy istnieniu źródeł i dokumentów charakter taki trudno jest określić, a co dopiero, jeśli chodzi o św. Stanisła-

wa, wielkiego Nieznane^{B.D.I.C.} naszej historii. O św. Tomaszu Beckecie, którego życie i konflikt z Henrykiem II bez żadnego wątpienia zabarwiły w XII wieku pogład na zatarg Stanisława z Bolesławem, istnieje w Rolls Series 6 tomów źródeł z pierwszej ręki i cała olbrzymia literatura na nich oparta: a dopiero nie wiele więcej niż 10 (!) lat temu doczekaliśmy się pierwszego i mistrzowskiego studium jego charakteru, pióra wielkiego benedyktyńskiego historyka angielskiego, Dom Davida Knéwles. Ze studium tego wynika jasno, że pomimo niezwyklej zalet św. Tomasza, można o nim dosłownie rzec to samo, co generał jezuitów, Ojciec Włodzimierz Lédóchowski, powiedział o Piusie X, w formie delikatnego protestu przeciw zamierzonej wtedy jego beatyfikacji: iż męstwo (fortitudo) było w nim większe od roztropności (prudencia). św. Tomasz był człowiekiem gwałtownym, który nie dążył do rozwiązania i łagodzenia konfliktów, lecz przez cechy swego charakteru bezwiednie każdy konflikt zaostrzał. Jest to sprawa temperamentu i nie rzuca to cienia na subiektywną czystość intencji świętego. Jeśli jest choć ziarno prawdy w powodach i przebiegu konfliktu między Bolesławem a św. Stanisławem, tak jak to przedstawiały późniejsze legendy, zanotowane wreszcie w pełni przez Długosza, wtedy wydaje się, że i św. Stanisław mógł mieć temperament i cechy charakteru nieco podobne do św. Tomasza.

Lecz ten ekskursus odwiódł nas od św. Świerada, gdyż chciałem jedynie powiedzieć, że wiemy więcej o tym świętym polskim, którego blisko chyba połowa życia upłynęła w obcym kraju i który przez Polaków został zapomniany, a czczony był tylko lokalnie, mimo że od XVI wieku sporo o nim pisano: niż o głównym obok św. Wojciecha patronie Polski. Zasadniczo celem mego szkicu była próba zwrócenia uwagi na czas, w którym Świerad mógł przybyć na Słowację. Mam tu bowiem na myśli fascynującą książkę, jaką o św. Świeradzie niedawno ogłosił w Rzymie światowej sławy uczonej polski, ks. prof. Józef Tadeusz Milik, a którą należy omówić osobno. Ks. Milik przyjmuje jako datę przybycia Świerada do Nitry, rok 1022. Tymczasem wydaje mi się, że jest to twierdzenie, które kłóci się zasadniczo z okolicznościami, podanymi przez błog. Maurusa. Maur bowiem wcale dokładnie określa nie datę oczywiście, ale przybliżony czas przybycia Świerada z Polski. Píše, że przybył on na Słowację wtedy, kiedy król Stefan szerzył chrześcijaństwo na Węgrzech i kiedy to z różnych krajów synęli się na Węgry „canonici et monachi“. I zaraz potem mówi: „Inter quos quidem Saneti Spi-

ritus instinctu tactus, ex rusticitate quasi rosa ex spinis ortus, nomine Zoceradus, hanc in patriam de terra Poloniensium adventit...“ A więc w tym samym czasie, kiedy dokonywał się napływ na Węgry misjonarzy z obcych krajów.

Wiemy zaś, że działo się to właśnie około roku 1000 i w ciągu paru: nie kilku nawet, lecz paru, lat następnych, jeśli nie brać pod uwagę drugiej misji św. Brunona z Kwerfurtu, z lat pewno 1006/7, która z resztą miała zupełnie specjalny charakter. Rok 1004, data pierwszego pobytu Brunona na Węgrzech, jest właściwie krańcowym rokiem tego napływu obcych misjonarzy. Zatem jeśli słowa błog. Maura coś znaczy, musimy widzieć przybycie św. Świerada też w tych czasach. Maur zdaje się jeszcze dokładniej czas ten określa, kiedy pisze, że owi *canonici et monachi* przybywali wówczas, gdy chrystianizacja prowadzona przez św. Stefana, szerząca znajomość imienia Bożego na ziemiach węgierskich, była „rudis adhuc“. „Rudis“ znaczy: mało okrzesany, prymitywny, niewyrobinony; lecz także: jeszcze nowy, nieujęty w karby, nieorganizowany. Ma więc chyba na myśli ten okres, kiedy jeszcze nie istniał zorganizowany Kościół węgierski, z podziałem na diecezje. Czyli: sam początek XI stulecia.

Zatem Świerad przybył na Węgry zaraz po roku Tysiąc. Miał w tym czasie conajmniej 40 lat. Urodzić się więc musiał koło roku 960, to jest zanim jeszcze mamy jakąkolwiek datę zapisaną, a Polski dotyczącą; i na 6 lat przed chrztem Mieszka I. Był przytem chłopem. Wiemy zaś z dziejów chrystianizacji, od cesarstwa rzymskiego począwszy, że chłopci najdłużej opierali się chrześcijaństwu, skąd nawet pochodzi nazwa poganie, znacząca dosłownie to samo, co „chłopi“, mieszkańcy wsi, od „pagus“, „pagani“. Jego życie stanowi dowód nie tylko wielkiej dojrzałości duchowej i wyrobienia, ale znajomości form ascezy, świadczących o niemałej kulturze religijnej, poznanej może z autopsji w Palestynie, może też i z lektury, lub jedno i drugie.

Zatem ten chłop z południowych ziem polskich, wtedy jeszcze do Polski nie należących, musiał się urodzić w rodzinie już od paru pokoleń chrześcijańskiej, a więc ochrzczonej na dobre sto lat przed Mieszkiem. Już to samo świadczy, jak dawno przed oficjalną datą chrztu przenikało chrześcijaństwo na polskie ziemie. Gdyby nawet był to jedyny przykład, już zmuszałby nas do refleksji, a przecież nie brak innych wskazówek świadczących o większej starożytności chrześcijaństwa w Polsce, niż się to powszechnie zwykło przyjmować. Nie brak też wskazówek, że nie

PRZED DZIESIĘCIU

MOŻE istnieje w historii jakiś tajemniczy rytm, zagęszczenia wypadków w jakimś określonym czasie, a potem zwalniania tempa? Wymiana epok pustych z epokami pełnymi przejmujących wydarzeń. Do takiej epoki wielkiego zagęszczenia wypadków należała jesień 1956 roku. Tej bowiem jesieni wydarzyły się trzy fakty i trzy kryzysy, które jeżeli nie groziły ostatecznie pokojowi świata, to w każdym razie budziły w umysłach ludzkich niepokój, czy nie dojdzie do krótkiego spięcia i czy siły Wschodu i Zachodu nie zetną się w niespodziewanym konflikcie.

Te trzy kryzysy to Suez, Powstanie Węgierskie i wypadki październikowe w Polsce, które w pierwszej chwili nazywano o wiele szumniej, a mianowicie przewrotem czy rewolucją polską. Historia sueska nie jest jeszcze znana dokładnie we wszystkich swoich tajnikach, ale uprzystępniono już wiele dokumentów i to dyskretnej nieraz natury, tak że możemy dzisiaj traktować Suez i następstwa awantury sueskiej o wiele bezstronnie niż jeszcze kilka lat temu. Od Suezu należy zacząć tę historię jesieni 1956, albowiem Suez przesłonił zarówno Powstanie Węgierskie jak i wypadki październikowe w Polsce. Przesłonił — oczywiście dla świata zachodniego, inaczej

bowiem na te sprawy patrzyła Europa Wschodnia, dla której wypadki w Warszawie i w Budapeszcie były na pewno ważniejsze od wydarzeń w Kairze.

* * *

Na kryzys sueski zanosilo się od dawna — właściwie od chwili zakończenia wojny. Epoka, w której Anglia rządziła w Egipcie i trzymała w swoich rękach istotną władzę, skończyła się i nawet powolny Anglii Faruk zaczynał okazywać pod koniec swego panowania wolę wysamodzielnienia się spod patronatu brytyjskiego. W. Brytania uciekla się do ulubionej metody odwlekania i powolnego wycofywania się w nadziei, że wybuch nacjonalizmu egipskiego będzie krótkotrwały i że przyjdą rządy polityków lepiej ustosunkowanych do Zachodu. Te obliczenia okazały się złudne. Armia egipska zmieniła się w ośrodek politycznej dyspozycji i ona to również wywiesiła hasło rewolucji społecznej. Po generale Negibie przyszedł człowiek o wiele większym dynamizmie, a mianowicie Nasser i rozgrywka sueska odbyła się pomiędzy tym zręcznym politykiem, a Francją i Anglią, które zostały zaskoczone gwałtownością żądań Nassera.

Problem sueski był od początku bardzo skomplikowany. W. Brytania stawiała tezę, że Kanał Sueski to jedna z najbardziej żywotnych arterii, od których zależy istnienie Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i bezpieczeństwo samej W. Brytanii. Kiedy wyproszono Anglików z samej strefy kanałowej, próbowali oni uczepić się drugiej niejako linii obrony i dopiero w momencie gdy nacjonalisci egipscy zaczęli coraz bardziej nalegać na kompletną ewakuację strefy kanałowej, Anglia doszła do wniosku, że trzeba będzie opuścić ziemię egipską i przenieść się już to na Cypr, już to dalej w głąb Afryki. Jednakże nacjonalizm egipski nie zadowolili się ewakuacją strefy kanałowej. Mierzył on dalej i wyżej i zakwestionował prawa Kompanii Sueskiej, która przez długie dziesiątki

lat porosła w dostatek i majątek i gwarantowała swobodny przejazd statkom i okrętom przez kanał zbudowany z inicjatywy światłego Francuza Lessepsa. W momencie kiedy Nasser postawił problem Kanału Sueskiego na ostrzu miecza, Anglia postanowiła działać. Zwerbowała do wspólnej akcji Francję, dla której Kanał Sueski był nie tylko sprawą prestiżu, ale i kapitału, a poza tym wciągnięto drogą potajemnych porozumień Izrael, który okazał się najgroźniejszym przeciwnikiem w starciu z wojskami Nassera.

Z perspektywy czasu awantura sueska zawiera momenty zarówno tragedii jak i komedii, a nawet farsy. Tragedią było niewątpliwie złe rozeznanie sytuacji przez Londyn i Paryż, a zatem przekonanie, że Ameryka albo poprze awanturę sueską, albo zachowa co najmniej przyjazną neutralność. Tak się nie stało albowiem Ameryka ma od dawna zakorzenione uprzedzenia w stosunku do Anglii jeżeli chodzi o jej tak zwane ambicje kolonialne — a jest to prostym wynikiem faktu, że sama Ameryka powstała z tych kolonialnych ambicji brytyjskich. Polityka amerykańska nie potrafiłaby prze-forsować we własnym społeczeństwie kampanii, która załatwiała dawną epoką imperializmu brytyjskiego. Rozeznanie zatem psychologiczne sytuacji przez Londyn było nietrafne i to pociągnęło za sobą cały szereg pomyłek i błędów.

Drugą tragedią było to, że przygotowania do akcji przeciwko Nassero-wi trwały tak długo. Transporty wojsk na Cypr i ruchy floty wojennej były ogłaszane i nie stanowiły żadnej tajemnicy. Innymi słowy, całej akcji brakowało momentu zaskoczenia. Brakowało także i Francji i Anglii zapалу do tej wojenki i przekonania o słuszności swojej sprawy. Propaganda zachodnia była nieudolna i karmiła własną publiczność opowiastkami, które potem okazały się całkowitą nieprawdą. I tak na przykład głoszono, że Egipcjanie nigdy nie potrafią obsłużyć Kanału Sueskiego, że nie potrafią zwerbo-

SPRAWA Św. ŚWIERADA

tylko w krakowskim, lecz także na ziemiach ściśle polańskich chrześcijaństwo musiało być wcale obficie reprezentowane już na długo przed Mieszkiem: o tym między innymi świadczą wielkopolscy eremici z Międzyrzecza, z roku 1002—1003.

Dlatego — żeby tak to nazwać — „kwestia św. Świerada“ jest sprawą wielkiej wagi z punktu widzenia historii chrześcijaństwa w Polsce. Gdyż prowadzi nas pod same fundamenty Tyśiąclecia.

Jan Tokarski

* * *

1) „Vrai luxe dans un pays où le nombre des chrétiens devait être encore minime! L'on espérait bien, d'ailleurs, et l'on ne se trompa pas entièrement, que cette hiérarchie aurait à coeur d'accroître le plus vite possible le troupeau de ses fidèles“; por. E. Amann, L'expansion chrétienne en Occident, w: Histoire de l'Eglise, t. 7, s. 379. Paryż (Bloud & Gay), 1948.

L A T Y :

wać odpowiednich pilotów, że ruch na Kanale ustanie za parę dni. Okazało się z czasem, że ruch ten nie ustał, że piloci zaczęli napływać z różnych krajów świata i że Kanał funkcjonuje w sposób zupełnie zadawalający...

Ta ostatnia imperialna wyprawa Francji i Anglii rozpoczęła się pod fatalną gwiazdą, a przewodził jej polityk, który nie miał szczęścia w późniejszej fazie swojej tak obiecująco zaczętej kariery. Mowa oczywiście o Anthony Edenie, ongiś najmłodszym ministrze spraw zagranicznych jakiego miała Anglia, człowieku, który cieszył się opinią znakomitego negocjatora i finezyjnego gracza. Przypuszczalnie choroba, od dawna zaczajona w organizmie Edena, podkopała jego zdolność jasnego widzenia sytuacji i wywołała stan nadmiernego zdenerwowania i podniecenia, w którym głosił, że Nasser to „drugi Hitler“ niemal równie niebezpieczny dla pokoju świata jak jego pierwowzór. Eden starał się stworzyć w Anglii nastrój nerwowości i niepokoju, a jednocześnie jakiejś świętej krucjaty przeciwko nowemu tyranowi. Ta próba nie powiodła się, gdyż kraj lękał się wszelkiej awantury, która mogłaby wywołać starcie z Rosją. Rosja wiedząc o tym szantażowała Zachód grożąc interwencją w późniejszych fazach konfliktu — był to typowy bluff, na który Rosji brakowało pokrycia, gdyż nie mogłaby ona skutecznie przyjść z pomocą Egipcjowi.

Dlaczego Eden porwał się na awanturę, która była całkowicie niepotrzebna — bo skoro chciano zniszczyć Nassera, należało wesprzeć wydatnie bronią Izrael, któryby wykończył Nassera szybciej niż połączona ekspedycja francusko-angielska? Francuzi mieli pod tym względem lepsze wyczucie sytuacji niż Anglia, dostarczając samolotów Mystère Izraelowi. Gdyby Izrael otrzymał na czas poważną pomoc w sprzeczcie, wojska izraelskie wkroczyłyby do Kairu, bowiem armia Nassera okazała się niezdolną właściwie do nowoczesnej wojny.

SUEZ

PAŹDZIERNIK

BUDAPESZT

Psychologiczne poczynanie Edena jest wytłumaczalne: był to polityk, któremu nie udało się przeciwstawić się Hitlerowi, ani Stalinowi. Skoro ta sztuka się nie powiodła, trzeba się było niejako „odkuć“ na jakimś pośledniejszym tyranie i zgębnić kraj, który jako potęga na pewno nie istnieje. Tym psychologicznym przesunięciem akcentu i szukaniem *vendetty* na słabym, skoro zostało się sponiewieranym przez silnych, tłumaczyć należy katastrofalną politykę Edena.

Była ona katastrofalna nie tylko dla Anglii, albowiem sprowadziła depresję i kociokwik na niebywałą skalę i wykazała niezdolność do prostej stosunkowo akcji przeciwko słabemu i wydętemu w swej wielkości narodowi. Pojedynek z Nasserem został przegrany, Rosja zaczęła finansować budowę tamy w Assuanie, a Nasser siedząc na dwóch stołkach ciągnął korzyści i z Moskwy i z Waszyngtonu. Awantura sueska podbudowała tylko prestiż Nassera i umocniła jego pozycję w świecie arabskim. Jedyny Izrael stał blisko sukcesu i gdyby nie czekał na spadochroniarzy francuskich i angielskich, ale parł naprzód, wyrugowałby Nassera i zmienił na pewno układ sił na Środkowym Wschodzie.

Awantura sueska była katastrofą także i dlatego, że Zachód miał związane ręce nieproduktywną i jałową wyprawą w chwili, kiedy Rosja zagrożona została na dwóch frontach w Polsce i na Węgrzech. Dzięki Suezowi nie można było mówić o jakiejś zespolonej akcji Zachodu, a największym winowajcą była tutaj Ameryka, która rozkołysawszy nadzieje na tak zwaną „liberation“ zachowała karygodną bierność w

momencie wybuchu Powstania Węgierskiego. Jeżeli polityka amerykańska mogła się bronić pewnymi argumentami w wypadku Polski — gdyż nie doszło tam do zbrojnej rewolucji to bierność Ameryki wobec faktu powstania na Węgrzech nie da się niczym wytłumaczyć.

Wypadki październikowe w Polsce nie spadły oczywiście z nieba, ale były logiczną pochodną stanu rzeczy istniejącego od jakiegoś roku 1948, czyli początku tak zwanej „nocy stalinowskiej“. Przeciwno okropnościom tej ery zbuntowali się robotnicy poznańscy w czerwcu 1956 roku, a przed tym robotnicy Wschodniego Berlina. Jest rzeczą znamieną, że w obu wypadkach bunt wyszedł właśnie ze sfer robotniczych, które stanowią rękoma podporę i opokę, na której buduje komunizm. Bunt poznański stanowił wstęp do wypadków październikowych w Warszawie. Bez tego pierwszego aktu wyzwania rzuconego władzy komunistycznej, a zatem rozruchów poznańskich nie byłoby akcji w Warszawie, która pomyślana była już szerzej gdyż objęła wszystkie warstwy społeczne, a przygotowana była intelektualnie przez odważne pióra literatury polskiej.

Znane są dobrze koleje tych wypadków, ale dalej trwa dyskusja nad pytaniem, czy październik stanowił istotnie przewrót w sensie zmiany na lepsze na całym froncie, czy też rodzaj mistrzowskiego wybiegu, przy pomocy którego partia rządząca chciała niejako zamydląć oczy społeczeństwu... Odpowiedź pełną na to pytanie dać będzie można dopiero z czasem, ale wiele przemawia za tym, że jednak październik 1956 roku wprowadził nie tylko erę nadziei, ale pewnych realnych dokonań. Do nich należy zaliczyć przede wszystkim usunięcie widma kołchozów w Polsce, oraz usunięcie z pola widzenia tajnej policji czyli Bezpieki. Era strachu minęła i jak słusznie powiedziano „w roku 1956 Polska przestała się bać“.

Te dwa dokonania były oczywiście wymuszone na partii rządzącej naciskiem wypadków i presją społeczeństwa, które po latach tortury hitlerowskiej poddane zostało nowej torturze — stalinowskiej. Góra rzą-

dzająca zrozumiała, że musi poczynić ustępstwa, w przeciwnym bowiem razie dojdzie do wybuchu. Bez względu na to jakie motywy kierowały partią — a na pewno były to motywy strachu — faktem pozostaje, że dola chłopu polskiego zmieniła się radykalnie i że osobiste bezpieczeństwo obywateli zyskało nieporównanie. Wszechmoc tajnej policji została złamana i chociaż wiadomo jest, że UB nie znikło z dnia na dzień to jednak po dziś dzień organizacja ta nie wróciła do swej dawnej wszechwładzy.

Wypadki październikowe zostały z czasem odheroizowane czy też straciły sporo ze swych kolorów i mitologii. Stało się to dlatego, że nadzieje wzbudzone październikiem 1956 nie zostały zrealizowane w latach późniejszych i że bodaj od roku 1960 rozpoczyna się proces stałego kurczenia się swobód, które październik obiecywał. Chodzi tu o problem przede wszystkim cenzury i to zarówno gazet jak książek, swobody wypowiedzi i krytyki, a także — może w jeszcze większym stopniu o całość tak zwanego modelu gospodarczego, który nie zdał egzaminu i który dalej prowadzi do fantastycznego marnotrawstwa pieniędzy państwowych i najlepszych uzdolnień i mózgów. Gospodarczo Polska pozostaje dzisiaj w tyle po za Węgrami i Czechami i ta świadomość zapóźnienia stanowi jeden z momentów gnębiących społeczeństwo niezmiernie ambitne i zdające sobie sprawę z tego, czego można dokonać w dzisiejszych warunkach, jeżeli tylko teorie gospodarcze nie są bezsensowną doktryną, nie liczącą się z rzeczywistością.

Październik 1956 był wybuchem, który w dużej mierze spalił na panewce, a to z dwóch głównie powodów: góra rządząca doszła do wniosku, że dalsza liberalizacja stosunków może doprowadzić do usunięcia partii od steru władzy — a Rosja nakazała nałożyć tłumik na ewolucję wypadków w Polsce. Polska zrozumiała, że nie może się zbyt wyśunąć przed inne kraje „socialistyczne“ a przede wszystkim nie może wyprzedzać nadmiernie Rosji. Jest to niejako prawo statków płynących w konwoju: muszą się one dostosować do najpowolniej płynącego statku. Rosja poszła nieco na

drodze ewolucji i zmian — ale dalej nie są to zmiany przełomowe, któreby pozwoliły Polsce na bardziej liberalny kurs. Zresztą, przywódcy partyjni w Polsce lękają się dalszej szerzej liberalizacji, gdyż boją się o swoje posady i władzę i zdają sobie sprawę jak cienki jest lód, na którym wykonują swoje zawile piruety polityczne i gospodarcze.

Polska jesieni roku 1956 była krajem nadziei i starała się nawiązać impulsywne i spontaniczne związki z Zachodem. Upadek tych nadziei sprawił, że w 10 lat po wypadkach październikowych przeważającym nastrojem w Polsce jest stan apatii, wynik upadku z wyżyn roku 1956. W tym względzie jesteśmy dalej świadkami bolesnych następstw rewolucji, która nie była rewolucją i pozostała niedokończonym przewrotem.

Przypuszczalnie idea, która przywiecała społeczeństwu polskiemu w roku 1956 polegała na stworzeniu państwa w stylu Finlandii, a zatem zależnego w pewnym sensie do Rosji, ale w gruncie rzeczy niepodległego a zatem gospodarującego we własnym domu według własnego rozeznania. Finlandia, która uskokczyła od katastrofy okupacji sowieckiej zachowuje swoją neutralność i przypuszczalnie Polska w jesieni 1956 marzyła o podobnym statusie dla siebie. Wiemy na pewno, że Węgry dążyły do takiego rozwiązania w czasie swego powstania i takie hasło neutralnych Węgier wywiesił rząd rewolucyjny, zdławiony przez wojska sowieckie.

Próba węgierska była ambitniejsza od próby polskiej, chociaż przypuszczalnie miała węższą podstawę społeczną aniżeli akcja warszawska. Element młodej inteligencji górował w akcji budapesztańskiej. Komuniści węgierscy poszli dalej niż komuniści polscy jeżeli chodzi o rząd rewolucyjny, który został zastąpiony rządami Kádara — a nie zapominajmy, że Kádara należał do pierwszego zestawu rewolucyjnego rządu Nagy'ego.

Tragedia węgierska była głębsza od tragedii października 1956 w Polsce; porównać ją można z dramatem Powstania Warszawskiego roku 1944. Budapeszt przeżył swoje

powstanie i doznał losu Warszawy — w łagodniejszej o wiele formie, albowiem straty Budapesztu nie mogą być porównane z ofiarami Warszawy z roku 1944.

Kłeska Powstania Węgierskiego sprawiła, że społeczeństwo węgierskie zabrało się ostro do pracy, którą dawniej nazywało się w Polsce mianem „pracy organicznej“. Węgry zacisnęły zęby i dzisiaj są one gospodarczo na lepszym torze niż Polska, a jeżeli chodzi o swobody kulturalne to przypuszczalnie nie przedstawiają się one tam gorzej niż w Polsce. Natomiast jeżeli chodzi o kontakty obywateli węgierskich z zagranicą, to pozostają one bardzo skromne i w porównaniu z Polską niewielu turystów z Węgier odwiedza zagranicę.

Tragedia węgierska polega jeszcze i na tym, że dzisiaj orientujemy się lepiej niż 10 lat temu w sytuacji w jakiej znalazła się Rosja. Wiemy dzisiaj, że Chruszczow wahał się z podjęciem akcji przeciw Budapesztowi i że wojska radzieckie z dużym opóźnieniem ściągane były na teren Węgier. Wiemy także, że w samej Rosji patrzano na akcję tłumienia powstania z dużą niechęcią. To wszystko pozwala na wyciągnięcie wniosku, że gdyby Ameryka zdobyła się na akt stanowczości wobec Moskwy, Powstanie Węgierskie mogłoby pójść po innych torach i kto wie, czy nie można było wytargować statusu neutralnego dla Węgier. Rosja nie była w dobrej formie w okresie 1956, jej poczynania wobec Suez były nacechowane wahaniem, jej pozycja militarna i polityczna w trzy lata po zgonie Stalina daleka była od pozycji siły. Zresztą, w pojedynku Kennedy — Chruszczow na temat Kuby ta słabość Rosji wyszła w pełni na jaw i okazało się raz jeszcze, że Moskwa postawiona wobec stanowczości determinacji — woli się cofnąć niż ryzykować wojnę: jak to zrobiła w roku 1948 w czasie blokady Berlina. Ameryka zapomniała niestety o lekcji Berlina i straciła historyczną okazję poprawy stosunków w Europie Wschodniej.

Oczywiście, dodatkową tragedią tych ruchów z jesieni 1956 było to, że nie zostały one zsynchronizowane i że jednocześnie nie doszło do buntów i w Polsce i na Węgrzech i w

(Dokończenie na str. 41)

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

POLSKI RUCH NAUKOWY NA OBCYZNIE

Na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie odbyło się uroczyste zamknięcie roku akademickiego, połączone z zakończeniem kursu z dziejów kultury polskiej. W otoczeniu członków senatu PUNO przewodniczyła zebraniu rektor prof. dr Cezaria Baudouin de Courtenay-Jędrzejewiczowa. W swym zagajeniu powiedziała ona m. in., że pragnie „podkreślić fakt, iż mimo wielu trudności istnienia Uczelni i jej profesorów, zmuszonych do pracy zarobkowej, dalekiej od ich zainteresowań naukowych, a to samo dotyczy i wielu słuchaczy — uczelnia trwa. Stanowiąc polski ośrodek naukowy w Londynie, w stolicy emigracji polskiej, jak tego wyraziście dowiodły obchody milenijne, łączy skromna nasza uczelnia uczonych polskich rozszaniach po wolnym świecie, w krajach Europy i na innych Kontynentach. Koledzy, dawni profesorowie Uniwersytetów Niepodległej Polski, z profesorem Oskarem Haleckim, prorektorem P.U.N.O. na czele, jak i profesorowie, już również o dużych nazwiskach przedstawiciele następnego pokolenia emigrantów, niektórzy z nich absolwenci PUB'u i PUNO., przez nas habilitowani, nie zrywają więzi z Polskim Uniwersytem na Obczyźnie. Współpracujemy, zjednoczeni miłością Ojczyzny, Jej wolnej, niepodległej nauki, Jej wolnej myśli.“

Sprawozdanie z działalności PUNO złożył na zakończenie 16 roku jego istnienia sekretarz generalny prof. dr Gawenda, podkreślając m. in., że dyplomy jego znane są nie tylko w diasporze polskiej emigracji, ale również u obcych, a główne uniwersytety w Europie, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii itd. wiedzą dokładnie o osiągnięciach PUNO. Wychowankowie, czy też doktoranci PUNO zajmują odpowiedzialne stanowiska w szkolnictwie średnim i wyższym wspomnianych krajów. Poza wykładami, seminariami i ćwiczeniami na wydziale humanistycznym w zakresie

studium polonistycznego i historycznego, specjalny nacisk położony był na kurs korespondencyjny. Głównymi wykładowcami byli profesorowie: M. Kukiel, W. Wielhorski, Z. Pacewiczowa i dr Wójtowicz na sekcji historycznej, a na sekcji polonistycznej profesorowie: W. Guenther, J. Bujnowski i J. Pilatowa. Poza tym odbywały się wykłady z etnologii i etnografii prof. C. Jędrzejewiczowej i prof. Z. Turkowskiego.

Wydział humanistyczny liczy obecnie

43 studentów, w tym 13 studentów miejscowych, 15 zaocznych, 15 doktorantów i załatwiany jest jeden przewód habilitacyjny. Wydział nauk technicznych ma kilku kandydatów przygotowujących prace dla uzyskania dyplomu inżyniera. Trzech asystentów prof. Łaszewskiego z Wenezueli zamierza robić dyplomy na PUNO. Na wydziale prawa i nauk społecznych 7 kandydatów przygotowuje się do magisteriów i doktoratów. Wydział nadał jeden dyplom doktorski z prawa p. W. Raymondowi z U. S. A., a na ukończeniu są prace nad dyplomem doktorskim z prawa p. Morel-Morelowskiego i z nauk politycznych p. mgr J. Kończackiej z Kanady. Wydział przyrodniczy liczy 3 kandydatów do doktoratów i jeden doktorat jest na ukończeniu. W sumie PUNO liczy obecnie 58 studentów. Na wydziale humanistycznym powołano na profesora PUNO doc. L. Turkowskiego na katedrze etnologii i etnografii, a na wydziale nauk przyrodniczo-matematycznych prof. dr Ryszarda Syskiego z matematyki, obecnie profesora zwyczajnego na Uniwersytecie Maryland (USA). W celu objęcia profesury w jednym z college'ów amerykańskich wyjechał do Stanów Zjednoczonych prof. dr W. Strzałkowski, a prof. dr T. Terlecki objął wykłady na uniwersytecie w Chicago. Dziekan wydziału humanistycznego prof. dr T. Sulimirski przebywał przez kilka miesięcy na badaniach naukowych w Czechosłowacji i w Polsce.

Poza zwykłymi wykładami prowadzone były na PUNO wykłady z dziejów kultury polskiej pod kierownictwem prof. J. Bujnowskiego.

Skład senatu uniwersyteckiego jest następujący: rektor prof. dr C. Jędrzejewiczowa, wice-rektor prof. dr Oskar Halecki, dziekan wydz. hum. prof. dr T. Sulimirski, dziekan wydz. nauk technicznych prof. dr inż. arch. S. Polujan, dziekan wydz. prawa i nauk polit. prof. dr B. Hełczyński, dziekan wydz. nauk ekon. prof. dr Z. Stahl, dziekan

wydz. matem.-przyrodniczy prof. dr J. Rzóska, delegaci Rady wydz. hum. profesorowie: M. Kukiel i W. Guenther, delegaci wydz. nauk techn. prof. prof. R. L. Wajda i T. Tchórzewski. Komitet administracyjny stanowią rektor, prof. Jędrzejewiczowa, dziekan wydz. hum. prof. T. Sulimirski i delegat Senatu prof. inż. R. L. Wajda oraz sekretarz uniwersytetu prof. dr J. Gawenda. Istnieje jeszcze komisja kontrolno-finansowa senatu i komisja honorowa.

Skromny budżet uniwersytecki pokrywany jest przez stałą miesięczną subwencję Polish University College Association Ltd., obecnie Towarzystwo Popierania Nauki Polskiej, przez roczne subwencje Funduszu Kultury i Oświaty Polskiej Zagranicą, Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim w Londynie i przez opłaty studentów. W tym roku uniwersytet wydał drugi z kolei tom Zeszytów Naukowych PUNO. Pierwszy zeszyt znalazł duży odzew w Kraju.

Krótkie sprawozdanie z przebiegu i wyniku Kursu Dziejów Kultury Polskiej złożył prof. J. Bujnowski, stwierdzając, że 8 słuchaczy skończyło kurs dwuletni i 9 kurs roczny, razem 17 osób. Ogółem było 110 godzin wykładów. Następnie dziekan wydz. hum. prof. T. Sulimirski rozdał słuchaczom dyplomy z ukończenia kursu.

Rozdanie to poprzedziła promocja doktorska mgr. Antoniego Michalka, dokonana przez prof. gen. M. Kukiela, który wygłosił przy tej sposobności krótkie przemówienie, nawiązujące do działalności śp. prof. W. Konopczyńskiego, którego p. A. Michalek był uczniem. Prof. J. Gawenda odczytał dyplom nieobecnego dr W. Raymonda.

Uroczystość zakończyła się zebraniem towarzyskim, na którym Rektor i członkowie Senatu podejmowali obecnych słuchaczy i gości lampką wina.

TOWARZYSTWO NAUKOWE:

Pod przewodnictwem prezesa prof. dr Jakuba Rostowskiego odbyło się Walne Zebranie Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, na którym po załatwieniu wstępnych spraw formalnych prof. B. Hełczyński, jako dotychczasowy sekretarz generalny Towarzystwa złożył sprawozdanie za miniony okres działalności. Charakteryzując sytuację nauki polskiej w kraju zaznaczył, że zapanowała pewnego rodzaju cisza na temat podjętej w r. 1960 akcji planowania nauki. W prasie fachowej brak informacji na temat planu i postępów jego realizacji. Obawą nato-

miast napawają wiadomości o wzrastającym nacisku na uczonych, zwłaszcza młodych, by wstępować do partii. Zarysowuje się tendencja do uniemożliwienia uczonym bezpartyjnym obejmowania katedr. Stąd na uczonych polskich w wolnym świecie ciąży nadal zadanie rozwijania myśli naukowej w atmosferze swobody badań i prostowania jednostronnych oświeleń w krajowych publikacjach naukowych. Po oddaniu czci pamięci dwóch zmarłych współpracowników, mgr. J. Bielatowicza z komisji historyczno-filologicznej oraz dr J. Paszkowskiego z komisji lekarskiej, sprawozdawca stwierdził, że Towarzystwo liczy obecnie 27 członków honorowych, 149 członków czynnych, 37 korespondentów i 63 współpracowników w 6 komisjach naukowych. Na 3 międzywydziałowych posiedzeniach zorganizowanych pod kierownictwem prof. J. Rzóska, wygłoszono 3 referaty, które będą zamieszczone w XVI Roczniku Towarzystwa. Z powodu trudności redakcyjnych i finansowych XV Rocznik za r. 1964-1965 ukazał się dopiero w r. 1966. W ciągu br. spodziewane jest również ukazanie się X tomu „Antemurale“, jako wspólnego organu Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie i P. T. N. na Obczyźnie.

Z przedstawionego sprawozdania finansowego za r. 1965 wynika, że Towarzystwo znajduje się ciągle w trudnej sytuacji. Subwencje otrzymane z Funduszu Oświaty Zagranicą, P.U.C.A Ltd., Komitetu Obywatelskiego i Ogniska Polskiego wyniosły zaledwie £220.—, a od członków wpłynęło wraz z opłatami za Rocznik £69.12.2.. Zwiększyły się tylko wpływy za „Bibliografię“ w sumie £189.0.7.—. Sprawozdanie zakończone zostało podziękowaniem dla wszystkich ofiarodawców. Po udzieleniu absolutorium ustępującemu zarządowi przystąpiono do wyboru nowych władz, przy czym prezesem został prof. B. Hełczyński, a sekretarzem generalnym dr J. Załęski. Wiceprezesami — gen. M. Kukiel i prof. J. Rzóska. Dalszymi członkami zarządu są prof. A. Łaskiewicz, prof. T. Tchórzewski, kmdr. Wroński i prof. A. Folkierski. Administratorem wydawnictw jest dr M. Danilewiczowa. Do Komisji rewizyjnej weszli pp. prof. prof. J. Rotblat, Wila Stec-Roupertowa i Jerzy Żarnecki. Poza tym do Zarządu wejdą przewodniczący obu wydziałów Towarzystwa. Na zakończenie

zebrania prof. dr J. Rostowski przedstawił zebranym przebieg obchodu związanego z 25 rocznicą powstania polskiego wydziału lekarskiego na Uniwersytecie w Edynburgu.

XV ROCZNIK POLSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO

Na krótko przed tym zebraniem ukazał się w druku XV Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie za rok 1964-65. Oprócz informacji organizacyjno-personalnych, obejmujących wyjątkowo długi dział nekrologów z powodu zgonów: A. Bronarskiego (1891-1965), M. Heitzmana (1899-1964), D. Kł Hendersona (1884-1965), J. Hoffmana (1896-1964) i T. Jankowskiego (1892-1964), zeszyt zawiera przemówienie prezesa B. Hełczyńskiego wygłoszone na zebraniu publicznym z 12 grudnia 1964 r. o uroczystościach 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego, odczyt prof. L. Koczego pt. „Kryzys Uniwersytetu“ oraz teksty lub obszernie streszczenia referatów wygłoszonych na zebraniach naukowych wydziału humanistycznego i przyrodniczego: p. M. Pawlikowskiego o „Rafaelowskim portrecie Joanny Aragońskiej“ z reprodukcją dwóch obrazów: jednego z Luwru i drugiego odnalezionego w r. 1960 u ramiarza londyńskiego; dra W. Rybotyckiego o „Rozmieszczeniu geograficznym muzeów religijnych w świecie“, oparty o jego prace doktorską; prof. J. K. Zawodnego o

„Naukach politycznych w Stanach Zjednoczonych“ wygłoszony na zebraniu wspólnym z Polskim Towarzystwem Historycznym; prof. A. Łaskiewicz o chorobie Meniera i o działalności L. K. Teichmana i H. Kadyja, jako pionierów anatomii opisowej i porównawczej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, i Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

Całość zeszytu uzupełniają sprawozdania z działalności naukowej polskich towarzystw literacko-naukowych, instytutów oraz bibliotek i wyższych uczelni. Obejmują one oprócz ośrodka łódzkiego również teren Paryża, Rzymu, i Edynburga. To pożyteczne wydawnictwo zasługiwałoby na wydatniejszą pomoc ze strony społeczeństwa.

PROFESOR R. SYSKI

Nowomianowany na P.U.N.O. profesor matematyki dr Ryszard Syski jest dawnym członkiem zamiejscowym P.T.N.n.O. i profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Maryland pod Waszyngtonem, gdzie jest też ostatnio kierownikiem podwydziału statystyki i prawdopodobieństwa na wydziale matematycznym. Po kilkuletniej współpracy z amerykańskim Naval Office prof. Syski uzyskał obecnie 2-letni kontrakt na badania naukowe dla National Science Foundation. W przygotowaniu do druku znajduje się jego druga z kolei książka, którą będzie podręcznik teorii prawdopodobieństwa, oparty na zbiorze jego wykładów uniwersyteckich. W okresie wakacji letnich, gdy jego macierzysty uniwersytet jest nieczynny, prof. Syski wraz z wybitnym matematykiem amerykańskim dr Thomasem L. Saaty, prowadzi krótkie kursy wakacyjne dla słuchaczy dyplomowanych na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Kursy te cieszą się z roku na rok coraz większym powodzeniem. Nadto powołany on został do Komitetu organizacyjnego V Międzynarodowego Kongresu Telegrafiki, który odbędzie się w czerwcu 1967 r. w Nowym Jorku. Jego prace naukowe ogłaszane są w czasopiśmie fachowych i specjalnych wydawnictwach zbiorowych.

„BIBLIOGRAFIA ZABIELSKIEJ“

Z ożywionym okresem wydarzeń związanych z nauką polską zbiegło się ukazanie III tomu tzw. Bibliografii Zabielskiej, lub Emigracyjnego Estreicher. Jest to po angielsku opracowana bibliografia książek polskich i dotyczących Polski, pojawiających się poza Krajem. Dwa poprzednie przygotowała zmarła w r. 1962 Janina Zabielska i złożyły się na nie, lata od 1937 do 1957 oraz uzupełnienia od lat 1939 do 1951, razem 9.800 pozycji. Na tom III, za lata 1957-1963 wraz z uzupełnieniami do lat 1939-

MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym
fragmentom działalności Armii
Krajowej.

*Książka, uzupełniona fotografiami
i szkicami jest do nabycia we
wszystkich księgarniach polskich
w cenie 18/6*

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW WE WŁOSZECH

pokoje gościnne dla przyjezdnych w lokalu własnym

R o m a , via Licia 19, int. 9.

1957 składa się ogółem dalszych 4.120 pozycji. Choć zmarła pozostawiła do niej tylko ok. 1.000 pozycji, niemniej w hołdzie dla jej pamięci i uznaniu dla zapoczątkowanej przez nią pracy o tak wielkich rozmiarach i ten tom III został jej przypisany, bez względu na to, że większa jego część jest dziełem trzech osób: dr Marii Danilewiczowej, kierowniczką Biblioteki Polskiej w Londynie, a nadto bibliotekarki p. Haliny Hoynackiej i sekretarki biblioteki p. Genowefy Sadowskiej, którym przypadło wykonanie strony typograficznej z wzorowym stopniem dokładności.

Razem wydawnictwo to o imponujących rozmiarach skupiło w sobie prawie 15.000 pozycji bibliograficznych z 24 lat. Przez swą nieodzowną użyteczność i wagę dla każdego pracownika naukowego zajmującego się polskim dorobkiem piśmienniczym, zasługuje ono w pełni nie na tymczasową szatę druku

HISTORIA I RELIGIA

Wiadomo dobrze, jak silnym uczuciem jest religijność Polaków, ale stosunkowo niedawno dopiero ożywiło się życie intelektualne w tym zakresie. Ostatnio raz po raz wychodzą z polskich ośrodków religijnych nowe inicjatywy twórcze o zasięgu nie tylko narodowym, ale i międzynarodowym. Wielokrotnie na tych łamach wspominałoby się wielkie przedsięwzięcie przekładu na emigracji „Sumy Teologicznej“ św. Tomasza z Akwinu na język polski. Kilkakrotnie była też sposobność omawiania prac organizatora z racji innej inicjatywy ks. dr S. Bełcha, w zakresie wskrzeszenia z niepamięci i przywrócenia światu dorobku wielkiego humanisty polskiego, jakim był Paweł z Włodkowic. Podobnie nie tak dawno sygnalizowano ukazanie się w 1964 r. wielkiej rozprawy pt.: „Mickiewicz uczniem Sarbiewskiego“, pióra ks. Józefa Warszawskiego, T.J.. Otóż każda z tych prac miała i ma swój dalszy ciąg.

Zacznijmy od ostatniego. Ks. Warszawski, znany dobrze AK-owcom, jako o. Paweł wydał nową księgę pt. „Universae Societatis Jesu Vocationum Liber Autobiographicus Poloniae provinciae propius (157480)“ Romae 1966, pp. 113 x+417). Jest to zbiór autobiografii 92 pierwszych członków polskiej prowincji zakonu jezuitów, poprzedzony obszernym wstępem historycznym i zaopatrzonej w niezliczone przypisy i bibliografię. Rękopisy do tej księgi znajdowały się dotychczas w archiwach rzymskich zakonu i obecne ich udostępnienie w druku tworzy nieocenione źródło nie tylko do dziejów polskiego Kościoła i polskiej państwowości, ale również cenny dokument do bliższego poznania ówczesnej Polski, z jej krajoznawstwem, warunkami komunikacyjnymi, zwy-

powielanego, ale prawdziwego pomnikowego wydawnictwa drukowanego, z odpowiednim pogrupowaniem na działy, ale przede wszystkim ze skorowidzem, pozwalającym na sprawniejsze wykorzystanie zebranych w nim informacji bibliograficznych.

Trzeci tom pełni jeszcze funkcję dodatkową, jako uzupełnienie do I części bibliografii prac uczonych polskich poza krajem, wydanych w językach obcych. Zawiera on wiele dalszych pozycji, które odpowiednio uzupełnione, stanowią będą atrakcyjne dla obcych, źródło o najnowszych zdobyczach naukowych Polaków. O jego potrzebie świadczy szybkie rozejście się nakładu I Części. Obecnie zespół opracowujący „Bibliografię Zabielskiej“ przystąpił do przygotowywania skorowidza, a poza tym, dziś ma już dalszych 1.200 pozycji, za lata 1964-1966, jako zadatek na tom IV „Emigracyjnego Estreichera“.

czajami i obyczajami. Zarazem te biografie, napisane pośpiesznie, na polecenie generała zakonu, mają też wszelkie cechy cennego przyczynku do polskiej heraldyki, czy genealogii. Wśród prawie setki nazwisk, nie brak także wielce zasłużonych, jak Jakuba Wujka (Vangroviciusa), ur. w 1541 r., jak własną ręką napisał, a nie w 1540, jak podają niektóre encyklopedie. Są też liczne nazwiska wciąż spotykane wśród Polaków, jak: Potrzeba, Borowski, Jankowski, Struś, Bildziuk, Krajewski, Pawłowski, Wolf, Kosarski, Psarski, Szydłowski, Warszawski i Ostrowski.

Pro domo sua niech wolno będzie piszącemu tę kronikę wskazać — oczywiście niezależnie od sprawy jakichkolwiek, trudnych do ustalenia, odległych powinowactw rodzinnych — jak z pewnymi nazwiskami wiąże się poprzez wieki nieodmienny los, Jezuita o. Krzysztof P. Ostrowski napisał swoją autobiografię gotycko ostrym piórem kaligraficznym, który uznać wolno za ówczesny odpowiednik dzisiejszego pisma maszynowego. Stosował przy tym skróty, jakby stenograficzne, tak że Prowincjał zrobił uwagę, że dobrzeby było tekst na czysto przepisać, bez skrótów dla większej jasności. Niestety przyszło przynaglenie z Rzymu i trzeba było wysłać cały materiał bez zmian, aż dopiero po 400 latach ks. Warszawski tekst doprowadził do porządku.

Pięknie wydrukowany, z ilustracjami tom ten zadedykowany papieżowi Pawłowi VI na Millennium Polski Chrześcijańskiej budzi nadzieję, że choć pisany cały po łacinie i do tego nie zawsze łatwo zrozumiałej dla przeciętnie wykształconego humanisty, — wzbudzi on zaciekawienie nie tylko zawodowych historyków, ale wszystkich pielęgnujących

tradycje rodzinne i kulturalne Polaków, bez względu na ich zawód, pochodzenie, religię czy przekonania polityczne.

CZASZKA ŚW. STANISŁAWA

Poza sprawą pism Pawła Włodkowica ks. dr S. Bełch zajął się szczegółowiej zagadnieniem zabójstwa św. Stanisława ze Szczepanowa, przez króla Bolesława Śmiałego i do wywodów i argumentów przytoczonych w I tomie swych „Prac Historycznych“ wprowadził dowody oparte o badania czaszki św. Stanisława, przeprowadzone ostatnio w Polsce przez rzeczoznawców sądowych (patologów). W swym referacie przedstawionym na zebraniu naukowym Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii, któremu przewodniczył płk. A. Sawczyński, ks. dr Bełch podał treść raportu rzeczoznawców, zilustrował ich wywody wyświetlaniem zdjęć dokonanych przy tej autopsji, i z widocznych z uszkodzeń czaszki wysnuł ostateczne swe wnioski w sprawie tezy, iż morderstwa tego dokonał król, a nie kto inny, zgodnie z zapisami wielu źródeł średniowiecznych. Rozbieżności z wersją podaną przez tzw. „Kronikę Galla“ zinterpretował w ten sposób, iż nie powinna dawać wystarczającej podstawy do drugiej wersji, według której zabójstwo św. Stanisława było tylko wykonaniem wyroku sądu biskupiego. W toku argumentacji na rzecz morderstwa prelegent omówił wersję zarzucającą królówi grzech bestialstwa, polegający na zwyrodniałej miłości do swej klaczy. W ożywionej dyskusji, z udziałem m. in. pp.: prof. I. Wieniewskiego, Michalka, Renkawicza, Sopickiego i gen. prof. Kukiela, ważne były ponownie argumenty za i przeciw tezie prelegenta, który w swym głosie końcowym stanął na stanowisku, iż badania czaszki dają odpowiedź wyraźną, decydującą i ostateczną na rzecz zbrodni morderstwa popełnionej przez Króla, ale potem odkupionej pokutą, tak iż prelegent nie widziałby przeszkód nawet dla jego beatyfikacji...

Zapoczątkowane przez ks. dr S. Bełcha inne dzieło, o którym była już wzmianka, a mianowicie przekład „Sumy Teologicznej“ św. Tomasza z Akwinu, posuwa się szybko naprzód i ostatnio ukazał się 8-y tom z rzędu, a 12-y w ogólnym planie dotyczącym kwestii tzw. Prima Secundae 71-89 pt. „O wadach i grzechach“ w opracowaniu o. Feliksa Wojciecha Bednarskiego, O.P., (Dominikanina). Żyjemy w wieku, który daje dużo więcej ilustracji ujemnych do tego, czym powinno być życie ludzkie. To też tom ten można uznać za szczególnie aktualny. Zwłaszcza sztuka współczesna (literatura i film) jest szczególnie przepojona pierwiastkiem zła, toteż wszelkie rozważanie jego istoty może budzić żywe zaciekawienie

i znajdować żywszy oddźwięk w społeczeństwie. Niezależnie od tego, ten bardzo jasno i ściśle spolszczony tekst nie powinien sprawiać szczególnych trudności w czytaniu i drogą pośrednią mieć dobre, pozytywne wyniki.

Dzięki temu przedsięwzięciu Polacy znajdują się w tej szczęśliwej sytuacji, że mogą do pewnego stopnia rywalizować z innymi wielkimi narodami, które parają się z tym samym kapitalnym zagadnieniem, przyswojenia w swej mowie i z nowoczesnymi komentarzami tekstu „Sumy“. Niemal, bowiem, równoległe do polskiego przekładu ukazują się nowoczesne wydania angielskie i niemieckie. Wyprzedzili wszystkich w tym względzie Francuzi, którzy zadanie to podjęli przed ok. 40 laty i dopiero teraz dobiegają końca, natrafiając sami na duże trudności, ale jednocześnie służąc przykładem i torując drogę innym przedsięwzięciom tego samego rodzaju. Dzięki unowocześnionym warunkom wydawniczym K.O.W. „Veritas“ i przy utrzymaniu dotychczasowego tempa, polski przekład może nie tylko nadrobić stracony czas, nie tylko dorównać swym współzawodnikom w tym zakresie, ale może nawet niektórych z nich wyprzedzić.

KATOLICKA Y. M. C. A.

Z zążeń między życiem religijnym i ściśle kulturalnym wspomnieć należy w pierwszym rzędzie, o wizycie bpa. Wł. Rubiną w siedzibie „Londyńskiego Ogniska“ Polskiej YMCA. Dała ona sposobność do bardzo serdecznego wzajemnego spotkania kierowników i opiekunów Polskiej YMCA z przedstawicielami hierarchii kościelnej, zamykający trudny do zrozumienia okres braku kontaktów. Dopiero w atmosferze stworzonej przez Drugi Sobór Watykański praca wiernej zawsze wierze ojców Polskiej YMCA znalazła należne uznanie.

Obecny dyrektor Ośrodka Londyńskiego Polskiej YMCA p. B. Lesiecki wobec przeszło stu zebranych członków organizacji z gen. Kukielem na czele, oraz zaproszonych przedstawicieli prasy i przyjaciół angielskich, przedstawił biskupowi Rubinowi, któremu towarzyszyli księża: infułat W. Staniszewski i prałat K. Sołowiej, licznie przybyłą młodzież z zespołu „Mazury“, kierowników różnych działów pracy, członków rady głównej, rady sekcji i londyńskiego zarządu z inż. arch. W. Rago na czele.

Prof. B. Helczyński, jako prezes Rady Głównej Polskiej YMCA, powitał dostojnych gości i podniósł rolę Polskiej YMCA we wprowadzaniu zagadnień katolickich do światowej organizacji liczącej 4 miliony członków. Serdeczny kontakt między YMCA brytyjską i polską podkreślił p. D. M. Robinson, prezes Komitetu genewskiego dla uchodźców i emigrantów, wskazując na zu-

pełną samodzielność Polskiej YMCA. Towarzyszył mu Sir Frank Willis, wiceprezes Rady Polskiej YMCA.

W odpowiedzi swej bp. Rubin wyraził radość z zapoznania się z działalnością Polskiej YMCA, stwierdzając, że choć wyrosła ona z innej wspólnoty religijnej, to jednak wspólnota katolicka wchodzi w ramy życia organizacyjnego Polskiej YMCA i dlatego czuje się tutaj, jak u siebie. To bezpośrednie zjednoczenie się wszystkich pozwala przekroczyć dotychczasowe ograniczenia i przystąpić wspólnie do pracy. Na zakończenie ks. bp. Wł. Rubin udzielił błogosławieństwa zebrany i pracy Polskiej YMCA. Młodzież wręczyła Ks. Biskupowi własnoręcznie utkaną ludową makatkę.

W sali przystrojonej eksponatami światowego konkursu malarskiego dzieci, gospodarze podejmowali zebranych skromnym poczęstunkiem.

ZEBRANIE POSOBOROWE

Jako ostatnie przed wakacjami odbyło się „Zebranie Posoborowe“ w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Zagaił je p. M. Krzeczowski, który przedstawił zespół w składzie pp.: Z. Pospieszalskiego, Z. Grabowskiego i P. Zaremby, który miał przedyskutować poruszony już poprzednio temat tzw. Schematu 13, „O kościele w świecie współczesnym“. Treść schematu przedstawił p. Pośpieszalski, który jednocześnie przewodniczył zebraniu, po czym p. Grabowski mówił m.in. o uwarunkowaniu kościoła, jako tworu politycznego, a p. Zaremba o problemach związanych z zaangażowaniem się katolików w życie polityczne. Nad ich wywodami rozwinęła się ożywiona dyskusja z udziałem m.in. pp. Renkawicza, Tokarskiego, Jeleńskiego, pp. Szymańskiej, Żeleńskiej i inn.

J. Ostrowski

Doskonała książka na nagrody dla
dzieci w szkołach przedmiotów
ojczystych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.

London, S.W. 11.

Czytaj książkę polską

WŚRÓD form humoru jakie przyniósł z sobą wiek XVII, czas baryoku, czas pełnego tryumfu ideologii sarmatyzmu, jedna zasługuje na baczniejszą uwagę. Mniej może ze względu na swą obiektywną wartość, a bardziej dlatego, że szczególnie trafnie charakteryzuje epokę i odzwierciedla utrwalający się ustrój społeczno-polityczny oraz jego kulturalne oblicze. Forma owa, to żarty oparte na nieprawdopodobnej etymologii nazwisk.

Przydatne były szczególnie do kpienia z tych, którzy próbowali nieopatrzenie wcisnąć się w uprzywilejowane szeregi szlachty władającej krajem. Prawdziwą skarbnicą tych dowcipów jest „Liber Chamorum“ Waleriana Nekandy Trepki. Ten „anty-herbarz“, katalog uzurpacji (a przy tym kopalnia informacji o obyczajowości) do bardzo niedawna dostępny był tylko w paru rękopiśmiennych kopiach, czyli, dla szerszych kół czytelników, niedostępny wcale. Wydał wreszcie Księgę (wzorowo, z całym cennym aparatem przypisów i komentarzy) prof. Włodzimir Dworzaczek i zespół współpracujących z nim specjalistów.

Publikacja ta — urzeczywistniona po licznych, nieudanych próbach — ma dla historyków kultury i obyczaju wartość wręcz ogromną. Ale każdy — naukowiec, czy nie — znajdzie w niej coś dla siebie. (Z racji niepocziwości ludzkiej natury, najczęściej coś uszczypliwego o bliźnich).

Budzi jednak zdziwienie, że zasłużony badacz nie docenił znaczenia „Liber Chamorum“ dla dziejów naszego humoru. Przeciwnie: wyraźnie je zlekceważył. „Pełno w całej księdze — powiada we wstępie prof. Dworzaczek — igraszek słownych, traktowanych niepoważnie, czasem nawet z drastycznym humorem, który nas dziś nie śmieszy...“ i zaraz przytacza przykłady, które są chyba powyższego sądu zaprzeczeniem: „...Wesołowski nazwał się tak od Wesołowski co je łowił będąc we szkole... Fabrycki, od fabryki, że sfabrykował sobie ślacheństwo, bądź od fe Brykcy, że pfa Brykcemu zwać się nobilis, bądź od pfa Brzycki, że brzydka rzecz chłop ślachcie... Jaszczynski od jaszczu co szcza weń...“ Profesor ubolewa, że są to nonsensowe etymologizowania. Ależ nie było zamiarem aby posiadały wartość naukową, a jedynie, aby były śmieszne!

Nie był też u nas Imci Pan Trepka od tego rodzaju żartów jedynym specjalistą. Skądże znowu? Jest to typ humoru bardzo rozpowszechniony, do dziś popularny w kpinach i przewiśkach sztubackich, a w literaturze reprezentowany przez nielada nazwiska.

Przede wszystkim wymienić tu wypada Wacława Potockiego, który tę formę

szczególnie sobie upodobał i celował w niej. Przykładem choćby:

Z MIŁKOWSKIEGO KOSKI

Zmazawszy Mił, Miłkowski bękartą zwał Koskim
Wstydząc się go przezwiskiem mianować ojcowskim.
Ja mu zaś Mił zostawię, Koski raczej urwę
Kiedy ojciec miłował, miasto żony k...

B.D.I.C

HUMOR STAROPOLSKI

CZĘŚĆ TRZECIA

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

Dodajmy, że bezsensowną etymologię lub aluzję do niej znaleźć można u podstaw większości gier słów, czego świadkiem koronnym nasz najwybitniejszy chyba kalamburzysta, Adolf Nowaczyński (by przypomnieć jego: „pasożyd“, „poKraKów“, lub: „wyszło żydło z worka“).

Oczywiście humor „Liber Chamorum“ nie ogranicza się tylko do kpín z nazwisk plebejów. Oto obfituje Księga w soczyste, często skandaliczne anegdoty, jak choćby o pannie Barbarze Gutierrez i kucharczyku Stanisławie co to „...odprowadzał ją często i w nocy samę, że za tę pracę szła zań r. 1626...“ czy o jakimś Podlejskim, który pojął za żonę Ostrowską i „podlażł dziórą do ślacheckiego stanu“. Albo choćby znakomita, zwięzła charakterystyka dorobkiewicza Zbijewskiego, który spraszał gości, a przy obiedzie im powiedział „...jedźże wm. nie jadłbys tego doma“. Otóż nie ma chyba człowieka, któryby takich właśnie Zbijewskich kiedyś w życiu nie spotkał.

Dodajmy jeszcze, że sam styl Trepki jest barwny, pełen wesołych metafor, czy jowialnych określeń, jak na rasoowego gawędziarza przystało. Oto, gdy jacyś „chłopszy synowie“ za Badowskich się podawali to „... pp. Badowszy, ślacha zacna w rawskie ziemie obiecali im boków kijmi wybadać...“, albo „Ceranowski nazwał się Jakub... mieszkał w tym domu, kurwy chował na wyszynk...“ albo: „Kulipiński... nabawił dziecięcia dziewce piekarza dworskiego, że musiał uciekać pan młody...“

Jeśli ową szczególną cechę stylu autora „Liber Chamorum“ podkreślał, to dlatego, że jest ona charakterystyczna dla całej epoki i znaleźć ją można — w mniejszym lub większym stopniu — w listach, pamiętnikach, zbiorach anegdot, czyli w tych formach litera-

ckich, które, jak pędzel malarza-realisty utrwalają najwiarygodniej oblicze narodu. Oczywiście, im więcej talentu u autora, tym obraz ciekawszy i bardziej przekonywujący. Dlatego zapewne Polska z połowy XVII w. pozostanie dla nas na zawsze taką, jaką ją opisał Jan-Chryzostom Pasek w swych „Pamiętnikach“.

Niewątpliwie pamiętników tych wartość — jako dokumentu kulturalnego — zwiększa i uroku dodaje fakt, że wyszły spod pióra „amatora“. Bo był przecież pan Pasek z zawodu wszystkim, tylko nie pisarzem: a więc, żołnierzem, ziemianinem-rolnikiem, nawet politykiem szlacheckim i dyplomatą. Pamiętnik odzwierciadla więc doskonale, bez literackiej stylizacji, życie epoki; sposób bycia, myślenia, a także śmiania się ludzi owego czasu. I skłonni jesteśmy wierzyć Paskowi — chociaż koloryzuje zwykle, co się zowie — bo tego świata, o którym pisał, nie wymyślił, nie wyśnił, ale się w nim urodził, w nim żył, i takim jakim widział, opisał.

I znowu, jak w wypadku Reya, czy Aktów Rzeczypospolitej Babińskiej rzuca się w oczy ziemiańsko-towarzyski styl tego opowiadania, tego humoru. Pasek ocierał się o dwór, widywał królów i miewał z nimi rozmowy i sprawy, ale środowiska dworzan nie lubił, nie ufał mu, a na świat patrzył oczami jednowioskowego szlachcica. Taka też jest i jego wesołość: rubaszna, jowalna, rezolutna. Znaleźć w niej łatwo dumę, zadzierzystość, ale i dobroduszość.

Anegdoty, którymi autor „Pamiętników“ sypie, jak z rękawa są oczywiście w dużym stopniu nie jego własnością, ale środowiska, które go wydało. A że był pan Jan człowiekiem lubiącym uciechę, z satysfakcją zapamiętywał i notował opowiadane mu żarty, powiedzonka, dowcipne historie. A nie jest w tym

odosobniony: Faceje, anegdoty, obiegały kraj błyskawicznie, jakby je wiatr roznosił. Jak mechanizm tej radosnej poczyt funkcjonuje, wszyscy wiemy, bo zdrowa pasja do pielęgnowania śmiechu (mimo ponurego proroctwa Wyspiańskiego) do dziś w narodzie nie gaśnie. Wiadomo, że gdy się Polacy spotykają, przed najpoważniejszymi wiadomościami dowcip bierze pierwsze miejsce.

Nie wiele się tu zmieniło przez ostatnie trzysta lat: Oto rokoszanie pobili pod Czestochową wojska królewskie, a szczególnie dotkliwie Litwinów. Pan Pasek był, trochę po niewoli, w obozie Jana-Kazimierza, ale wie doskonale, co działo się po bitwie na kwaterze pana Marszałka: „...winszując panu Lubomirskiemu frant jeden towarzyszy, Pustoszyński, tak mówi: — Miłościwy dobrodzieju, więcej nam Pan Bóg daje nad to, niżemy go prosili. Spytał Lubomirski: — Jakże to? Odpowie ów: — Ato prosiliśmy zawsze: Da pacem, Domine! da pacem, Domine!; my prosili o jednego, a Pan Bóg dał nam pięciu Paców“. „Bo między więźniami pięć samych Paców było, a wszystko oficerów znacznych.“

Zwróćmy uwagę na to, że dowcip polega tu na wyjątkowo udatnie zastosowanym makaronizowaniu, oraz na grze słów, wykorzystującej łańciskie znaczenie słowa-nazwiska, bynajmniej zresztą nie plebejskiego w tym wypadku.

Lubomirski zresztą jest bohaterem (zawsze pozytywnym!) wielu z co ucieśniejszych anegdot Paskowych — jak choćby tej, którą pamiętnikarz otwiera rok 1657: „Złodziej Węgrzyn, szalony Rakocy, świerzbiała go skóra, tęskno mu było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niż węgierski, smaku... Wybrał się na czosnek do Polski; aleć dano mu nie tylko czosnku, ale i dzięgielu z kminem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię, palił, ścinał, gdzie tylko zasiągnął, wodę a ziemię zostawił. A potem od matki Rakocego wielki okup wzięwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby nie wszystkiego czosnku zjadał, przynajmniej na rozmnożenie zostawił...“

Nie przypadkowi oczywiście przypisać należy, że Pasek, choć towarzyszy chorągwi w wojsku królewskim, do Marszałka-rokoszanina miał wyraźną słabość. Nie tylko bowiem reprezentował Lubomirski ideologię szlachecką, polegającą głównie na umiłowaniu wolności osobistej, (posuniętej niekiedy do przesady), ale osobą swą, stylem życia, strojem, mową, wyglądem uosobiał samą właśnie szlachtę. Jakże nie było kochać kogoś, kto gestem każdym i

zdanem okazywał się „krwią z krwi i kością z kości“ jak choćby, gdy po zwycięstwie pod Mątwami „pozwoili“ przecież na palczyński traktat, mówiąc: „króla przepraszę, lubom nie gniewa! i pokutny gotów się podjąć, byle nie była szkodliwa mojej i mego domu reputacyi.“

Na czym jednak polegał pana paskowy talent w żartach, w anegdotach? Oto w dużej mierze na związłym charakteryzowaniu za pomocą wyolbrzymiania jakiejś szczególnie typowej cechy. Oto margrabia Myszkowski był „człek chytry... nieprawdą się bawiący; kiedy co zełgał, jakby się najlepiej najadł...“ albo: „...Litewskie wojsko król wyprowadził porządne i dobre, którzy, jakby z dziesięciu chlewów wywarł, tak głodni i tak siła jedli, rabunki wielkie czynili...“

Opowiadania Paska, nawet gdy nie są żartami, są dowcipne. Nie tylko śmieją, ale i cieszą. Jeśli nie wywołują śmiechu, to przecież zawsze niemal uśmiech. Autor, dobry żołnierz i człek dzielny, nie zapomina o uśmiechu nawet, gdy o najpoważniejszych mówi sprawach, choćby o religii — cecha, dodajmy, bardzo „sarmacka“.

Oto przy szturmowaniu Koldyngi „...Wychodząc tedy z fosy, kazałem ja swoim wołać „Jezus Marya!“ lubo insi wołali „hu, hu, hu!“, bom się spodziewałem, że mi więcej pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan Hu...“ Bo że pan Pasek szczerze religijny, to pewna — bardzo po prostu, bardzo po polsku. Sam to określa najlepiej: gdy po owym szczęśliwym szturmie, cały zbroczony krwią szwedzką, klęknął do mszy służyć księdzu Piekarskiemu. „...ujuszony ubieram księdza, aż wojewoda: — Panie bracie, przynajmniej ręce umyć. Odpowie ksiądz: — Nie wadzi to nic, nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia Swego.“

Czym Pasek dla polskiej prozy, tym dla poezji byli Wacław Potocki, Wespazjan Kochowski, zresztą cały legion pomniejszych. Potocki niewątpliwie wyróżniał się nie tylko niesłychaną płodnością, ale także świetnym opanowaniem rzemiosła artystycznego. Ale Kochowski był — jeśli to możliwe! — bardziej odeń typowy, bardziej sarmacki — i w tym bliższy Paskowi. Warto zauważyć, że to on właśnie, obok Achacego Kmity, chwali wierszem polskim Rzeczpospolitą Babińską. On także, przysięgły zwolennik Lubomirskiego, szablę i piórem bronił paną marszałka i „uciśnionej wolności“. Z innym „sarmatą“ — Trepką, łączyła go pasja do żartowania z nazwisk, najczęściej zresztą nie plebejskich, ale szlacheckich i to noszonych przez płeć piękną, jak choćby:

O Drugiej P. Odrzywolskiej
Dalekie od nazwiska tej Panny
zwyczajne,
Nie odziera, nie bierze, ale raczej daje.

Co zresztą podobnie, trochę mniej śmiesznie, ale dużo wcześniej, napisał już Jan Smolik.

To bezceremonialne czerpanie przez fraszkopisów z dorobku innych jest typowe i ma za sobą bardzo starą (wręcz starożytną) tradycję. Raz wymyślony epigramat, fraszka, figlik, stawał się częścią wesolego narodowego — ba! międzynarodowego! — skarbcza. Powtarzano go, asymilowano, przystosowywano do nowych sytuacji. U nas, często, biorąc od obcych, znakomicie polszczone. Nie lada w tym mistrzem był właśnie Kochowski, a szczyt osiągnął w wierszyku o panie Łaskiej, żartując sobie znowu, ale bardzo dwornie, z nazwiska bohaterki:

Tres Charitates

Trzy Łaski poetowie w swoim liczą
rzędzie

...Lecz każdy niech swej spyta, wiem, tak mu odpowie:
„Niech będzie róg gdzie trzeba, nie będzie na głowie“

Ale są i inne elementy, a szczególnie warte uwagi. Do nich należy wprowadzenie do tej żartobliwej literatury tematów religijnych (co znowu przypo-

Pytasz, jako też pana i po czym poznawać?

Który ma chleba dosyć i umie go dawać.

Wszak Pan poznany od uczniów jest w łamaniu chleba.

Kto daje panem, panem nazwać go potrzeba.

Otóż sądzę, że wierszyk ten powstał nie pomimo, ale właśnie z racji pobożności autora. Taka była moda i styl czasu. I na wiele konceptów podobnych, a często znacznie drastyczniejszych, trafić można w zbiorach barokowych kazań, choćby już u największego z obozowych kaznodziej, dominikanina Birkowskiego, który np. porównuje św. Szczepana z kogutem, a to z tej przyczyny, że kogut straszy lwa (oczywiście wedle informacji czerpanej ze średniowiecznych „Bestiariuszy“), tak św. Szczepan przerażeniem napęlnia złych i grzesznych. Już w samych tytułach kazania — i to pogrzebowe — skłaniają często do uśmiechu: Oto jak Augustyn od św. Jana, rzeszowski pijar, uczcił w 1676 r. odważną śmierć porucznika Stanisława Stokowskiego herbu Jelita (pamiętajmy: przedstawiającego trzy kopie). „Kopie Sarmackie, które w odważnej obronie nieustraszone bo-

Toć nasza Panna Łaską czwarta Łaska
będzie.

Otóż sam motyw występuje już w III w. przed Nar. Chrystusa u aleksandryjskiego poety Kallimacha, potem u innych Greków (czego ślady zachowały się w tzw. „Antologii Greckiej“) następnie u Marcialisa, Ausoniusza, wreszcie u poetów francuskiego renesansu. Otóż mistrzostwo Kochowskiego polega nie tylko na znakomitym — nie do poznania — spolszczeniu tematu, ale także na kunsztownym związaniu go z autentycznym nazwiskiem, czego nie osiągnęli jego poprzednicy.

Oczywiście nie brak u Imci pana Wespazjana ulubionych przez fraszkopisów tematów: opowiadań o doktorach, pijakach, czy niewiernych żonach:

mina paskową prozę). Mogłoby to kogoś dziwić i zastanawiać wobec wielkiej pobożności poety, której dał liczne dowody. Fraszka „Kto Panem“, dobrze rzecz ilustruje:

hater... we krwi własnej ochynione, o śmierć kruszył...“ Bezceremonialne splatanie wątków religijnych ze świeckimi, śmierci z konceptem, typowe było tak dla średniowiecza, jak i dla baroku. Przypisać to chyba należy specyficznej poufałości okazywanej Bogu i świętym Pańskim przez ludzi owych czasów. Poufałości wynikającej z roli jaką religia wówczas w życiu odgrywała, z jej znaczenia i wszechstronnego wpływu. Toć najpiękniejsze i najbardziej wzruszające swą intymnością koledy stworzył u nas właśnie barok. A ileż w nich równocześnie humoru!?

Nie brak go też i w nawskroś religijnych utworach Kochowskiego, jak np. w „Ogrodzie Panieńskim“, wielkim i misternie skomponowanym poemacie ku czci i chwale N. M. Panny. Oto nawpół poważny koncept heraldyczny, czy genealogiczny raczej:

Fillia David.

Panna z królów linii, to Chrystus Pan pewnie
Herbowym Dawidowi, po matce królewnie.

O tym, jak bardzo ta śmiałość, czy poufałość, jest w polskim duchu, świadczy jej żywotność: Barokowy koncept przetrwał czasy Oświecenia, pozytywizmu, obronną ręką wyszedł z obierzy krytyki literackiej i kwitnie, acz skromnie, do dziś: Przed kilku laty obecny byłem na ślubie w czasie którego celebrians w te słowa przemawiał do państwa młodych: „Szeroko rozwartrymi oczami mej duszy widzę śliczny obrazek waszego pożycia małżeńskiego, oprawiony w złocone ramki Łaski Bożej...“ Kapłan ów, (postać, w polskim Londynie powszechnie znana i ceniona) złożył tu dowód swego „sarmatyzmu“. Tymbardziej, że — jak wierzę — świadomie zatarł granicę między żartem a

szczerem wzruszeniem, idąc w tym za przykładem barokowych facecjonistów i fraszkopisów, a także kaznodziei, z których zresztą lubiano u nas żartować.

Celował w tych drwinach Wacław Potocki, co przypisywano — chyba bezpodstawnie — temu, że był on trochę późno i nie zupełnie dobrowolnie nawrócony na katolicyzm z arianizmu. Kpiny poety nie godziły w istotę religii, nie atakowały prawd wiary, czy różnic dogmatycznych, ale za cel miały ułomności ciała, choćby obleczonego w sutannę. Do tych antyklęskowych fraszek należy choćby rozmowa proboszcza z wikarym, którzy o wielkanocne spierali się kazanie, albo „O beżeństwie duchownych“, co to się zaczyna:

Bronią księżom małżeństwa duchowne kanony,
Żeby miasto kościoła nie stroili żony...

a kończy bardzo brzydtko. Albo:

Przez Bieszczad kaznodzieja kiedy szedł od fary
Brewiarz, wszystkie swoje z sobą niósł towary,
A kiedy wpadł na zbójce, że nie miał pieniędzy,
Przymuszają go kazanie powiedzieć co prędej.
Tedy na pień wsadzony: „Wierutni słuchacze!
Jednaki wasz z Chrystusem żywot — prawi — bacze.
I on ludzi chwytął, jako tu długo żył;
Pieniądzy nierad chował, bogatych ubożył;...
...Nikt mu prawie dobrego słowa nie powiedział z ludzi;
Chciwość go cudzej duszy ustawicznie trudzi...
...Wszystko to, jako widzę, i do was się przyda;
Więc skoro Judasz zdrajca Żydom Pana wyda, ...
...Rozbity na ostatek na okrutnym krzyżu,
I was, i was, z Bieszczadu jednych, drugich z chyżu,
Na pale, na szubienice, na haki, na koła,
Taka wasza zasługa nieomylnie woła.
Między dwiema Pan wisiał zbójkami drzewy;
Strzeżcież się, chrześcijanie, radzę, strony lewej“.
Skoro skończył, dziękują, a oraz mu po trzy
Zrzucą grosze za ono Boże słowo lotrzy.

Przytoczona fraszka ilustruje receptę Potockiego na śmiech: mianowicie zgrabne, ale często pozbawione związku, ujmowanie w rymy zdarzeń, nieraz całych nowel, czy obrazków obyczajowych. Zdumiewa przy tym wielorakość ujęć i różnorodność tematów, tak wielka, że możnaby z ich katalogu ułożyć wcale kompletny podręcznik ba-

rokowego, szlacheckiego światopoglądu: od dobrodusznego raczej antysemityzmu, poprzez kpiny z „nowej szlachty“ po ostre przycinki magnatom-senatorom i naigranie się z cudzoziemców, jak choćby w owym „Jeszcze lepiej niż dobrze“, gdzie Włoch chciał jak Polak wskoczyć na konia:

...westchnie o pomoc do Boga.
Toż do skoku, a była dębowa podłoga,
Zawiedzie się i ledwie dotknie piętą łęku,
Przepadł na drugą stronę, ząb wybił na sęku.
Toż stłukisz się szkaradnie, oczy dźwignie w górę:
„Nazbyt łaski, o Dio, troppo di favore“.

Niewątpliwie jednak najcudowniejsze fraszki pana wacławowe tyczą spraw odwiecznych, obracających się wokół ludzkiego ciała, a mianowicie tych jego części, które znaleźć można głównie

poniżej bioder. Metafory bywają tu może nieco monotonne, za to, co za różnorodność sytuacji, co za galeria „bohaterów“! Reprezentowane są wszelkie stany i zawody, nie brak panien i

KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.
Great Britain.

**POLSKA KSIĄŻKA
W POLSKIM DOMU:**

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciół,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

**POLSKIE PISMO
W POLSKIM DOMU:**

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
— jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.
Great Britain.

U w a g a: Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

mężatek, senatorów, księży, parobków... Oto np. młody człowiek tłumaczący pannie czytającej „Przemiany“ Owidiusza, skąd wzięły się Akteonowi rogi:

„...Lecz nie tylko Akteon, i ja będę jelen,
Tylko waszmość do naga rozebrać się nie leń“.
Więc chcąc być uczestniczką onego widziadła,
Gdy rano do niej przyszedł, pierzyna z niej spadła,
A bez gieźla leżała, ten toż w pogotowiu
Mając róg, zabodzie ją, gdzie nie szkodzi zdrowiu.
A panna: „Wzdy na głowie miał być, nie u łona?“
„Co by mię tak psi zjedli jako Akteona,
Przyszły, da Bóg, małżonek waszmości odpowie,
Upewniam, że je będzie piastował na głowie“.

Jeśli Potocki lubił tematy sprośne to, jego niemal rówieśnik Andrzej Morsztyn świata za nimi nie widział. Ten znakomity stylista, mistrz kunsztownej ozdobności, był — zdawałoby się na wskrós zfrancuziały, pełen podziwu dla wszystkiego co zagraniczne, sługa obcych interesów i krzewiciel obcego obyczaju.

Gdy w r. 1645 brał udział we wjeździe poselstwa Opalińskiego do Paryża, był jedynym Polakiem ubranym po francusku. Przynajmniej jedynym którego zauważył, i w swym czternasto-arkuszowym cyklu rysunków utrwalił Stefano della Bella. A można ufać bystrości tego Florentyńczyka. Zresztą

Jużeś ty u mnie dawno cudem i te
Gładkości twojej dziwy znamienite...
Lecz i to cudem mogę nazwać snadnie
Żeć tak każda rzecz, co wdziejiesz, przypadnie;
Lubo francuskie przyodziejiesz stroje
Lubo niemieckie, lubo wolisz swoje...
Lubo się w miejskie powijesz rańtuchy,
Lubo nawet w kapę z zbytniej wleziesz skruchy...
Owa, coć panna przypnie, krawiec robi,
Wszystko przystoi i wszystko cię zdobi.
Wolałbym przecie, moja droga Jago,
Nie w tych cię strojach widzieć, ale nago.

Otóż motyw ten, czy koncept, jest w literaturze znany od starożytności, by przytoczyć choćby Plauta: „Pulchra mulier, nuda erit quam purpurata, pulchrior“. Wiersz Klemensa Marota „De Madame Ysubeau de Naurarre“, z 1534 roku na tym samym opiera się motyw. Najbliższa jednak morsztynowemu arcydziełku jest angielska wersja, wydrukowana anonimowo w antologii F. Davisona, w 1602 roku:

...No beauty she doth miss
When all her robes are on:
But Beauty's self she is
When all her robes are gone

Za angielskim źródłem „Strojów“ przemawia również fakt, że żoną naszego poety była Angielka, Katarzyna Gordon de Huntley, która przybyła do Polski we fraucymerze Marii-Ludwiki.

Niestety większość morsztynowych żartów trudna jest do powtórzenia z

fakt ów tak go zdziwił, że nad głową Morsztyna całą w lokach i piórach, zanotował: „Polak“, ale, widząc po namyśle, przekreślił tę notatkę. I w istocie, pod koniec życia Morsztyn przeniósł się, po skandalicznym procesie sejmowym, do Francji, by tam używać francuskiego nazwiska i tytułu.

A jednak w swych fraszkach — w nich przede wszystkim — zachował jędrną polskość nie tylko mowy, ale i stylu. Tak dalece, że nawet, gdy jakiś utwór z obcych przyswajał języków — a czynił to często — wychodził z pod jego pióra najszczerzej polski. Do tych „naturalizowanych“ cacek należą „Stroje“:

racji swej niecenzuralności. Są one nie tylko sprośne (co w dziejach naszego humoru nie pierwszyzna), ale wręcz niemoralne. „Niestety“ — bo na śmieszności bynajmniej im nie zbywa. Inaczej ma się rzecz z powszechnie i wysoko cenionymi i (czy nie przecenianymi czasem?) „Satyrami“ Krzysztofa Opalińskiego, tego samego, w którego poselstwie jeździł Morsztyn do Paryża.

Celem „Satyr“ było właśnie umoralnianie. Pełno w nich rad, przestroż, pouczeń. Natomiast mało humoru. Ktoś złośliwy mógłby rzec, że i dydaktyczna wartość utworów pana wojewody musiała nie być wielką, skoro sam się własnymi nie dał przekonać upomnieniami i często w życiu czynił, co ganił piórem.

Humor reprezentowany jest w tych rozwlekłych utyskiwaniach niemal wyłącznie przez przysłowia, czy zwroty, przysłowiom podobne. Ale gdyby kto dla przysłów chciał czytać Opalińskiego, lepiej zrobi sięgając po Salomona

Rysińskiego „Przypowieści Polskie“. Zaśługa tego krewkiego, kresowego szlachcica polega nie tylko na tym, że przysłowia nasze pierwszy zbierał, ale także, że je szczególnie zgrabnie umiał redagować. Oto, gdy przysłowie o Dorotce cytuje Opaliński, brzmi ono: „Nie Dorotka-m, Nieprzedajna...“, po czym następuje długi, a nie pochlebny dla Dorotki komentarz. Tymczasem Rysiński, serdecznie, a zwięźle: „Nie namówisz, nie Dorotka“.

Parę przykładów najlepiej zilustruje talent naszego paremiologa: „Dał się Bóg napić, a diabeł nie dał się wyspać; U białychgłów długie włosy, a rozum krótki; Wysilił się w rozum, by sarna w ogon; Mało dać wstyd, a siła żal“.

Oczywiście przysłowia szczególnie są podatne do przeszczepiania z języka do języka, z kultury do kultury. Jak ziolo: gdzie ziarno padnie, tam jego dom i ojczyzna. Nie należy się też dziwić, że i wpływ Wschodu — w kulturze staropolskiej tak charakterystyczny i mocny — da się w przysłowiu wytropić. Orientalne (arabskie) źródło odkrył i znakomicie umotywował dla „kobyłki u płotu“ prof. J. Krzyżanowski. A że historia o tym, jak to z kobyłką było (w staropolskiej wersji) jest uciechą, warto ją więc przypomnieć, szczególnie że anegdota dotyczy władcy-sarmaty, Jana III: Oto szlachcic — Podlasiak, gdy jechał do Warszawy z prośbą do króla, napotkał go w drodze, ale nie rozpoznał. Sobieski w rozmowie spytał co będzie, jeśli król odmówi? Szlachcic odparł, że będzie mógł wtedy jego kobyłkę pod ogon pocałować. Wpędce, na audyencji, przekonał się Podlasiak, kto był jego rozmówcą. — I cóż teraz będzie? — pyta król. A na to rezolutny szlachetka: — No, cóż, Miłościwy Panie, słowo się rzekło, kobyłka u płota...

Mieczysław Paszkiewicz

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmogoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

(Dokończenie na str. 32)

Czechosłowacji. Gdyby te trzy państwa równocześnie podniosły rewoltę, zadanie Rosji byłoby nieskończenie trudniejsze. Jest rzeczą jasną, że jeżeli w przyszłości dojdzie do analogicznej sytuacji — to sukces Europy Wschodniej w stosunku do Rosji zależeć będzie od synchronizacji akcji buntów oraz wspólnego frontu tak zwanych satelitów.

Jesień 1956 roku była tragedią dla Zachodu, który podjął niepotrzebną krucjatę w niewłaściwym kierunku. Była ona tragedią dla Europy Wschodniej, która liczyła mgliście na jakieś wyzwolenie i była przekonana, że Ameryka potrafi się postawić Rosji i wesprze odruchy buntu w sposób godny wielkiego mocarstwa. Te nadzieje zostały zburzone i tak jak Monachium w roku 1938 złamały w Czechach wiarę w pomoc Zachodu, tak jesień 1956 przekreśliła te spodziewania i nadzieje — być może zbyt wygórowane — Europy Wschodniej w stosunku do Zachodu. Od tej chwili datuje się w Europie Wschodniej ochłodzenie temperatury uczuć wobec Zachodu, przekonanie że „jeżeli nie pomożemy sobie sami to nikt nam nie pomoże“, parafraza słynnego zawołania włoskiego „Italia, fara da se“. Europa Wschodnia nie tylko straciła iluzje wobec Zachodu a uważa, że musi ułożyć się jakoś w ramach systemu, który jej został narzucony, że wszystko zależy od ewolucji w Rosji i od tempa zmian w kraju, który nadaje „ton“ i tempo tej połaci Europy, ale straciła wiele z dawnego kompleksu niższości wobec Zachodu i nadmiernego jego uwielbienia. Poczucie opuszczenia przez Zachód wzmocniło polityczny realizm jaki cechuje dzisiaj narody Europy Wschodniej. Jesień 1956 roku stanowiła grób polityczny romantyzmu tego rejonu Europy.

To czego spodziewa się Europa wschodnia w roku 1966, w dziesięć lat po wypadkach październikowych 1956 roku, to powolnego tempa zmian, to jakiegoś ludzkiego ułożenia życia, to zmiany warty a zatem wymarcia generacji doktrynerów i dojsca do władzy ludzi pragmatycznych, ludzi praktycznych. Europa Wschodnia nie wyrzekła się wpły-

Cień berlińskiego muru

GRANICA dwóch światów, wolnego i komunistycznego, ma rozmaity charakter, ale nigdzie nie zawiera w sobie tyle symboliki, nigdzie nie jest tak pouczająca, jak w Berlinie.

Dzisiaj, po pięciu z górą latach istnienia muru berlińskiego, lepiej można ocenić jego sens i znaczenie. W dużej mierze znane są kulisy, w jakich zapadła decyzja wzniesienia go, choć wciąż pozostaje niewyjaśniony problem, czy można było mu zapobiec?

Bezsporny jest fakt, że przez długi czas dyktator Niemiec wschodnich chciał fizycznie odseparować wschodni sektor Berlina od zachodniego, słusznie uważając, że jest to jedyny sposób zapobieżenia ucieczkom.

Jeszcze na cztery miesiące przed ową czarną niedzielą, 13 sierpnia 1961, a mianowicie 29 marca 1961, szefowie rządów i partii bloku komunistycznego zebraли się w Moskwie dla omówienia

sytuacji. Ulbricht miał zakomunikować swoim kolegom wymowne cyfry ucieczek. W poprzednim roku uciekło z NRD na Zachód 199.188 ludzi, z tego trzy czwarte, bo 152.291 zbiegło przez Berlin, gdzie przecież wystarczało przejść na drugą stronę ulicy, czy pojechać parę przystanków kolejką podziemną za 20 fenigów, by znaleźć się na wolności. W pierwszych dwóch miesiącach 1961 r. ucieczki trwały: do zach. Berlina zbiegło 21.112 ludzi. Co więcej — wywodził Ulbricht — 48,8 procent zbiegów, to młodzi ludzie, poniżej 25 lat, dalszych 23,4 procent, to ludzie w wieku 25-45 lat. Tylko jeden zbieg na dwudziestu liczy ponad 65 lat i jego strata nie liczy się. Taki odpływ sił roboczych musi być katastrofalny dla produkcji NRD. Ponadto, najsilniejszą grupę zbiegów stanowią wysoko wykwalifikowani robotnicy: 21,3 procent ogółu. Stąd wniosek Ulbrichta: Możemy zapobiec zagrożeniu naszych planów produkcyjnych tylko przez rygorystyczne odseparowanie zach. Berlina. Ale w tym momencie nie padło jeszcze słowo: mur. Mowa była o barierach, może o zasiekach.

Nawet i to przeraziło innych przywódców komunistycznych. Kadar, Georgiu Dej i Żiwkow wskazali, że drut kolczasty poprzez Berlin zaszkodzi prestiżowi całego ruchu komunistycznego. Gomułka wyraził obawę, że mocarstwa zachodnie nie będą tolerowały jakiegś zapory w Berlinie i nie można będzie wykluczyć konfliktów wojskowych. Nowotny ostrzegwał wręcz: mocarstwa zachodnie pošlą wojska dla obalenia bariery.

Według relacji, jakie przeniknęły na Zachód, zebranie zakończyło się głosowaniem, w którym tylko Ulbricht głosował za zaporą. Pięciu innych przywódców głosowało przeciw, Chruszczow powstrzymał się od głosu. Tłumaczył on, że radykalne odcięcie wschodniego Berlina nie pasuje do całości polityki sowieckiej, i że w każdym razie musi on najpierw ustalić, czy w sprawie Berlina stanowisko nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Kennedy'ego, (który dopiero przed dwoma miesiącami objął urządowanie), różni się od polityki jego poprzednika. Dlatego sprawa zapory w Berlinie — wciąż nie muru — musi pozostać w zawieszaniu.

Dlaczego w sierpniu Ulbricht uzyskał aprobatę planu, który odrzucony był w marcu? Dlaczego na następnej naradzie szefów rządów i partii bloku, 4 sierpnia zapadła — ponoć jednomyślnie

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

wów na bieg rzeczy w samej Rosji a jest faktem, że pewne kraje — jak właśnie Polska — są dzisiaj modne w Rosji. Ale nie ma mowy o formowaniu czy kształtowaniu wypadków w Rosji przez kraje lenne Rosji. Mogą tu wchodzić w grę tylko kontakty kulturalne i wyrobienie pewnego poczucia wspólnoty doli między lennikami a Rosją — tą „inną“ Rosją, która na pewno istnieje i przejawia się w dziełach Sieniawskiego, Pasternaka, Daniela czy Pausowskiego.

Bilans jaki czyni dzisiaj Europa Wschodnia 10 lat po Budapeszcie, Suezie i Warszawie, nie jest na pewno zbyt optymistyczny. Ale jednak okres apatii minie; Europa Wschodnia zdała egzamin swojej odporności w ogniu jesieni roku 1956 i nie tylko odporności: czegoś o wiele ważniejszego — zdolności regeneracji, odrodzenia, powstania na nowo.

Zbigniew Grabowski

nie — uchwała upoważniająca do zabarykadowania granicy obu sektorów?

Na tę zmianę złożyło się kilka czynników. Przede wszystkim ucieczki wzmagaly się. Ludność wschodnich Niemiec brała poważnie różne ultimata Chruszczowa i zapowiedzi podpisania traktatu pokoju z NRD, w wyniku czego Berlin byłby odcięty od Niemiec zachodnich. Spotkanie Kennedy-Chruszczow nie dało żadnych wyników, choć władca Kremla groził wręcz wojną. Toteż wielu mieszkańców Niemiec wschodnich, którzy przez lata mówili sobie: zawsze możemy uciec na Zachód, jeśli rządy komunistyczne staną się nie do zniesienia, a póki co poco tracić wszystko i zaczynać od nowa — teraz uznało, że dłużej zwlekać nie można. W lipcu zbliżyło z NRF 30.415 ludzi. Toteż Ulbricht mógł ostrzegać swych sojuszników, że jeśli natychmiast nie zatrzyma się tego upływu krwi, to najpóźniej z końcem roku NRD nie będzie w stanie wypełniać swoich zobowiązań w zakresie dostaw.

Ulbricht przestrzegał zarazem, że może dojść do nowej rewolucji w Niemczech wschodnich. Co prawda ten argument był obosieczny: przywódcy komunistyczni mogli uważać, że ucieczki stanowią klapę bezpieczeństwa. Jeśli ona zostanie zamknięta, to może dojść do zrodzonego z rozpaczki wybuchu.

Był także inny powód, który przyczynił się do zmiany stanowiska przywódców komunistycznych z Chruszczowem na czele: oto doszli do wniosku, że ryzyko interwencji mocarstw zachodnich jest niewielkie. Niewątpliwie przyczynił się do tego znany polityk amerykański, senator Fulbright, który publicznie — 30 lipca — wyraził zdziwienie dlaczego Niemcy wschodnie nie zamykają granicy, do czego mieliby prawo. Jego zdaniem, Zachód nie jest uprawniony do żądania, by pozwalamo na wyjazd uchodźców z Berlina do Niemiec zachodnich.

Gdy tylko Ulbricht uzyskał zgodę swych sojuszników i protektorów, wyłoniła się kwestia: jak uczynić granicę w Berlinie niemożliwą do przebycia? Zachęcony sukcesem Ulbricht, już nie ograniczał się do barier czy parkanów, choćby z drutami kolczastymi. Chciał zgody na budowę muru długości 46 km. Plan miał gotowy od 1958 roku. Nosił on charakterystyczną nazwę: „mur chiński II“.

O ile wiadomo, sojusznicy byli przeciwni. Uważali, że mur jeszcze bardziej zaszkodzi prestiżowi komunizmu światowego, aniżeli zwykła bariera, czy parkan z drutów kolczastych. Tak niedawne było jeszcze wspomnienie murów getta wzniesionych przez hitlerowców; jakże mieli komuniści iść tymi śladami?

Chruszczow wymyślił kompromis: za-

cząć od zasieków i prowizorycznych umocnień, a z budową czegoś trwałego poczekać aż będzie jasne, jak zareaguje Zachód. Chruszczow pragnął zachować furtkę odwrotu na wypadek gdyby, wbrew oczekiwaniom, nastąpiła gwałtowna reakcja trzech mocarstw zachodnich. Były one przecież uprawnione do zabezpieczenia swobody poruszania się w mieście.

Można przyjąć, że Chruszczow do ostatniej chwili nie był całkiem pewny, co się stanie? Gdyby doszło do interwencji zachodniej, zapewne cofnąłby się. Choć niepodobna tego twierdzić z całą pewnością, istnieją dane po temu, by twierdzić, że prez. de Gaulle, zawsze skłonny do stanowczości, chciał obaleńcia siłą zaczątków muru. Amerykański generał Clay, specjalista spraw niemieckich, domagał się nawet wkroczenia wojsk sojuszniczych do wschodniego Berlina. A Chruszczow nie był bardziej skłonny do ryzykowania wojny o Berlin, niż w rok później był gotów ryzykować ją na tle Kuby.

Ale do próby sił nie doszło. Prezydent Kennedy, który uprzednio poważnie obawiał się wojny w wyniku próby sowieckiej ponownej blokady zachodniego Berlina, uznał, że mur mniejsza to niebezpieczeństwo. Zarazem jasne było, że w oczach całego świata mur będzie żywym symbolem bankructwa komunizmu. Co może być dla systemu bardziej kompromitujące niż dowód, że musi otoczyć swe terytorium murem nie do przebycia, uczynić zeń prawdziwe więzienie, bo inaczej ludność ucieknie?

Pewne ryzyko niewątpliwie istniało. W całych Niemczech wschodnich wojska sowieckie i oddziały niemieckiej armii ludowej stały w pogotowiu, bodaj także dwie dywizje polskie i kilka czeskich. Ale koncentracje wojskowe mogły być częścią wojny nerwów, obliczone na zastraszenie Zachodu.

Toteż wydaje się ubolewania godne, że nie podjęto żadnej próby zlikwidowania muru, zanim został wykończony. Istniała wówczas szansa zadania komunizmowi porażki, której następstwa były nieobliczalne. Zamiast tego Zachód zadowolił się klęską moralną komunizmu, jaką był i jest mur.

Świat komunistyczny od chwili wzniesienia muru, 13 sierpnia 1961, usiłuje uzasadnić jego budowę. Piątą rocznicę obchodzono szumnie we wschodnim Berlinie, tak jakby to był dzień wielkiego zwycięstwa, a nie dzień wielkiej porażki. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że świat komunistyczny skrętnie zataja prawdziwy powód wzniesienia muru, czyli chęć zapobieżenia masowym ucieczkom na Zachód, które w przededniu wzniesienia muru jeszcze się wzmożyły, dochodząc do 2.305 zbiegów, jednego dnia.

Oficjalna teza reżymu Ulbrichta głosi, że mur zapobiegł... zbrojnej inwazji, która jakoby groziła ze strony mocarstw zachodnich. Według organu partii NRD „Neues Deutschland“ zachodnio-niemiecka Bundeswehra i jej sojusznicy „szykowali się do wkroczenia do Poczdamu z orkiestrą na czele“.

Zastanówmy się tylko. Gdyby siły sojusznicze chciały wkroczyć do Niemiec wschodnich, to czy zwykły mur z cegieł zatrzymałby czołgi?

Nieco inne, ale również zakłamanie tłumaczenie konieczności muru, idące zresztą po linii obranej w 1961 roku, podała z okazji 5. rocznicy „Trybuna Ludu“. Nazywa on budowę muru... „wytyczeniem granicy państwowej NRD w Berlinie“. Osobliwa to „granica“!

Według organu partii stało się to na koniecznie dla położenia kresu sytuacji, w której rzekomo zachodni sektor miasta „stał się siedliskiem wszystkich możliwych wywiadów i główną kwaterą akcji dywersyjnych przeciwko bezpieczeństwu NRD i jego gospodarce“. Innymi słowy, mur miał uniedostępnić wschodni Berlin agentom i dywersantom. Znowu założymy, że rzeczywiście działali w zach. Berlinie ci agenci i dywersanci; czy mur mógł udaremnić ich przenikanie do wschodniego Berlina? Nic podobnego. Mur był nie do przebycia dla mieszkańców Niemiec wschodnich i pozostał nim do tej pory. Natomiast obywatele zachodnio-niemieccy od początku mogli przekraczać go swobodnie, chyba, że byli stałymi mieszkańcami zachodniego miasta. Jedynie stali mieszkańcy zachodniego Berlina byli niedopuszczani i dopiero po latach mogli otrzymywać przepustki na krótkie wizyty u rodzin we wschodnim sektorze.

Niemniej groteskowy jest trzeci argument: Rzekome wykupywanie przez spekulantów zachodnio-berlińskich żywności i atrakcyjnych towarów we wschodnim Berlinie!

W całym artykule „Trybuna Ludu“ nie ma ani słowa o ucieczkach. W samej NRD czasem się wspomina o tym, że „chwijne i zacofane w poglądach elementy“ ludności NRD dawały się uwieść reakcjonistom zachodnim obiecującym im łatwe życie. Oczywiście nikogo nie trzeba było namawiać do ucieczki; zbiegom wystarczyło, co widzieli w zachodnim Berlinie. W każdym razie w przeciwieństwie do NRF, w Polsce nie wspomina się w ogóle o ucieczkach. Niedopuszczalna jest myśl, że ktoś chciałby uciec z kraju „budującego socjalizm“.

Jednym słowem komuniści nie potrafili znieść prawdy o murze i przyczynach jego budowy. Jest ona zbyt kompromitująca dla całego świata komunistycznego.

Aleksander Bregman

35 ton skamieniałych kości i szkieletów przedhistorycznych zwierząt — były to już bogaty dorobek całego życia wielu paleontologów, którzy spotkali się na międzynarodowej konferencji paleontologicznej w Paryżu. Taka właśnie ilość wykopalin znaleziona została przez polską wyprawę paleontologiczną w pustyni Gobi. W zbiorze tym znalazły się doskonale zachowane czaszki przedhistorycznych ssaków, kości zwierząt dotychczas nieznanymi nauce, jak również największa kolekcja kiedykolwiek odkryta szkieletów dinozaurów. Ten skarb paleontologiczny został opisany na konferencji przez Zofię Kielan-Jaworską, która brała udział w wyprawie na pustynię Gobi, w latach 1963-65.

Skarby z Pustyni Gobi

Przynajmniej 18 czaszek pochodzi z okresu tzw. „cretaceous“ sprzed 100 milionów lat. Należą do praszczurów, roślinożernych ssaków, wymarłych wiele milionów lat temu. Dwanaście innych czaszek należało do zwierząt owadożernych, które później przekształciły się w ssaki na wyższym poziomie rozwoju, zamieszkujące ziemię do naszych czasów. Obie grupy przedstawiają najbardziej prymitywne ssaki znalezione w tak doskonale zachowanym stanie. Uczni mają nadzieję, że dokładne ich zbadanie rzuci nowe światło na procesy ewolucyjne.

Ekspedycja znalazła także świetnie zachowane szkielety 11 dinozaurów, skamieniały szkielet mięsożernego zwierzęcia, którego przednie kończyny były trzymetrowej długości i które uważane jest przez uczonych za największego dinozaura dotychczas odkrytego. Większość znalezionych wykopalin została przetransportowana do Warszawy, gdzie polscy uczeni będą musieli poświęcić wiele czasu na badania i klasyfikacje tego epokowego odkrycia.

Profesor Kielan-Jaworska wyraziła ubolewanie, że połowa znalezionych kości musiała pozostać w Ulan-Bator, gdzie z braku wykwalifikowanych paleontologów większość tych kości nigdy nie będzie zbadana i sklasyfikowana.

Komputery pomagają krowom

Jednym z najnowszych wynalazków, które mogą znaleźć szerokie zastosowanie w gospodarce mlecznej jest zastosowanie komputera, kontrolującego życie krowy — czyli innymi słowy — „więcej mleka z komputerów“, niższe koszty produkcji i wyższa wydajność.

Pomimo nowych maszyn, używanych w nowoczesnej oborze, wytwórca musi ciągle prowadzić skomplikowaną buchalterię, uwidaczniając ilości mleka, jakie dała każda krowa, a także ilości spożytej przez nią paszy.

Inżynierowi R. Harringtonowi udało się całkowicie zautomatyzować ten proces. Dzięki jego systemowi do farmera należeć będzie tylko czyszczenie obory oraz podłączanie elektrycznej dojarki. Resztę zrobi komputer. Z chwilą gdy krowa wchodzi do obory, mały tranzystorowy nadajnik, przyczepiony do jej ucha transmituje jej imię lub numer komputera, który oblicza ile mleka powinna dać po ostatnim posiłku, ile otrzymało w czasie ostatniego udoju, a także ilość paszy, którą krowa powinna była dostać, aby dać maksymalną ilość mleka.

Przypuszcza się, że dla stada składającego się ze stu krow, koszty instalacji wyniosłyby w walucie angielskiej tylko około £500. Powinny się one zamortyzować w ciągu jednego roku przez zmniejszenie kosztów oraz zwiększoną produkcję mleka. Wynalazkiem tym zainteresowało się już wielu farmerów amerykańskich, a przecież Ameryka uważana jest za kolebkę wszelkiej automatyzacji, dotychczas jednak nikomu nie przyszło do głowy, aby krowy podłączyć do komputera.

Nowa metoda zapobiegania korozji rur

Nową, bardzo taną metodą zapobiegania korozji rur zakopanych pod ziemią, opracowano w ośrodku naukowym w Welwyn-Hall w Anglii. Przypuszcza się, że możnaby było w samej tylko W. Brytanii zaoszczędzić około 5-10 milionów funtów rocznie, taką bowiem sumę wydaje się na reperacje i konserwacje rur, które uległy korozji. Korozja, jak wiadomo, powodowana jest różnego rodzaju związkami chemicznymi, znajdującymi się w glebie, jak też i przez mikroby.

Na nową metodę natrafiono zupełnie przypadkowo, badając stan rur zakopanych w kredzie, zauważono bowiem, że były one prawie całkowicie wolne od korozji. Naukowcy natychmiast zabrali się do pracy. Doświadczenia, jakie przeprowadzili polegały na zakopaniu rur nie pokrytych żadnym środkiem ochronnym, jak również obłożonych kilkucentymetrowymi warstwami kredy — w glebie powodującej szybką korozję. Po trzech latach rury odkopano. Te, które nie były zabezpieczone kredą, zniszczały prawie zupełnie, natomiast rury chronione przez kredę odkopano w doskonałym stanie.

Elektrownie atomowe a trzęsienie ziemi

Czy jest możliwe, aby trzęsienie ziemi spowodowało katastrofę o nieobliczalnych wprost skutkach przez uszko-

dzenie reaktorów, znajdujących się w elektrowniach atomowych? Możemy uspokoić bojaźliwych; odpowiedź bowiem jest negatywna.

Brytyjczy budowniczowie atomowej elektrowni Tokay Mura w Japonii, gdzie trzęsienia ziemi zdarzają się dość często, rozwiązali ten problem w bardzo prosty sposób. W typie reaktora użytego w Tokay Mura napięcie reakcji jądrowej jest kontrolowane przez stalowo-boronowe pręty zawieszony w rdzeniu reaktora. Przez wyciągnięcie prętów z reaktora reakcja zostaje przyspieszona i reaktor rozgrzewa się, lecz dopóki pręty pozostawia się w rdzeniu, reakcja nie zachodzi i reaktor ochładza się.

Trzęsienie ziemi mogłoby spowodować przesunięcie się rdzenia z tym skutkiem, że pręty nie dałyby się opuścić. W takim wypadku, reakcja nie uległaby zatrzymaniu i reaktor rozgrzałby się po za granicę swej wytrzymałości, powodując w końcu wybuch atomowy. Trzeba więc było znaleźć inną metodę. Problem ten rozwiązano w bardzo prosty sposób. Nad rdzeniem reaktora umieszczono zbiorniki z 44 milionami kulek ze stali boronowej. W czasie trzęsienia ziemi, kulki te zostałyby automatycznie wysypane ze swych zbiorników do rdzenia reaktora, co zatrzymałoby natychmiast reakcję. Po trzęsieniu ziemi, jeśli nie było żadnych uszkodzeń, reaktor zostałby na nowo uruchomiony przez usunięcie kulek z rdzenia.

Cieplarnie pod nadzorem komputerów

Już w bardzo niedalekiej przyszłości inspekty, w których hodujemy jarzyny będą kontrolowane przez komputery, co zapewni wyższą jakość produktu oraz większą wydajność. Od dawna było wiadomo, że zwiększona ilość dwutlenku węgla powoduje szybszy i bujniejszy rozwój roślin. Oczywiście nie jest to możliwe do osiągnięcia na zupełnie otwartej przestrzeni. W inspektach natomiast jest to praktycznym przedsięwzięciem. Komputer w tym wypadku czuwałby nad zawartością dwutlenku węgla w powietrzu, a także nad temperaturą, regulując ją w stosunku do pogody na zewnątrz, podobnie jak to dziś robi ogrodnik. Bogate złoża gazu naturalnego, który niedawno został odkryty na dnie Morza Północnego przyczyni się zapewne do spopularyzowania tej metody. Gaz byłby spalany dostarczając ciepła, a dwutlenek węgla — produkt uboczny spalania — byłby wpompowywany do inspektów, dostarczając roślinom wartościowego pożywienia.

W. Lewandowski

„POKOJOWY ŚWIAT“ NIE MIAŁ

DRUGA połowa lata tego roku nie była bynajmniej sezonem ogórkowym, jak to nieraz w sierpniu i początkach września bywa. Zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak wewnątrz wielu państw działo się bardzo dużo. Wojna wietnamska nie tylko nie zwolniła biegu, ale stwierdzono znowu jakieś nowe stopnie jej „eskalacji“. Straty lotnictwa amerykańskiego doprowadziły do tego, że powstał problem braku pilotów, a zbliżające się, jesiennne wybory do kongresu Stanów Zjednoczonych zacieśniły związek między tą wojną a wewnętrznymi nastrojami społeczeństwa amerykańskiego. Popularność prez. Johnsona spadła poważnie i ustawiający się coraz wyraźniej jako jego — krytyczny wobec taktyki wietnamskiej — rywal, Robert Kennedy zaczyna go już rzekomo wyprzedzać.

Na tle takich wewnętrznych antagonizmów Biały Dom odczuł też szczególnie dotkliwie inicjatywę pokojową prez. de Gaulle'a, wysuniętą z okazji wizyty w Kambodży. Ulegająca amerykańskim inspiracjom, prasa zachodnio-europejska i częściowo emigracyjna, polska starała się usilnie wykazywać, że azjatycki fragment podróży prezydenta Francji dookoła świata był zupełnym fiaskiem, ale reakcje samego rządu Stanów Zjednoczonych świadczą o czymś przeciwnym. Nie tylko sekretarz stanu Dean Rusk, ale sam prezydent Johnson uważali za konieczne szczegółowo replikować de Gaulle'owi.

Na ważnym zapleczu Wietnamu w Chinach kierownictwo komunistycznej partii rozpętało „rewolucję kulturalną“, czemu dalej będzie się należała osobna ocena. Tymczasem na południu od Indochin znów grozi komunistyczny zamach w Sawaraku, czyli w tej części Borneo, którą weszła w skład Federacji Malezyjskiej i stanowiła główną kość niezgody między tąże Federacją a Indonezją. Odkąd komuniści zostali w Indonezji rozgromieni i Sukarno w charakterze głowy państwa stał się niemal (ale wciąż „niemal“) figurantem, zdawało się, że spór indonezyjsko-malezyjski zupełnie wygaśnie. Jeśli zapowiedzi rewolty czerwonych w Sawaraku się potwierdzą, będzie to dowodem, że pacyfikacja tamtejszych obszarów nie jest całkowita a rewolucyjna polityka Sukarny nie należy ostatecznie do przeszłości.

NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE
I W AFRYCE

Środkowy Wschód nie był tego lata również terenem sielanki. Strzelaniny na pograniczu — rządzonej od kilku miesięcy przez komunizujących przywódców, przeciw którym zresztą kilku pułkowników spróbowało się ostatnio zbuntować — Syrii oraz Izraela przy-

brały na sile; w Jemenie — wbrew ciągłym zapowiedziom — zamiast normalizacji doszło do nowego konfliktu w łonie obozu republikańskiego, mianowicie między skrajnie uzależnionym od Egiptu marszałkiem Sallalem a rządem, skłonny do większej niezależności; w sąsiednim Adenie Anglicy także nie znaleźli spokoju i prasa musiała z ciężkim sercem i małym drukiem zanotować kilka nowych zamachów na brytyjskich przedstawicieli w tej ważnej, jednej z ostatnich kolonii dawnego imperium.

Dość nieoczekiwanie nabrała też aktualności w omawianym okresie letnim sprawa francuskiego Somali, niewielkiego obszaru kolonialnego nad morzem Czerwonym ze stolicą w Dżibuti. De Gaulle, który odwiedził to portowe miasto przed wizytą w Addis-Abebie u cesarza Etiopii, spotkał się tam z gwałtownymi ruchami, zorganizowanymi przez zwolenników połączenia się z niepodległym już od kilku lat państwem Somali. Z kolei jednak Etiopia, ustami swego cesarza, zgłosiła także swoje pretensje do Dżibuti, co spotkało się z bardzo pojednawczym stanowiskiem de Gaulle'a. Oświadczył, że w razie wypowiedzenia się ludności kolonii za niepodległością Francja nie będzie stawiała przeszkód. Ustępliwa postawa francuska nie zapewnia jednak ugodowego załatwienia tej sprawy, ponieważ wtedy dopiero spór somalijsko-etioipski wejdzie w fazę ostrą i prowadzić może łatwo do krwawego, wojennego konfliktu. Rząd Somali ulega bowiem w znacznym stopniu wpływom komunistycznym, które chętnie rozpętały by wojnę z tradycjonalistyczną, chrześcijańską oraz prozachodnią Etiopią.

Na innych obszarach „czarnego ładu“ najjaskrawszy do zanotowania jest fakt zamordowania pld. afrykańskiego premiera Verwoerda, który już kilka lat temu był przedmiotem zamachu i zaledwie został utrzymany przy życiu. Tym razem morderca był precyzyjniejszy i zadał szefowi rządu sztyltem trzy ciocy, z których — według lekarzy — każdy był śmiertelny. Bezpośrednio po zamachu ogłoszono, jakoby był to czyn indywidualny człowieka rzekomo umysłowo nienormalnego. Dalsze informacje o 48-letnim Demetriosie Tsafendasie wskazują raczej na to, że był czymś, starannie zakonspirowanym agentem. Okazało się, że używał kilku nazwisk, że był kilkakrotnie w rozmaitych krajach aresztowany, że przy jednym z aresztowań znaleziono przy nim kilka paszportów na różne nazwiska oraz wiele gotówki w rozmaitych walutach.

Pozostaje też zagadką, jak człowiek o takiej przeszłości mógł się dostać — bez jakiegokolwiek zorganizowanego poufnie poparcia — na funkcję wóznego parlamentu, mogącego poruszać się wśród kierowniczych polityków państwa. Następcą zamordowanego premiera został John Vorster, dotychczasowy minister sprawiedliwości, który zapowiedział kontynuację polityki poprzednika. Uważany on jest za, jeszcze bardziej zdecydowanego od Verwoerda, zwolennika „apartheidu“.

RODEZJA

I INNE KŁOPOTY LONDYNU

W nową fazę konfliktu weszła ostatnio sprawa Rodezji, która była głównym tematem narady premierów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, odbytej w pierwszej połowie września, w Londynie. Afrykańscy premierzy Wspólnoty pchają rząd londyński do zaostrzenia sankcji lub nawet do użycia przeciwko rządowi Smith'a siły, podczas gdy opinią brytyjską jest raczej za ugodowością i szukaniem z rodezyjskimi pobratymcami kompromisu. Premier Wilson znajduje się więc między młotem a kowadłem i może szukać chyba najwyższej wyjść tymczasowych, odlekających decyzję i połowicznych. Przypisuje mu się dużą zasługę, że znalazł jakieś kompromisowe prowizorium również na ostatniej konferencji premierów Wspólnoty, ale nikt nie sądzi, że wkroczył tak na drogę istotnego rozstrzygnięcia problemu rodezyjskiego. Przeciwnie nawet, wysuwane są przypuszczenia, że rząd Smith'a przygotowuje ogłoszenie republiki i całkowite zerwanie w ten sposób z Londynem.

Sprawa rodezyjska nie jest zresztą jedynym, ani nawet najważniejszym kłopotem gabinetu socjalistycznego. Walka o zamrożenie płac pracowniczych ze związkami zawodowymi, konieczne — zdaniem rządu — dla obrony funta i utrzymania równowagi ekonomicznej kraju, stanowi główną trudność Wilsona. Wrześniowy kongres związków zawodowych stosunkowo małą większością przegłosował poparcie polityki płac. Opozycja jednak byłego ministra Cousins'a, który ustąpił na tym tle z rządu, jest poważną przeszkodą i zagrożeniem finansowego programu rządu Partii Pracy. Rozwijające się na skutek tego programu i przewidywane zresztą bezrobocie zaczyna już pogłębiać krytycyzm wobec polityki Wilsona w brytyjskim społeczeństwie. Mimo tych trudności, wydaje się prawdopodobne, że funt

LETNICH WYWCZASÓW

szerling nie zostanie zdewaluowany i kryzys gospodarki brytyjskiej będzie opanowany.

W ZACHODNICH NIEMCZECH I SZWECJI

Także w innych państwach europejskich okres wakacyjny zaznaczył się niemalymi kłopotami. W Niemieckiej Republice Federalnej konflikt między cywilnym ministrem obrony Hasselem a czolowymi generałami doprowadziło do zachwiania pozycji kanclerza Erharda i sprowadził już jedną dymisję ministerialną. Pod naciskiem ataków na szefa rządu ustąpił jego zaufany i najbliższy od wielu lat doradca minister Westrick. Nie poprawiło to jednak pozycji samego Erharda, któremu po tej dymisji zarzucono z kolei, że opuścił wiernego przyjaciela. Korespondenci zachodni z Bonn uważają powyższe fakty za możliwy wstęp do poważniejszego kryzysu gabinetowego, którego ofiarą byłby min. Hassel. Mogło by to utworzyć drogę jego poprzednikowi, wybitnemu przywódcy bawarskich chrześcijańskich-socjalnych demokratów — Straussowi.

Także w Szwecji zapowiadają się wewnętrzne zmiany polityczne. Rządząca tam od 34 lat socjalna-demokracja poniosła we wrześniowych wyborach samorządowych tak znaczną klęskę ze strony konserwatywno-liberalnej opozycji, że premier Erlander sam wspomniął o możliwej konieczności rychłych wyborów do parlamentu, chociaż obowiązkowo ich termin przypada dopiero w roku 1968. Szwecja w ten sposób zdaje się iść w ślady Norwegii, gdzie ostatnio zablokowane partie opozycyjne przełamały z górą 30-letnie panowanie socjalistów.

PRZECIW OSI WASZYNGTON—MOSKWA

Wspomniana już podróż afrykańsko-azjatycko-polinezyjska prez. de Gaulle'a, który po wizytach w Dżibuti, Etiopii i Kambodży udał się na płd.-wschodni Pacyfik, celem przyjrzenia się nowemu wybuchowi próbnemu francuskiej bomby atomowej, ożywiła znowu dyskusję nad istotą międzynarodowej polityki prezydenta Francji.

Jak pamiętamy w lipcu de Gaulle odbył kilkunastodniową podróż po Sowiech, a ostatnio w stolicy Kambodży, Phnom Penh, wygłosił głośną mowę, wysoce krytyczną w stosunku do amerykańskiej polityki na terenie Indochin, zwłaszcza w Wietnamie. Jak wiadomo,

w ramach tej samej linii francuskiej, minister spraw zagranicznych Couve de Murville odwiedził w ciągu ostatniego roku kolejno wszystkie stolice komunistycznych reżymów satelickich, kończąc ten objazd we wrześniu wizytą w Jugosławii. Równocześnie postępuje proces usuwania się Francji z organizacji wojskowej Traktatu Półn. Atlantyckiego bez opuszczania jednak zarazem politycznego Przymierza Atlantyckiego, co wyraźnie sam de Gaulle oraz ministrowie francuscy stanowczo podkreślają.

Komentatorzy powyższej polityki międzynarodowej de Gaulle'a w Stanach Zjednoczonych i W. Brytanii oraz większość publicystów emigracyjnych polskich widzi jej sens istotny i cechę specyficzną w pozytywnym stosunku do Rosji Sowieckiej i w rachubach na ewolucyjne procesy komunizmu, na postępującą jakoby niezależność europejskich reżymów satelickich Moskwy. Jeden z polskich dziennikarzy londyńskich nazwał w związku z tym linię de Gaulle'a „polityką ruchu“. Wydaje mi się, że powyższe ujęcia nie oddają bynajmniej istoty rzeczy. Prezydent Francji nie jest jedyny, ani tym bardziej pierwszy w swoich zbliżeniach do Rosji i rzekomych rachubach na „ewolucję“ komunizmu. Przesłankami tymi kierowała się i kieruje oddawna przede wszystkim polityka amerykańska koegzystencji pokojowej z Sowiecami i amerykańscy teoretycy z amb. Kennanem na czele opracowali tę doktrynę. Także idea „pomostów“ poprzez żelazną kurtynę do satelickich reżymów komunistycznych, której wyrazem były wspomniane podróże ministra Couve de Murville'a, nie jest dziełem ani wynalazkiem francuskim. Także na tym polu Paryż stał do niefortunnego wyścigu z Waszyngtonem, gdy rząd Stanów Zjednoczonych wplątał się w wojnę wiet-

namską, zawiesił swoją aktywność na naszym kontynencie europejskim.

Myślą przewodnią zagranicznej polityki de Gaulle'a jest więc, moim zdaniem, rozwijanie inicjatyw, które podważyły by hegemonię amerykańsko-sowiecką nad kulą ziemską, ufundowaną w rezultacie ostatniej wojny przez Roosevelta i Stalina w Teheranie i Jałcie. Podział Europy na sowiecką i amerykańską strefę wpływów był i ma pozostać głównym wyrazem światowej dominacji osi Waszyngton-Moskwa i przeciw tej hegemonii zwrócona jest strategia de Gaulle'a.

NOWA FAZA FERMENTÓW W KOMUNIZMIE

Najważniejszym wreszcie faktem ostatnich tygodni jest pełne ujawnienie charakteru i głębi wewnętrznego fermentu w partii chińskiej. Do niedawna wewnętrzny kryzys w komunizmie rozumiany był przede wszystkim jako konflikt między komunistami sowieckimi a chińskimi oraz zapowiedź zerwania osi Moskwa-Pekin. Ostatnio centrum kryzysu przeniosło się ze stosunków między partiami ruchu światowego do wewnątrz partii chińskiej.

Radykalne zmiany w kierownictwie pekińskim, powołanie „czerwonej gwardii“ i hasła „kulturalnej rewolucji“, konflikty między poszczególnymi osobistościami i organizacjami komunizmu chińskiego, to wszystko dowodzi istnienia tam głębokich przeciwieństw, których opanowanie przez Mao-Tse-tunga nie może być uważane za pewne. Sytuacja dla „numeru pierwszego“ w czerwonym Pekinie jest tym groźniejsza, że prawie wszystkie już partie komunistyczne przeszły na stronę sowiecką i chińska pod jego przywództwem znalazła się w zupełnym odosobnieniu.

Czy schorowany i stary Mao-Tse-tung, mimo rozwiniętej ostatnio rozpaczliwej energii zdoła opanować sytuację? Czy nie zanosi się na zmianę kierunku albo i kierownictwa w Pekinie?

Zdzisław Stahl

W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ ZGONU

Ś. † P.

Prof. Dr. H. C. IGNACEGO MOŚCICKIEGO

Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zostanie odprawione nabożeństwo żałobne za spójność Jego duszy w kościele parafialnym w Versoix w sobotę, 1 października 1966 roku o godz. 15.30, przez Księdza Proboszcza Paul'a Birraux, o czym zawiadamiają

MARYA MOŚCICKA

i

ZARZĄD S. P. K. W SZWAJCARII

Położenie płyty pamiątkowej na grobie nastąpi w terminie późniejszym, o czym osobno zawiadomimy.

Z ŻYCIA

POLSKIEGO

W ŚWIECIE

OBRAZ

MATKI BOSKIEJ KOZIELSKIEJ W MARAYONG

Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Australii postanowiły ufundować dla kaplicy polskiej w nowo-budującym się kościele w Marayong obraz Matki Boskiej Kozielskiej.

Replikę tego obrazu wykonał płk. Alfred Schmidt, z Osiedla Polskiego Pernhos w Anglii. Kościół w Marayong jest już na ukończeniu. Instalacja obrazu w Polish War Memorial Chapel nastąpi jesienią bieżącego roku.

INSTYTUT POLSKI DZIĘKUJE

Potwierdzając odbiór dotacji Zarządu Federacji SPK w kwocie £50.0.0. kierownictwo Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego nadesłało pismo następującej treści:

„Spieszmy złożyć Panom szczerze wyrazy wdzięczności za stałą pamięć i życzliwość. Pragniemy podkreślić, że w dużej mierze, dzięki ofiarności naszych przyjaciół, którym troska o byt ośrodka myśli polskiej na obczyźnie i domu pamiętek narodowych leży na sercu — Instytut istnieje i może kontynuować swoją działalność. Do tych wypróbowanych przyjaciół zaliczamy Zarząd Federacji Światowej SPK“.

PIELGRZYMKĄ DO CARFIN

Carfin leży w Szkocji, w hrabstwie Motherwell. Jest to miejsce znane z kultu maryjnego z grotą na wzór grotty w Lourdes oraz małym kościółkiem obok. Pielgrzymki polskie do Carfin zapoczątkował przed 25 laty ks. Gawlina, podówczas biskup połowy wojska polskiego. Od tej pory nieprzerwanie raz do roku Polska Misja Katolicka organizuje uroczystość polską w Carfin.

Tegoroczna pielgrzymka zorganizowana 28 sierpnia miała szczególnie podniosły charakter ze względu na uroczystości Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej. W części świeckiej do zebranych przewodniczący Komitetu Millennium na Szkocję i prezes Koła SPK nr. 105 kol. M. Brodziński, który w imieniu pielgrzymów polskich złożył hołd narodowi w kraju oraz jego przy-

wódcom duchowym z Prymasem Polski Kardynałem Stefanem Wyszyńskim na czele. Kol. Brodziński odczytał także listy księży arcybiskupów: Bolesława Kominka i Antoniego Baraniaka, nadesłane w odpowiedzi na przesłane do nich homagia Polaków ze Szkocji.

Zakończenie uroczystości milenijnych w Szkocji nastąpi 27 listopada. Wezmą w nich udział m. in. arcybiskupi Edynburga i Glasgow oraz ks. biskup Władysław Rubin, któremu Polacy w Szkocji wręczą czek na £1000 z przeznaczeniem na wykształcenie kleryka polskiego w seminarium duchownym.

MILENIJNA

WYSTAWA FILATELISTYCZNA W BUFFALO

Polski Klub Filatelistyczny w Buffalo, który w tym roku obchodzi 5-lecie swego istnienia, organizuje w dniach 30.IX. do 2.X.1966 Wystawę Filatelistyczną z okazji Millennium. Otwarcia wystawy, która odbędzie się w salach Koła Dramatycznego im. A. Mickiewicza w Buffalo dokona Ks. Biskup Władysław Rubin, objeżdżający w zastępstwie Prymasa Kardynała Wyszyńskiego ośrodki polskie w Stanach Zjednoczonych.

Klub wydaje z tej okazji kolorowe koperty z znaczkiem wypuszczonym z okazji Millennium Polski przez pocztę Stanów Zjednoczonych.

Cena koperty wraz z przesyłką lotniczą wynosi 50 ct. (pół dolara). Zamówienia wraz z międzynarodowymi kuponami pocztowymi względnie przekazami pieniężnymi należy kierować na adres prezesa Klubu:

Mr. K. Włoch, 460 Wilson Street, Buffalo, N.Y. 14212, U.S.A.

O POMOC

DLA GIMNAZJUM POLSKIEGO W LES AGEUX

Niejednokrotnie na łamach pism polskich pojawiają się apele o pomoc dla naszych placówek oświatowych, zagrożonych w swej egzystencji brakiem niezbędnych funduszy. Jeden z takich głosów, który powinien dotrzeć do możliwie najszerszych rzesz Polaków w świecie i trafić do ich serc przychodzi od kierownictwa Gimnazjum i Liceum Polskiego w Les Ageux we Francji.

Powolały je do życia przed 20 laty polskie władze wojskowe, a po dzień dzisiejszy prowadzą je profesorowie i wychowawcy b. żołnierze Polskich Sił Zbrojnych. Polska szkoła średnia we Francji ma charakter ogólnie-emigracyjny. Korzysta z niej bowiem młodzież kilkunastu krajów polskiego osiedlenia.

Mało jest celów w obecnym roku milenijnym tej miary i doniosłości co

o pomoc dla tego zakładu oświaty naszej za granicą. Mówiąc o utrzymaniu polskości w rzeszach emigracyjnych powinniśmy w pierwszym rzędzie wiązać każdą akcję w tym kierunku głównie i przede wszystkim z zapewnianiem środków dla takich placówek jak ta w Les Ageux. Od tego ilu młodych Polaków z nich wejdzie w życie, zależy będzie znaczenie imienia polskiego w świecie.

Dla tych, którym te słowa zapadną głębiej w duszę podajemy adres:

Collège et Lycee Polonais, Les Ageux, Oise, France.

ZJAZD SPK MADE IN SHEFFIELD

W ciągu 20 lat istnienia Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w W. Brytanii coroczne zjazdy tej organizacji odbywały się z reguły w Londynie. W sumie było ich dotychczas 19, z czego na Londyn przypadło aż 17. Tylko dwa miasta prowincjonalne — Manchester w r. 1960 oraz Rugby w r. 1965 — zapisały się jako wyjątki w dotychczasowej... gramatyce zjazdowej. W tym roku przybywa trzeci ośrodek prowincjonalny, mianowicie Sheffield, w którym tamtejsze Koło SPK będzie pełnić rolę gospodarza sejmiku kombatantkiego w dniach 7 i 8 października br.

Sheffield to jedno z tych miast, które znalazły idealny sposób reklamowania się nie płacąc ani pensa dziennikom czy lordom telewizji. Kto z nas nie miał w rękę choć raz w swym życiu noża, żyłki, nożyczek czy jakiegos instrumentu chirurgicznego, na którym nie widniałby napis: „Made in Sheffield, England“. Wielkie centrum przemysłu metalurgicznego i hutniczego, znane szczególnie z fabryk nakryć stołowych, narzędzi tnących oraz chirurgicznych, liczy ponad pół miliona ludności, w tym chyba nie więcej, jak około 1000 dusz polskich.

Podczas gdy o wyborze Manchesteru i Rugby na miejsca zjazdu decydowały okazje specjalne, mianowicie, w pierwszym wypadku był on połączony z manifestacją ogólnopolską z okazji złożenia w kościele polskim urn z ziemią z pobojuwisk i przyjazdem ks. arcybiskupa Józefa Gawliny, w drugim chodziło o upamiętnienie otwarcia Domu Kombatanta, zbudowanego dużym wysiłkiem całego środowiska polskiego w Rugby, tak tym razem do głosu doszły głównie natury praktycznej. Ze względu na prawie centralne położenie Sheffieldu, ciężary finansowe obciążenia zjazdu, ponoszone przez koła, rozłożyła się sprawiedliwiej. Zresztą, polski Londyn odczuwa w tym roku, niewątpliwie, pewien przesyt zjazdowy i uroczystościowy, jeśli zważyć, że nie tak dawno odbywał się tam Zjazd Polski Walczącej, Światowy Zjazd

SPK, a wreszcie centralne uroczystości milenijne.

Za wyborem każdego roku innych miejsc zjazdu przemawia w dużej mierze atrakcyjność takiej imprezy dla miejscowego środowiska polskiego. Pobyt kilkudniowy około setki przedstawicieli polskiej organizacji społecznej na pewno ożywia atmosferę życia zbiorowego i dostarcza mu pożytki do myślenia i mówienia na ten temat.

Dobrze się stało, że Koło SPK w Sheffield będzie miało okazję w tym roku zabłysnąć talentem organizacyjnym wobec kolegów z innych miast wysp brytyjskich. Ma ono za sobą długą, bo 18-letnią tradycję pracy społecznej, dysponuje własnym domem kombatananta, ostatnio rozbudowanym, dorośliło się sztandarowi organizacyjnego, którego poświęcenie odbyło się w październiku roku ubiegłego.

Zjazd tegoroczny ma wszelkie dane, by zapisać się w pamięci uczestników i w kronikach Stowarzyszenia trwalej, niż wiele poprzednich. Wokół nas, Polaków, ciągle jeszcze roztacza się nastrój tyśiącletniej rocznicy naszego kraju rodzinnego, upamiętnianej niemal wszędzie solennymi uroczystościami i przeróżnymi próbami pozostawienia na pamiątkę jakiegoś trwałego pomnika tej wielkiej daty historycznej. Zarazem rok 1966 na pewno nie jest ani szary ani zaciszny w życiu SPK, które właśnie obchodzi 20-tą rocznicę swego istnienia. Jakkolwiek w łonie Stowarzyszenia nie było próby mocniejszego podkreślenia tej daty, a raczej tendencja przygotowania się do niedalekiej już dwudziestej piątej rocznicy, to nie mniej jest ona słupem milowym, który nie wiadomo czy się już powtórzy. Dlatego co najmniej jedna refleksja narzuca się sama przez się: przyszłość Stowarzyszenia, w ramach obszerniejszego zagadnienia, którym jest dalszy los polskiej emigracji niepodległościowej. Sprawa nie nowa, ale ciągle jeszcze nie przeistoczona z teorii w skuteczne formy praktyczne i dlatego na zbliżającym się zjeździe chyba wysunie się na czoło debat. Nie braknie również innych tematów społecznych i tych z własnego podwórka i ogólnopolskich. Zjazd więc powinien być i ciekawy i pożyteczny.

KOŁO JAKICH MAŁO

Jest to jedno z tych kół SPK, które ma na świadectwie z góry na dół bardzo dobre. Jego siedzibą jest miasto Stafford, w środkowo-zachodniej Anglii, stolica hrabstwa o tej samej nazwie. Liczy ono około 60 członków, jego prezesem jest już po raz 16-ty kol. F. Bolechowski.

Koło opiekuje się ni mniej ni więcej tylko sześcioma szkołami nauczania

przedmiotów ojczyustych: w Stafford, Seighford, Little Onn, Rudgeley, Blackshaw Moor, Bidduleh. Koło—kuratorium, którego członek kol. Z. R. Luszowicz, nauczyciel w jednej ze szkół angielskich Staffordu, w soboty dosiada swego motocykla i odwiedza w roli inspektora, każdy z wymienionych punktów nauczania. Jeśli go kiedy spotkacie uściśnijcie mu serdecznie dłoń, bo takich siłaczy w kocu maku szukać. Hrabstwo pomogło w roku ub. owym 6 szkołkom sobotnim, dotacją w wysokości £332.

Miasto Stafford, dzięki Kołu Polskich Polskich Kombatantów, włączyło do stałych czynności w urzędowym kalendarzu magistratu wywieszanie, na gmachu Guild Hall'u polskiej flagi w dni świąt narodowych. Jedyne miasto w Anglii, które w tak dobitny sposób daje wyraz swym uczuciom wobec Polaków. Nic dziwnego, że Polacy ze swej strony odwzajemniają te uczucia. Zmarły niedawno lord mayor miasta C. E. Fowke oraz Town Clark T. Z. Nowell zostali odznaczeni krzyżem Polonia Restituta.

Koło przemyśliwa nad nabyciem lokalu, który mógłby ewentualnie służyć celom miejscowej parafii polskiej. Obecny Zarząd dzielnego Koła nr. 242 w Stafford; F. Bolechowski — prezes; członkowie — K. Bolechowska, T. Cymbaluk, mgr. Z. R. Luszowicz, inż. Łój, B. Maciejewski i mgr. Z. Sawko.

DZIESIĘCIOLECIE KOŁA SPK PERTH

W sierpniu br. Koło SPK Perth w Zachodniej Australii obchodziło 10-lecie swego istnienia i działalności. Założyło je 44 (liczba mickiewiczowska) b. żołnierzy „wiernych tradycjom Wojska Polskiego i gotowych do dalszych ofiar o odzyskanie prawdziwej wolności i niepodległości naszej Ojczyzny“. Istotnie, Koło to nigdy nie zapomniało owej deklaracji ideowej i zdołało w ciągu długich dziesięciu lat nagromadzić dorobek społeczny godny szczerzej zazdrości. Sprawowało opiekę nad trzema szkołami przedmiotów ojczyustych, pomagało w organizowaniu kolonii letnich, troszczyło się o drużyny sportowe i harcerskie, fundowało stypendia dla młodzieży polskiej studiującej na uniwersytecie w Perth, prowadziło własny teatr, organizowało audycje radiowe, uroczystości narodowe, wieczorki towarzyskie, wydawało własny biuletyn. Posiada sprawnie działający i wcale zasobny fundusz „Samopomocy Koleżeńskieją“. Koło z poświęceniem zbiera ofiary na inwalidów P.S.Z.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

Dumą Koła jest sztandar otrzymany w darze od społeczeństwa polskiego w Zachodniej Australii. Koło zaś i jego dzielny Zarząd są dumą wiotysięcznej rzeszy kolegów zgromadzonych w 200 innych Kołach Stowarzyszenia w świecie

Prezesem Koła jest kol. J. Rędziejowski, z którego energii i pracowitości Koło czerpie swe soki żywotne. W uznaniu zasług na polu społecznym Zarząd Federacji SPK nadał kol. Rędziejowskiemu oraz kol. E. Wawrykiewiczowi złote odznaki honorowe, zaś kolegów: inż. W. Blotnickiego, W. Gumińskiego, inż. E. Hardy, Z. Królikowskiego oraz R. Florka wyróżnił nadaniem srebrnych odznak SPK.

Koło nr 9 w Perth życzymy następnym chlubnych 10 lat!

DOM KOŁA SPK NR. 31 W CHICAGO

Koło im. 2 Korpusu w Chicago posiada już własną siedzibę przy 2914 W. North Avenue, naprzeciw Parku Humboldta.

Dom został nabyty, odnowiony i urządzony dzięki wielkiej ofiarności członków Koła, którzy przez kilka tygodni z zapalem pracowali nad przystosowaniem go do potrzeb społecznych. Poświęcenia Domu dokonał ks. biskup Alojzy Wyciśło. Nowy Dom — jak to oświadczył prezes Koła nr. 31 kol. Władysław Stępień — będzie służył nie tylko kombatantom, ale także innym organizacjom, a w szczególności młodzieży.

ZJAZD KRAJOWEGO SPK W AFRYCE POŁUDNIOWEJ

Zjazd SPK w Afryce Południowej odbył się 10 lipca br w Johannesburgu. Prezesem Zarządu Krajowego został wybrany kol. S. Smoleniec. Pozostali członkowie nowego Zarządu: A. Madeyski — wiceprezes; S. Szewczykowski — sekretarz; B. Ruchałowski — skarbnik; J. Grabowski — kier. oświaty oraz kol. I. Nitosławski — ref. do spraw emigracyjnych.

NOWY ZARZĄD W OSŁO

Samodzielne Koło SPK w Norwegii na swym dorocznym walnym zebraniu wybrało Zarząd w składzie: kol. J. Mościcki — prezes, kol. Kruk — wiceprezes, kol. Kunert — sekretarz, kol. Łubiński — skarbnik, oraz kol. Rzymyk — członek Zarządu.

Koło zamierza zorganizować w listopadzie br. uroczystość poświęconą Tyśiącleciu Polski Chrześcijańskiej. Prawdopodobnie weźmie w niej udział Ks. Biskup W. Rubin, który będzie obecny w tym okresie w Szwecji na podobnym obchodzie.

Ż R E B I Ę C A MINI- MODA

MODA się dziwaczy. Może. Ale są dziwactwa mody brzydkie i bez sensu, jak np. okrzyczany w poprzednich sezonach „topless“ i są pełne żrebięcego wdzięku, jak mini-sukienczki, mini-spódniczki, mini-płaszczki ostatniej kolekcji.

Nigdy pewno dziewczyna, szczupła, długonoga dziewczyna, nie przypominała tak bardzo młodego, płochego zwierzątka, jak dziś, z długą grzywą prostych spadających na oczy włosów, (które udają, że nigdy nie знаły ani nożyc, ani upału fryzjerskich hełmów) w króciutkiej spódniczce, małym, głu-pawym sweterku, (który zresztą kosztuje niezły majątek) w matowych, naiwnych (ogromnie drogich) pończosz-kach i płaskoobcasowych, okrągłono-sych pantofelkach, sabotkach.

Dziwna, wdzięczna moda. Stworzona przez młodych, dla młodych — bardzo młodych. Jakiś przedziwny sekret ekonomii, tych niesamowitych lat naszego stulecia, sprawia, że najbardziej wziętą klientelą domów mody, są ...nastolatki, prawie dzieci. Ach, nie! pomyliłam się. Nie można dziś pisać o domach mody — wyszły z mody. Mowa dziś o „boutiques“, o „ateliers“ o Prêt à Porter“: czyli „Haute Confection“. Jednym słowem, o tych dziwnych instytucjach, o których wie ulica, młoda kilkunasto-letnia ulica, której nazwiska Courreges, Mary Quant, Paco Rabanne czy Hardy Amies znaczą więcej niż legendy Diora, Patou, czy Balenciagi.

Zresztą fakty mówią same za siebie. Jak pisze najlepsze na świecie kobiece pismo francuskie „Elle“, w tym roku nie Haute Couture będzie reprezentować francuską modę w Ameryce. Jesienny bal, zaczynający nowojorski sezon to-warzyski otworzy kolekcja francuskiej „Prêt à Porter“.

Mówiłam już, że najbardziej wziętą klientelą, dyktującą kanony mody, wydającą majątki na najbardziej ekscen-tryczne modele — raczej przebrania niż ubrania — są młodzi. Wiek tych klientów rzadko przekracza 25 lat. Nic w tym dziwnego. Żyje w nich dzień dzisiejszy, jutrzejsza „party“, op-art, pop-music i własne, niczym nie skom-plikowane Ja. Klientela ta zarabia nie-źle, wydaje niewiele, żyje u taty — ma-my, albo samotnie — herbatą, sandwi-czami i pigułkami „purple heart“ — ubiera się w najnowsze modele, jeszcze gorące z pod krawieckiego żelazka, nie-zależnie od ich ceny. Warto dla takich tworzyć i warto się dziwaczyć.

Ale to bardzo trudna moda. Aby ją nosić trzeba nie tylko mieć dużo pie-niędzy i mało lat. Trzeba też mieć no-gi, które można pokazać prawie do bioder, i resztę, która do tych nóg pa-suje. (Twarz nie ważna. Na własnej, byle jakiej, śmiały maquillage i dużo

odwagi cywilnej, może stworzyć wspa-niałe arcydzieło op-art.) Nawet lanso-wane przez Diora długawe grenadier-skie płaszcze, wymagają albo drogiego, wspaniałego buta, albo świetnie wykoń-czonej kostki.

Mówiąc nawiasem, wyczyny diorow-skie są jakąś powrotną, słabiutką falą new-looku sprzed dwudziestu lat. Tyl-ko, że... Maison Dior, to nie to samo co Christian Dior! Brakło talentu i autorytetu wizji, która potrafiła lanso-wać całkowicie inną sylwetkę od tej, ja-ka się od lat utrwałała.

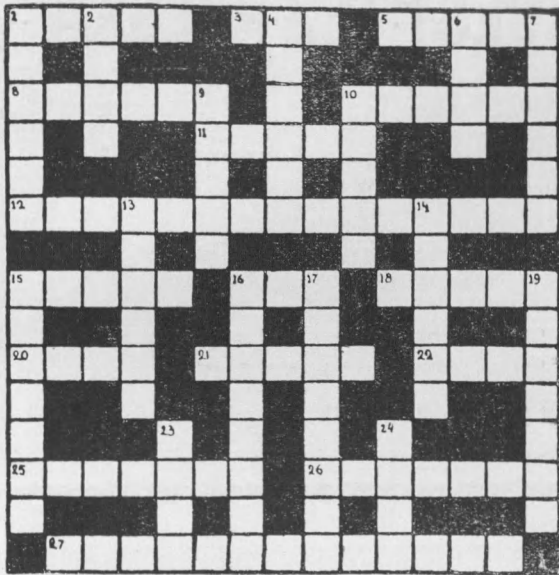
Zresztą Carnaby Street, Mecca szcze-niackiej mody w Londynie, protestowa-ła pochodem z transparentami, prze-ciwno zamachowi mini-długość. Jak twierdzą niektórzy londyńscy karyka-turzyści City, dzielnica wielkich ban-ków protestowała takim samym pocho-dem przeciwko wyczynom Hardy Amies w dziedzinie mody męskiej. Se non e vero...?

No świetnie, ale co w tym szale mini-latków mamy robić my, kobiety w różnym stopniu dojrzałości? Moim zdaniem ogromnie uważać. Przede wszystkim na proporcje: Długość spó-dnicy w stosunku prostym do ilości lat. (W którym wieku zacząć tę równo-wagę stosować, zostawiam indywidual-nej dyskrekcji, ale w jakimś momencie trzeba się na to zdobyć). Poza tym na żelazne proporcje geometrii — stosu-nek długości spódnicy do szerokości bio-der (bez komentarzy —). No i na nogi, najważniejszy problem dzisiej-szej mody... Pani o wątpliwych kola-nach radzę spodnie. Ze złotej lamy, ze srebrnego plastyku, rozszerzane, zwę-żane — jakie chce, byle ukryć defekty tego ważnego stawu. Pani o... niedbale wykończonych kostkach — wysokie bu-ty. Drogo kosztują, ale... Pani o no-gach jak doryckie kolumny ... mój Bo-że! raczej położyć nacisk na efektowny kapelus!

Tak, to bardzo trudna moda...

Alina Cybulska

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, k-to pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — wględnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) zamieszanie w naturze lub w polityce; 3) i 16) przyprawa; 8) podaje ciśnienie; 10) ulega jej wszystko; 11) można go złożyć lub można je przekazać; 12) urzeczona figura geometryczna? — na scenie polskiej; 15) „Czyliś na szczęśliwe... zaprowadzona?” (Kochanowski); 18) wysoki dostojnik wschodni (wspak); 20) i 22) dobrowolnie się zgłasza; 21) musi się dla niej porozumieć najmniej dwóch (wspak); 25) zaopatrzenie członków rodziny królewskiej (wspak); 26) uporządkowane cyfry (wspak); 27) opera Wagnera (8,5).

Pionowe: 1) miasto w okolicy Łodzi; 2) z jednej strony lufy; 4) król polski, który

wprowadził urząd starostów; 6) porównują go z pieniądzem; 7) wolno w muzyce; 9) legendarny król brytyjski (wspak); 10) wiadomy; 13) potrzebny do wystrzału; 14) podziemie kościoła lub zamku; 15) model; 16) psotnik, choć już nie dziecko; 17) rodzaj kalendarza; 19) gimnastyczne tłumaczenia?; 23) i 24) niedaleko Brukseli i na południu Londynu.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 585/66

Poziome: 1) żupan, 3) i 16) Samson, 5) tykwa, 8) grzech, 10) sporny, 11) uroda (wspak), 12) wyrzuty sumienia, 15) i 18) podkomorzy, 20) Deus, 21) ćwiek, 22) jawa, 25) korowód, 26) Rawenna, 27) skomplikowany.

Pionowe: 1) żagiew, 2) i 6) przekora, 4) Sforza (wspak), 7) asysta, 9) hafty, 10) surmy, 13) zakusy, 14) emocja, 15) podwika, 16) szwindel, 17) nieborak, 19) kantaty (wspak), 23) mowa (wspak), 24) Lwów.

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRETOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5
Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

fraszki

Mędrca szkiełko... (albo Wiedza a instykt)

*Świat się cały uczonych twierdzeniami krzepi,
Że jest już znakomicie, ale będzie lepiej,
Że rok każdy postępu ludzkości przysporzy —
A ja wiem, że jest kiepsko, ale będzie gorzej.*

Moja teoria przestępczości

*Kto ma do czego zamilowanie,
Ten z dobrej woli nie zaprzestanie.*

Naukowa podstawa neutralności

*Neutralność: polityka dobrze obmyślona,
Bo pieniądze ci daje ta i tamta strona.*

RAWICZ

JUŻ W POCZĄTKACH LISTOPADA UKAŻE SIĘ

Kalendarzyk Kombatanta na rok 1967

Zawiera m.in. bogaty dział adresowy organizacji, instytucyj, urzędów oraz firm handlowych we wszystkich krajach polskiego osiedlenia.

„KALENDARZYK KOMBATANTA” — ma od dawna ustaloną renomę i jest nieodzownie potrzebny każdemu Polakowi na emigracji.

Zamówienia prosimy kierować do:

**KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,
L o n d o n , S. W. 7.**

CENA 1 EGZEMPLARZA WRAZ Z PORTEM 6 SZYLINGÓW

PAŹDZIERNIK —
„MIESIĄCEM INWALIDY“

J. E. Ks. Biskup W. Rubin, Delegat Prymasa Polski dla Polaków na Uchodźstwie w czasie jednej z uroczystości w Domu Inwalidy w Anglii powiedział:

„...Pomoc dla inwalidów wojennych będzie zawsze leżeć mi na sercu. Wasz udział w wysiłku wojennym był wielki. Dziś również dużo dajecie: ból, cierpienia spowodowane Waszymi ranami, to wszystko liczy się u Boga... Jaśno dowód mej życzliwości dla Was udzielam Wam mego błogosławieństwa...“

Związek Inwalidów Wojennych P.S.Z. we Francji zwraca się do Was z gorącym apelem o składanie ofiar pieniężnych na pomoc inwalidom i wdowom wojennym.

Wielu z nich utraciło całkowitą lub częściową zdolność zarobkowania. Dla ulżenia ich doli Związek nasz corocznie przeprowadza akcję zbiórkową pod nazwą:

„MIESIĄC INWALIDY“

Dochód z tej zbiórki jest przeznaczony przede wszystkim i wyłącznie na bezpośrednią pomoc pieniężną tym inwalidom i wdowom wojennym, którzy tej pomocy najbardziej potrzebują.

Pomoc pieniężną prosimy uprzejmie przysyłać na konto pocztowe Naszego Związku (C. C. P. PARIS 7913—93 — Union des Mutilés de Guerre Polonais en France, 15, rue St. Gilles, Paris 3e), lub czeki itp. na adres Związku z zaznaczeniem „Ofiara na Miesiąc Inwalidy“.

Z góry serdecznie dziękujemy!

Zarząd P.Z.I.W.
we Francji

MOŻESZ WYSLAĆ

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

Lekarstwa

żywność

Pieniądze

Owoce

Ortaliony

(bez podpink i z podpinką)

i tak dalej

Każdy artykuł do wyboru

JESLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

ZA BUGIEM JEST TEŻ POLSKA

Ukazała się książka Józefy Mękarskiej: „WEDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ“. Książka ta daje prawdziwą panoramę ziem wschodnich, mówi o ich przeszłości, o ich wkładzie do historii i kultury polskiej, wskazuje nierozzerwalny związek Kresów z Rzeczypospolitą.

Przeszło sto ilustracji (fotografii i sztychów) stawia przed oczami urok i piękno krajobrazu miast i wsi.

Książka została wydana staraniem trzech organizacji społecznych: Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Zjednoczenia Polek na Emigracji i Związku Harcerstwa Polskiego.

Skład główny: KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. Tel. KNI 3500

Cena tylko 16/6 (koszt przesyłki 1/-).

SOS

recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

A. Pomorski

Imię i nazwisko chorego

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)

Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)

Persantin 75 dragées (NIEMCY)

Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)

Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)

Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45